CZY III RP POSTAWI NA PAULINĘ I „TYGRYSA”

KORONAWIRUS NAJLEPSZYCH TEORII SPISKOWYCH

LECH NIEGODNY. WAŁĘSA TRACI HONOROWE OBYWATELSTWO

WSPOMINAMY: 40 LAT TEMU ZGINĘŁA ANNA JANTAR

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 11 (380) 2020
9–15 marca 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KOBIETY PRAWICY NA CELOWNIKU

SĄ ATAKOWANE BRUTALNIEJ I CZĘŚCIEJ NIŻ MĘŻCZYŹNI. WZBUDZAJĄ WŚCIEKŁOŚĆ LEWICY I JEJ MEDIÓW. DOROTA ŁOSIEWICZ PYTA, SKĄD BIERZE SIĘ TA NIENAWIŚĆ, I MÓWI JASNO: DOŚĆ SZOWINIZMU LEWICY!

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl 33776eaff3

CYFROWY POLSAT

NAJLEPSZE FILMY, BAJKI I SPORT!

Na start 3 miesiące TV bez opłat

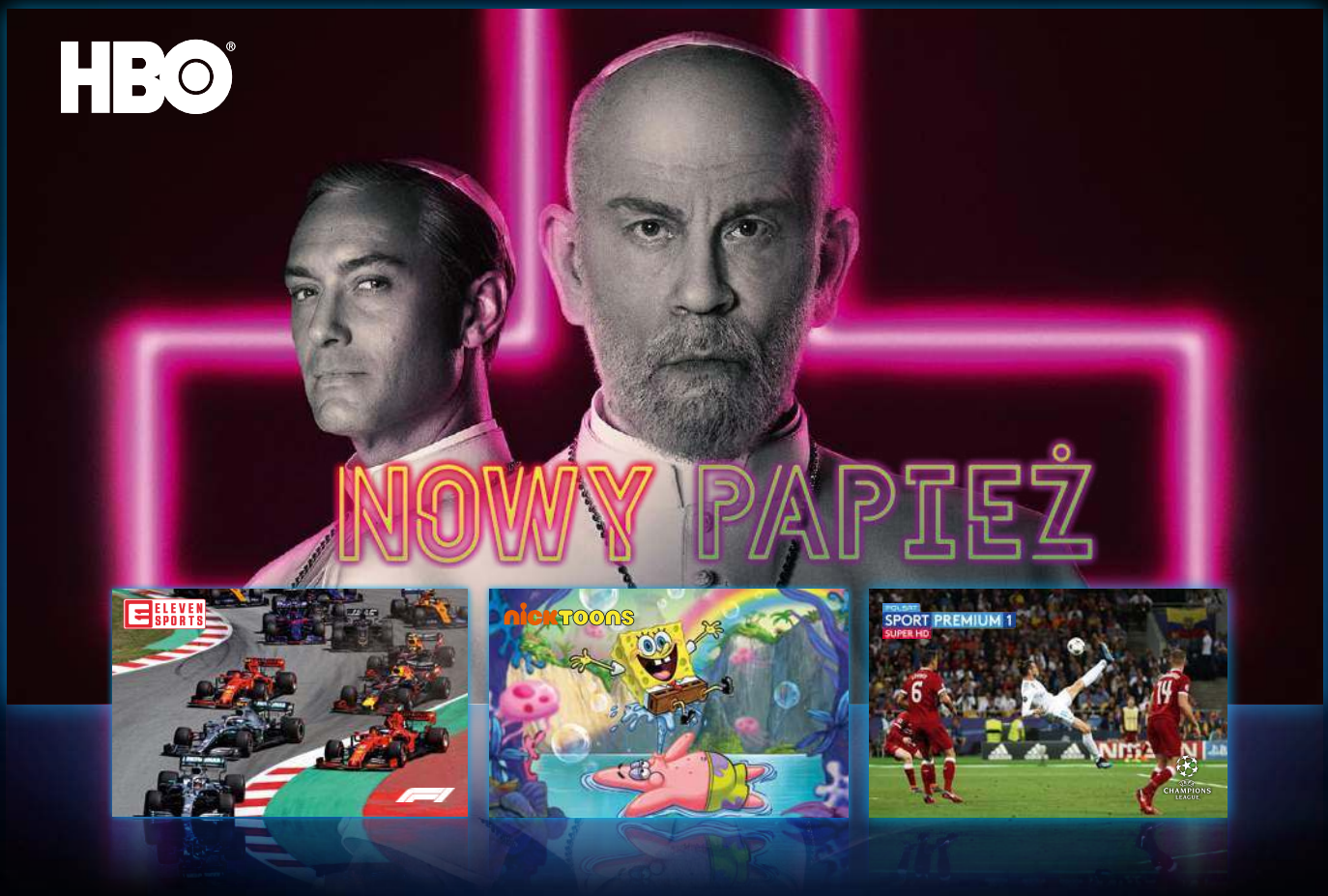

Wybierz telewizję dla siebie:
satelitarną, kablową IPTV lub internetową!

Promocje dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony, a w przypadku oferty telewizji kablowej IPTV i telewizji internetowej także opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
„Nowy papież" © Wildside/Sky Italia/Haut et Court TV/Home Box Office, Inc./Mediapro. Wszelkie prawa zastrzeżone. Cały sezon Formula 1® w ELEVEN SPORTS. The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, F1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trade marks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. All rights reserved. Fot. Getty Images.

Stracona szansa

Mam stosunkowo liczne grono znajomych. Są wśród nich m.in. architekci i artyści. Dlaczego o tym wspominam? Ponieważ żaden z nich nie wypowiedział się o projektowanym pomniku Bitwy Warszawskiej pozytywnie. Mało tego, część z nich była nawet dogłębnie wzburzona. No bo jak można zmarnować taką okazję, która się trafia raz na sto lat.

Lord Edgar Vincent d'Abernon, brytyjski polityk, dyplomata i pisarz, umieścił bitwę 1920 r. wśród najważniejszych starć wszech czasów, na 18. miejscu. Dla nas, Polaków, obok Grunwaldu, Kłuszyna czy wiktorii wiedeńskiej, odparcie hord bolszewickiej Rosji spod Warszawy jest najważniejszym dziejowym momentem.

Dlatego warunkiem sine qua non upamiętnienia tego wydarzenia w formie monumentu powinna być godna, podkreślam godna, lokalizacja. Napoleon, ku chwale francuskiego oręża i ku pokrzepieniu serc rodaków skrwawionych wojnami rewolucji, postawił najpierw przed swoją siedzibą w pałacu Tuileries Mały Łuk Triumfalny, który otwierał główną oś Paryża (Avenue des Champs-Élysées), by zwieńczyć ją projektem Dużego Łuku Triumfalnego na placu Gwiazdy (Place de l'Etoile, dziś pl. De Gaulle'a). Ukończono go 15 lat po śmierci Napoleona w 1836 r., już za panowania króla Ludwika Filipa I. Te dwie okazałe budowle zdobią Paryż i przypominają przechodniom i Francji, że tu „leżą jej syny".

Naprawdę trudno posądzić warszawską „maczugę", czy jak kto woli „świder", o okazałość. Ponoć na przeszkodzie stanęła Rada m.st. Warszawy, która ledwo zgodziła się w lipcu 2019 r. poprzeć projekt uchwały o budowie pomnika, ale tylko na placu Na Rozdrożu. Sąd konkursowy pod przewodnictwem architekt miasta Marleny Happach jednomyślnie wybrał akurat ten projekt pomnika. Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zdecydował się wspaniałomyślnie przekazać 3 mln zł na monument. Decydenci podają to jako dobry przykład kohabitacji władz stolicy (PO) z przedstawicielami ugrupowania rządzącego. Z mojego i nie tylko punktu widzenia te pieniądze są jakimś ponurym żartem. Typowy, jak mówią Amerykanie, „row deal", czyli kiepski interes. Należało poddać totalnej krytyce postawę włodarzy miasta, którzy poza paroma złotymi (równowartość trzech „ogródków Trzaskowskiego" z paletami) i słabą lokalizacją nie wnieśli nic do projektu godnego upamiętnienia Bitwy Warszawskiej, i robić swoje. Choćby w nurcie Wisły, gdyby ratusz nie dał zgody na lepszą lokalizację. Prawie gotowy jest projekt łuku triumfalnego w wodach największej polskiej rzeki, nad którą powstrzymano Sowietów, autorstwa Marka I. Skrzyńskiego popierany przez Jana Pietrzaka. Należałoby go dopracować graficznie i monument gotowy. Projekty „nadrzeczne" znane są na świecie, np. pomnik Zdobywców Dzikiego Zachodu w Saint Louis.

Ale nie! Wybrano dzieło, które żywo przypomina bryłę Cayan Tower w Dubaju bądź jak wolą inni splagiatowaną okładkę albumu rockowej kapeli Led Zeppelin. Nawet w swej artystycznej formie proponowany pomnik Bitwy Warszawskiej nie zachwyca oryginalnością. Nie rozumiem, dlaczego w czasie kampanii wyborczej, kiedy wokół takich inicjatyw jak budowa pomnika na 100-lecie Bitwy Warszawskiej można mobilizować patriotyczny elektorat, postępuje się dokładnie odwrotnie. Miało być tak pięknie, a skończyło się jak zwykle. Uczuciem zawodu i niedosytu.

Andrzej Rafał Potocki

Reklama | 57/1219/F

SIECI spis treści

44 *Z Adrianem Zandbergiem rozmawia Marcin Fijołek*

47 Fake wirus *Aleksandra Rybińska*

65 Zbyt ostra gra Erdoğana *Jan Rokita*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE** Nieoficjalny przegląd tygodnia
8 **SNY O „KORONIE"** Krzysztof Feusette
9 **PUNKT WIDZENIA** Dorota Łosiewicz
10 **ŚWIATOWE ŻYCIE** redaguje Konrad Kołodziejski
12 **POLSKA BĘDZIE POTĘGĄ?** Jan Pietrzak
13 **FEMINISTKI PRZECIW KOBIETOM** Bronisław Wildstein
14 **GENDER, KLIMAT I KORONAWIRUS** Andrzej Rafał Potocki
15 **NADCHODZI E-LIST POLECONY** Marta Kaczyńska-Zielińska
16 **WALIZKA ZUZANNY FALZMANN** Michał Korsun
17 **MODLITWA I MASECZKA** Dominik Zdort
18 **FELIETONY** Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **DOŚĆ TEGO!** Dorota Łosiewicz

KRAJ

26 **ZASOBY ANDRZEJA DUDY** Stanisław Janecki
29 **KAMPANIA W BAŃCE** Konrad Kołodziejski
32 **TYGRYS I TYGRYSICA MARZĄ O PAŁACU** Marek Pyza, Marcin Wikło
35 **BIEDROŃ: KANDYDAT TĘCZOWEJ MIĘDZYNARODÓWKI** Jakub Maciejewski
38 **LECH NIEGODNY** Jaromir Kwiatkowski
42 **GORĄCA FALA W KSIĘSTWIE STANISŁAWA** Piotr Filipczyk
44 **Z ADRIANEM ZANDBERGIEM** rozmawia Marcin Fijołek
47 **FAKE WIRUS** Aleksandra Rybińska

SIECI KULTURY

51 **Z ROBERTEM GLIŃSKIM** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
55 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM** Piotr Zaremba
56 **RECENZJE** Przemysław Skrzydelski, Adam Ciesielski
58 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY** Wojciech Stanisławski
60 **POLECA** Łukasz Adamski
62 **ONA SAMA BYŁA MUZYKĄ** Lidia Dudkiewicz

ŚWIAT

65 **ZBYT OSTRA GRA ERDOĞANA** Jan Rokita
68 **AKSAMITNY POPULIZM** Grzegorz Górny
71 **I TAK NAM SIĘ POSZCZĘŚCIŁO, ŻE DOMU NIE SPALILI** Marek Budzisz

OPINIE

74 **ALFABET TYGODNIA** Hanna Karp

HISTORIA

76 **WRESZCIE ZROZUMIAŁAM** Maciej Pawlicki

GOSPODARKA

80 **PODATEK CUKROWY. KOGO RATUJE, A KOMU SZKODZI** Debata
84 **Z PAWŁEM JANEM MAJEWSKIM** rozmawia Maciej Wośko

PODRÓŻE

88 **MOJE SMAKI: MAGDALENA WSZELAKI** Jolanta Gajda-Zadworna
89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM** Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **O, NIEZALEŻNE SĄDY IDĄ** Wojciech Reszczyński
91 **IM SIĘ NALEŻY** Wiktor Świetlik
92 **KIDAWA FESTIWAL!** Aleksander Nalaskowski
93 **FELIETONY** Witold Gadowski, Lech Makowiecki
94 **MEDIA NARODOWE** Alina Czerniakowska
95 **FELIETONY** Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
96 **CO TO SIĘ POROBIŁO** Ryszard Makowski
97 **PRZYPOMNIENIE** Leszek Długosz
98 **DOGMATYZM ZACHODU** Andrzej Zybertowicz

Reklama | 53/0220/F

eprasa.pl 33776eaff3

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com

eprasa.pl 33776eaff

Sygnalista nadaje

Podczas konwencji ***Władysława Kosiniaka-Kamysza*** przemówiła żona kandydata – Paulina. Zaatakowała Agatę Dudę, deklarując, że „nie jest i nigdy nie będzie żoną, która milczy, nie ma swojego zdania i chowa się za ogrodzeniem prezydenckiego pałacu, statystuje tylko mężowi". Potem zaprosiła na scenę kandydata, mówiąc: „Przed wami mój mąż, mój prezydent. Chodź, tygrysie, scena jest twoja". Patrząc na styl, ton i akcent, w tym wypadku milczenie naprawdę byłoby złotem.

Sam Kosiniak-Kamysz – zapewne w ramach jednania Polaków – zaatakował prezydenta. „Przyzwyczajono nas, że prezydent albo żyrandola pilnuje, albo na klamce do drzwi prezesa wisi. Ja nie mam nad sobą ani żadnego prezesa, ani żadnego przewodniczącego. Ja na audiencje na Żoliborz jeździć nie będę. Adriana z siebie zrobić nie pozwolę" – mówił człowiek, który w czasach PO-PSL grzecznie realizował toksyczny dla Polski program Tuska. Program wyjątkowo szkodliwy dla polskiej wsi.

Choć o „Uchu Prezesa" mało kto już pamięta, to zarzut wobec prezydenta, iż jest „Adrianem", trzyma się mocno. Może głównie o to chodziło w tej całej operacji? Stworzono dźwignię, za pomocą której szantażuje się Andrzeja Dudę. Zamiast wspólnej pracy na rzecz reform mamy dziwne szachy mające dowieść „niezależności". Co oczywiste, im bardziej ktoś się stara, tym zarzut staje się bardziej wiarygodny. I nie ma się co dziwić: tak działa fizyka polityczna.

Sędzia Przemysław Radzik, zastępca rzecznika dyscyplinarnego sędziów sądów powszechnych, skrytykował na Twitterze publikację stowarzyszenia Iustitia. W odpowiedzi europoseł PO **Radosław Sikorski** *syknął jadem: „Jak śmiesz, dupku, ogłaszać co jest dobre, a co złe, dla Polski? Kto Cię do tego upoważnił?". Prawdziwe zombie.*

Swoją drogą, to jednak szokujące, że tak wielu na prawicy dało sobie wmówić, iż nie ma większej winy niż domniemana bądź realna „zależność od Kaczyńskiego". Można wisieć na klamce Brukseli, można się kłaniać Berlinowi, można jeść z ręki Sorosowi, ale to właściwie nic przy „zależności od Kaczyńskiego". To zbrodnia rzekomo największa. A przecież lepiej z Kaczyńskim zgubić, niż z Tuskiem czy Sorosem znaleźć.

„Newsweek" pochwalił początek kampanii ***Małgorzaty Kidawy-Błońskiej***. „To była zupełnie inna konwencja niż te, które Platforma Obywatelska organizowała przez ostatnie kilka kampanii. Widać było, że wszystko jest przemyślane i zaplanowane". Tygodnik ma jednak małe „ale": „Najsłabszym punktem konwencji było wystąpienie kandydatki, ale i tak jest lepiej, niż było do tej pory". Kto wie, może podczas kolejnej konwencji coś wypadnie gorzej niż sama kandydatka?

Kolejny cios wyprowadziła Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej", tak podsumowując medialne występy kandydatki KO: „Małgorzata Kidawa-Błońska nie jest przygotowana do odpowiedzi na pytania dotyczące ekonomii i polityki społecznej. Platforma nie ma przemyślanego, przedyskutowanego przekazu w wielu sprawach np. swoich ośmioletnich rządów". Trudno się nie zgodzić.

Rzecz celnie podsumował w rozmowie z portalem wPolityce.pl prof. Mieczysław Ryba: „Sztab KO ma świadomość, że ich kandydatka jest

epraca.pl 33776eaff3

słaba, i starają się ustawić wszystko tak, żeby jej słabości były jak najmniej widoczne". To z kolei sprawia, że wszystko jest możliwe. „Kandydat PSL chyba liczy na to, że eksponując czy prezentując się dobrze, przy kolejnych potknięciach Kidawy, otrzyma wsparcie od zaplecza medialno-finansowego, które stoi za PO" – komentuje prof. Ryba. Trzeba przyznać, że to scenariusz, o którym jest dość głośno.

Może dlatego Małgorzata Kidawa-Błońska sięga po metody wręcz kuriozalne. W swojej kampanijnej gazetce prezentuje się np. jako gorliwy obrońca programu 500+. Co więcej, chce go bronić... przed PiS! „Straszne jest to, że PiS naraża program 500+, nie dbając o publiczne pieniądze i nie umiejąc zarobić ich dla Polaków. [...] Nie wolno dopuścić do tego, żeby przez bezmyślność PiS Polacy stracili te świadczenia!". Goebbels by się nie powstydził.

Dwa i pół roku temu ***Władysław Frasyniuk*** blokował miesięcznicę smoleńską. Był agresywny wobec interweniujących policjantów, kopnął jednego z nich, a drugiego odepchnął. Postawiono mu zarzuty naruszenia nietykalności cielesnej funkcjonariuszy. Został skazany. Teraz sąd wyższej instancji wyrok uchylił, choć faktów nie zakwestionował. Zdaniem sędzi Urszuli Myśliwskiej nie był to bowiem wybryk chuligański, ale działanie usprawiedliwione okolicznościami. W skrócie: zdaniem sądu czasem można kopać policjantów. III RP w całej swojej krasie.

Z kolei gdański sąd orzekł, że Niemiec, który mówił, że „zabiłby wszystkich Polaków", ma przeprosić i zapłacić nawiązkę na cele społeczne. Jednocześnie jednak sąd nakazał Natalii Nitek-Płażyńskiej – która sprawę wytoczyła – przeprosiny i wpłatę 10 tys. zł na WOŚP za „nadużycie naturalnego zachowania, jakim każdy człowiek obdarza swojego rozmówcę, i zaufania", czyli za nagranie Niemca. Werdykt wyjątkowo obrzydliwy. Można powiedzieć, że „Wolne Miasto Gdańsk" w pełnej krasie.

Amerykańska fundacja Prager University podsumowała zmiany klimatyczne, które rzekomo zagrażają ludzkości. „W ciągu ostatniego wieku liczba śmierci spowodowanych naturalnymi katastrofami dramatycznie spadła – o 97 proc.! Od 1982 r. spadła liczba ludności, która doświadcza suszy. Ocean Arktyczny topnieje, ale w tym samym czasie Antarktyda się powiększa". Co na to Greta? Nic. Klimatyzm – tak jak wszystkie totalne „izmy" – na fakty jest impregnowany.

Janusz Korwin-Mikke skomentował sprawę epidemii koronawirusa. Jego zdaniem epidemia „polepsza pulę genetyczną narodu i ludzkości". Jako przykład potwierdzający tę teorię wskazał... pogromy. „Żydzi są właśnie dlatego potęgą, bo mieli pogromy. Nawet są teorie, że rabini specjalnie prowokują pogromy właśnie po to, żeby Żydzi przeżywali i wtedy jest selekcja naturalna". Teorie, że ktoś, pewnie na Wschodzie, celowo prowokuje tego typu bredzenie wydają się mieć solidne podstawy.

Koronawirusa nie mogła się za to doczekać prezydent Gdańska. „Dla mnie jako obywatelki Rzeczpospolitej Polski położonej między krajami, w których ten wirus jest, na logikę wydaje się to bardzo dziwne, że jeszcze nie ma go w Polsce, bo jest w Niemczech, na Litwie, Białorusi, Ukrainie. Wokół wszędzie jest, a w Polsce jeszcze nie ma. Nie mam podstaw, żeby nie wierzyć, ale wydaje mi się, że to jest dziwne" – rozmyślała Aleksandra Dulkiewicz. Wirus w końcu się pojawił, ale i tak w skali mizernej. Coś nas chroni. Używki? Higiena? Nasza wiara?

Krystyna Janda znów wylała swoje żale. „Polska staje się takim zaściankiem świata. Cała Polska stanęła na zakręcie i w ogóle nie wiadomo, jak się z tego wyjdzie, i już się kręci tak w kółko. Zaczęliśmy się tak obracać na naszym rondzie i niedługo już nie będzie żadnego wyjazdu" – żali się w dobrze znanym stylu. Pani Krystyno, jeśli jest pani na rondzie, to wyjazd jest zawsze po prawej stronie.

I jeszcze jeden cytat z ***Krystyny Jandy***: „Po prostu mam uczucie, że śnię. Że żyję w świecie, gdzie już nie ma ani sprawiedliwości, ani prawdy, ani logiki. Jest tylko jakiś zakręcony szał. Jakieś tsunami, które nas zagarnia i które nie ma końca. Nie mogę tego zrozumieć. Coś, co zawsze uważaliśmy za dobre, za honorowe, za sprawiedliwe, jest wyśmiane. [...] Nie mogę tego wszystkiego zrozumieć! Czy świat się tak zmienił? Co to w ogóle teraz jest?". Cóż, to może być bardzo wiele rzeczy, głównie tych związanych z zawsze okrutnym upływem czasu.

Europoseł PiS Dominik Tarczyński opublikował na Twitterze nagranie ze spotkania z Adamem Michnikiem w pociągu pospiesznym. Polityk podszedł z włączonym nagrywaniem na komórce do stojącego przy wyjściu redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" i poprosił go, aby „pozdrowił brata". Wobec milczenia Michnika Tarczyński dodał: „Zabrakło panu języka tym razem? Do posła się pan boi odezwać? Pozdrowienia pan przekaże dla brata, a jak nie, to ja przekażę". Cóż, numer niepotrzebny, błędny, w sumie szkodliwy. I w złym stylu.

Fot. Andrzej Skwarczyński x4, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 33776eaff3

Sny o „koronie”

KRZYSZTOF FEUSETTE

Kandydat lewicy na prezydenta Robert Biedroń grzmi, że rząd robi za mało w walce z koronawirusem. A jednocześnie zdradza, iż niebawem wybierają się z ukochanym do Chin, bo „nikt tam teraz nie kursuje z uwagi na koronawirusa, a oni pojadą”. Bo „jest tanio”. Następnego dnia twierdzi, że to wszystko fake news, gdyż chodziło mu o Chiny, ale... na Śląsku. Tam jest pewnie jeszcze taniej.

Tomasz Grodzki, marszałek Senatu, chwali się, że pokaże narodowi, jak myć ręce, ale pokazuje, jak nie myć, naciskając dozownik kciukiem rozsiewającym bakterie, a nie łokciem. Po słowach krytyki tradycyjnie już wszystkiego się wypiera i zapewnia, iż kciukiem nie naciskał. Zmienia wersję dopiero po obejrzeniu filmiku. Skoro jest nagranie, to pozwu nie będzie.

Donald Tusk drwi, że skoro rząd „twierdzi” (i tak cud, że nie „kłamie”), iż w walce z koronawirusem trzeba dbać o czyste ręce, to „PiS może tego nie przetrwać”. Bardzo śmieszne. Zwłaszcza że kilka godzin wcześniej to właśnie eurodeputowany i senator PO, nie PiS, Józef Pinior zostaje skazany na półtora roku więzienia za przyjmowanie korzyści materialnych w zamian za „interwencje senatorskie”.

Borys Budka, lider PO, uważa, że Sejm w kwestii koronawirusa powinien przyjąć ustawę według projektu jego partii (podobno jedna kartka), ale jednocześnie twierdzi, że w zupełności wystarczyłyby dotychczasowe przepisy. Zarzuca Andrzejowi Dudzie, iż ten „wpisuje koronawirus w kampanię”, choć prezydent poprosił jedynie o debatę w Sejmie, i to po dezinformacyjnej akcji pt. „Czy rząd coś ukrywa?!” w wykonaniu przyjaciół Budki: Jana Grabca, Michała Szczerby, Małgorzaty Kidawy-Błońskiej czy Jana Vincenta-Rostowskiego. Ten ostatni najwnikliwiej rozrysowuje spiskową teorię: „Cel [PiS – przyp. K.F.] jest prosty: ogłosić pierwszy przypadek koronowirusa na 30 minut przed rozpoczęciem Konwencji Małgorzaty Kidawa-Błońskiej!” – pisze były wicepremier w rządzie PO-PSL. Gdy to się nie potwierdza, ciągnie niezrażony: „Teraz mają problem: ogłoszenie nastąpi dziś/jutro czy później. Jak dziś/jutro – to znaczy, że pytanie było zasadne. Jak później, to grożą im: epidemia, niedowierzenie i dochodzenie prawdy”. W odpowiedzi na inną spiskową teorię, autorstwa Romana Giertycha (iż „zero testów oznacza zero potwierdzonych przypadków”), Rostowski odpowiada: „Żadna drwina... obawiam się, że to może być część wytłumaczenia dziwnego braku ogłoszonych przypadków zachorowań”. Przypomnijmy: to w odpowiedzi na te właśnie niepokojące opinię publiczną głosy prezydent prosi o spotkanie wszystkich w Sejmie. Ale Budka twierdzi, iż to głowa państwa... upolitycznia temat koronawirusa. Tymczasem kandydatka PO na urząd prezydenta (już nie koneserka porcelany, ale „kobieta z Ursusa”), otwarcie sugerowała, iż rząd ukrywa prawdę o obecności w Polsce „wirusa korona” (jak zdarza jej się nazywać chorobę). Po debacie w Sejmie „nadal nie wie, co powiedzieć pacjentom”.

Sławomir Nitras wie za to, że nic nie działa. Bo jedna pani w internecie oznajmiła, iż leży w izolatce i nie wie, co się z nią dzieje, gdyż zdrowieje (naprawdę tak powiedziała). I ta pani uważa, że „zawiodły procedury”, a „rząd nie przeprowadza żadnych badań”, choć jednocześnie sama „czeka na wyniki badań”. Nitras dodaje, że taki koronawirus może być „pokusą dla jakiegoś wojewody, by sparaliżować i zamknąć całe miasto, tylko dlatego, że jedna czy dwie osoby są podejrzane o bycie zakażonymi”. Tylko jak – skoro nic nie działa?

Grzegorz Braun z Konfederacji idzie (jedzie?) jeszcze dalej. Ostrzega z mównicy sejmowej, iż rząd próbuje pod pretekstem wirusa wprowadzić – tak, tak – stan wojenny. Tyle że – twierdzi Braun – zamiast do więzień władza będzie wsadzać (w domyśle: niepokornych) do szpitali. A nie lepiej od razu pójść samemu? O dziwo, to straszne proroctwo podchwytuje „Gazeta Wyborcza”. I tak specustawa, ułatwiająca lekarzom, szpitalom, zakładom pracy, a przede wszystkim pacjentom możliwie najłagodniejsze przejście przez ewentualną chorobę, pozwalająca ograniczyć zasięg jej rozprzestrzeniania się, stanowi – według rozmówców „GW” – „otwarcie drzwi dla samowoli i represji”. A kiedy koronawirus w końcu pojawia się w Polsce, „Wyborcza” ujawnia z radością, iż pacjent nr 1 kiedyś „był działaczem PiS”. O dziwo ani Czuchnowski, ani Wroński nie wzywają (na razie) do odizolowania całej partii.

I tak dalej, i tym podobne bzdety, brednie, bzdury oraz brewerie docierają do naszych oczu i uszu w związku z chińską grypą. A jednak nie możemy winić ich autorów, oni są tu tylko ofiarami. Każdy, kto śledzi wyborcze wygibasy totalnej opozycji, wykonywane przy akompaniamencie totalnych mediów, widzi gołym okiem, że równie groźny co „wirus korona”, pozostaje dla szczególnie słabych jednostek „wirus koryto”. Objawy bywają zabójcze. Pacjent twierdzi np., że nigdy nie mówił tego, co mówił, a już na pewno nie robił tego, co robił. Raz chce w lewo, raz w prawo, a raz środkiem drogi. I myśli wyłącznie o władzy, niestety, najczęściej rozumianej jako „koryto” właśnie.

Zaraźliwe to jest, podobno, jak diabli. No i na „koronę” jednak jakąś szczepionkę już wymyślono. A tutaj poza natychmiastowym zerwaniem z kamerą i całkowitym odstawieniem mikrofonów tak naprawdę zrobić za wiele nie można. Podobno kiedyś pomagało lustro, ale kto dzisiaj u totalnego polityka znajdzie jeszcze coś takiego?

eprasa.pl 33776eaff3

WIEŻA BAB

Punkt widzenia

Dopiero w obliczu śmiertelnego zagrożenia okazało się, że rząd może przyjąć poprawki opozycji, a opozycja jest w stanie zagłosować za rządowym projektem

Lektura różnych archiwalnych tekstów lub wypowiedzi osób publicznych potrafi nieraz wprawić człowieka w niezły nastrój, a zapuszczenie się w odmęty internetu może być ciekawym doświadczeniem.

Weźmy taką „Gazetę Wyborczą", która dziś nie zostawia suchej nitki na rządzie Zjednoczonej Prawicy. Chyba tylko osoba o naprawdę bujnej wyobraźni byłaby w stanie wyobrazić sobie tekst przychylny polityce prorodzinnej rządu. Albo weźmy jedną z czołowych feministek kraju, czyli Magdalenę Środę. Czy mogłaby ona powiedzieć coś dobrego o tym, co rząd PiS zrobił dla rodzin, dla matek? Wątpliwe.

Jednak jeśli cofniemy się w czasie, np. do 2012 r., wówczas odkryjemy, że był taki czas, gdy „Gazeta Wyborcza" utyskiwała, że rząd (wówczas PO-PSL) nie zajmuje się matkami. Z okazji Dnia Matki na portalu wyborcza.pl pojawił się tekst, w którym pisano: „Takie święto to na pewno okazja, żeby w mediach podyskutować o problemie macierzyństwa (bo strasznie jest ono w Polsce zmitologizowane), a zwłaszcza o polityce rządu wobec matek (dlaczego jej nie ma?). W Dzień Matki medialne okienko otwiera się na chwilę i można rzucić jakieś hasła nim dziennikarze zajmą się »naprawdę ważnymi sprawami, jak na przykład sprowadzanie wraku czy porost trawy na stadionach«". W tym samym roku Magdalena Środa ubolewała: „W naszym społeczeństwie panuje przekonanie, że matki wydzielają z siebie troskę i poświęcenie jak pszczoła miód, więc nie ma się co nimi zajmować i tak będą robiły swoje".

W 2015 r. polityczny krajobraz w kraju się zmienił, a nowy rząd matkom i rodzinom zaczął poświęcać znacznie więcej uwagi niż poprzednicy. Pojawiły się program 500+ i matczyna emerytura, która po raz pierwszy zauważyła problem funkcjonowania na marginesie systemu kobiety, które wychowały dzieci.

Jednak jakoś ze zmianą władzy niektórym mediom zmieniła się optyka i okazało się, że nie warto już poświęcać uwagi matkom, a 500+ to tak naprawdę łapówka za głos w urnie (a to jedno z łagodniejszych określeń dla rządowego programu wsparcia rodzin czy samych beneficjentów tego programu). Magdalena Środa zarzuciła nawet rządowemu programowi ubezwłasnowolnienie kobiet. „500+ jest eliminowaniem kobiet ze sfery publicznej, z rynku pracy, odbieraniem im niezależności finansowej. To jest ubezwłasnowolnienie kobiet" – mówiła feministka. I jakoś nikt z liberalno-lewicowego nurtu nie chce zauważać, że wsparcie rodzin jest standardem w bogatych państwach Unii Europejskiej, na które w innych okolicznościach ci sami ludzie tak chętnie się powołują.

Podobnie ewoluują poglądy polityków opozycji. I tak od słów Ewy Kopacz, że Prawo i Sprawiedliwość urządzi nam drugą Grecję, jeśli zrealizuje obietnicę 500+, przez deklarację ministra Rostowskiego, że na taki program „pieniędzy nie ma i nie będzie", doszliśmy do tego, że to właściwie Platformie Obywatelskiej Polacy zawdzięczają to, że rząd Zjednoczonej Prawicy dotrzymał jednej z przedwyborczych obietnic. Ponieważ jednak mamy teraz kampanię wyborczą, to w szeregach Koalicji Obywatelskiej wrócił trend, by 500+ krytykować, co często i chętnie robi kandydatka na prezydenta Małgorzata Kidawa-Błońska, twierdząc np., że „ludzie, którzy pracują, powinni żyć na lepszym poziomie niż ci, którzy z różnych powodów nie pracują" oraz że „ludzie, którzy pracują, czują się w jakiś sposób upokorzeni, że ktoś jest wspierany, a nie pracuje". Tylko pogratulować politykom KO zdolności do elastycznego modyfikowania własnych poglądów.

Bywa jednak, że czasem politycy Zjednoczonej Prawicy i opozycji zaczynają mówić jednym głosem. Na przykład w sprawie koronawirusa. Dopiero w obliczu śmiertelnego zagrożenia okazało się, że rząd może przyjąć poprawki opozycji, a opozycja jest w stanie zagłosować za rządowym projektem. I co więcej: na koniec wszyscy mogą bić sobie brawo. Szkoda, że takich tematów nie ma więcej.

Nie od dziś wiadomo, że punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia. Ale żeby aż tak bardzo?

Dorota Łosiewicz

eprasa.pl 33776eaff3

Kanada

Aborcyjna równość płci

Dokonywanie aborcji dzieci ze względu na ich płeć odbywa się nie tylko w Chinach. W zachodnich demokracjach taka eugenika prenatalna też ma się świetnie. Kanada stoi na czele tego pochodu aborcyjnego. „The Canadian Medical Association Journal" już w 2012 r. informował, że w Kanadzie istnieje problem aborcji dziewczynek, po tym jak odkrywano ich płeć na USG. Dzieje się tak szczególnie w rodzinach imigrantów z Indii i z Azji Południowo-Wschodniej. Ten sam medyczny periodyk opublikował w 2016 r. badania, z których wynikało, że aborcji dziewczynek w prowincji Ontario dokonuje się w ramach państwowego ubezpieczenia zdrowotnego.

Kilkanaście dni temu posłanka Konserwatywnej Partii Kanady Cathay Wagantall złożyła więc projekt ustawy zakazującej aborcji dzieci z powodu ich płci. Co ciekawe, Wagantall argumentuje to kwestiami równościowymi. „Selektywna aborcja jest nie do pogodzenia ze społeczeństwem, które szczyci się równouprawnieniem płci" – napisała w oświadczeniu do prasy. Jak przystało na nowoczesnego polityka konserwatywnego w krajach zachodnich (poza USA, gdzie tradycyjne rozumienie konserwatyzmu jest wciąż silne), Wagantall nie opowiada się przeciwko aborcji jako takiej. „Prawdą jest, że większość Kanadyjczyków jest za dostępem do aborcji. Ale faktem jest też, że 84 proc. Kanadyjczyków sprzeciwia się selektywnej aborcji" – mówiła.

To znamienne, że ustawa dotycząca zmiany prawa aborcyjnego pojawiła się dopiero w kontekście debaty antydyskryminacyjnej. Konserwatywni politycy w Kanadzie używali w poprzednich debatach o aborcji selektywnej nawet takich stwierdzeń jak „genderobójstwo" (od słów gender i ludobójstwo). Mimo takich ostrych porównań lider konserwatystów Andrew Scheer zapewniał, że choć sam ma poglądy pro-life, to nie zdelegalizowałby aborcji, nawet gdyby przejął władzę. Wygląda na to, że prawo aborcyjne w Kanadzie może zmienić się tylko pod kątem równościowym. Nie będzie wolno dyskryminować ze względu na płeć i trzeba będzie dokonywać tyle samo aborcji dziewczynek, ile chłopców.

Łukasz Adamski

Fot. Shutterstock

Izrael

Bibi bliski triumfu

Trzecie wybory do izraelskiego parlamentu, jakie odbyły się w tym kraju w ciągu ostatnich 11 miesięcy, dały wreszcie sukces urzędującemu premierowi Beniaminowi Netanjahu i jego koalicji partii prawicowych, sformowanej wokół Likudu. Jednak po przeliczeniu 99 proc. głosów wygląda na to, że obecnemu premierowi Izraela zabraknie trzech mandatów do zbudowania stabilnej większości w Knesecie. Nie można zatem wykluczyć, że dojdzie do kolejnego kryzysu w Izraelu. Tym bardziej że odwołująca się do rosyjskich Żydów partia Nasz Dom Izrael Awigdora Liebermana, która zdobyła w obecnych wyborach siedem mandatów, nadal stawia Likudowi zaporowe warunki. Lieberman – tak jak w poprzedniej kadencji – nie chce współpracować ze sprzymierzonymi z Likudem konserwatywnymi partiami wyznaniowymi.

Niezależnie jednak od tego, jak się skończy rządowy pasjans, warto zwrócić uwagę na kilka interesujących zjawisk. Frekwencja osiągnęła 70 proc., co wskazuje, że mobilizacja wyborców, na którą tak liczyła lewica, przysporzyła głosów głównie Netanjahu. W obliczu poważnych oskarżeń korupcyjnych, które w Izraelu dość często dotyczą polityków z pierwszych stron gazet, komentatorzy spodziewali się raczej gorszego wyniku formacji premiera. To z kolei skłania do wniosku, że nie kwestie polityki gospodarczej i społecznej rządu, lecz bezpieczeństwa i relacji międzynarodowych, są głównym źródłem wyborczych decyzji obywateli Izraela. I w tym wypadku na korzyść wieloletniego premiera przemawia kilka czynników. Od dawna wiadomo, że jest on zwolennikiem twardej linii. Ostatnie zaostrzenie sytuacji na północy Syrii, które wywołało kolejny rajd izraelskiego lotnictwa na posterunki zajmowane przez proirańskich bojowników, zapewne przysporzyło Netanjahu dodatkowych sympatyków. Amerykański plan pokojowy dla Bliskiego Wschodu, który został uznany za najbardziej proizraelski w historii USA, także świadczy o skuteczności Netanjahu. Dodatkowy bonus mogły dać premierowi również jego bliskie relacje z Władimirem Putinem oraz taktyczny sojusz Izraela z Rosją.

Wyborcy, jak można przypuszczać, uznali, że w nowym świecie, w którym rządzi siła, Beniamin Netanjahu jest znacznie lepszym gwarantem bezpieczeństwa Izraela niż jego polityczni rywale.

Marek Budzisz

Fot. yakub88/Shutterstock.com

„Nie" dla nowych emerytur

Francja

Reforma emerytur ogłoszona przez francuski rząd w na początku grudnia 2019 r. ciągle nie została przeprowadzona. Miała ona ujednolicić system w oparciu o system punktowy, likwidując dotychczasowe zasady pozwalające na wcześniejsze odejście niektórych grup zawodowych na emeryturę. Ogólnokrajowa akcja strajkowa przeciw tym planom sparaliżowała transport nad Sekwaną, doprowadziła do zamknięcia szkół i wyprowadziła na ulice prawie 2 mln ludzi. Nadal protestują m.in. śmieciarze, adwokaci, nauczyciele, a nawet pracownicy opery paryskiej.

Francuzów rozsierdziła też propozycja podniesienia wieku emerytalnego z obecnych 62 do 64 lat. Nie pomogły zapewnienia rządu, że chodzi o „preferowany" wiek przejścia na emeryturę i przymusu nie ma. Ani to, że obecny system emerytalny jest zbyt kosztowny i nie da się go dłużej utrzymać. Oliwy do ognia dolała zapowiedź rządu, że wprowadzi reformę w życie za pomocą artykułu 49-3 konstytucji (czyli z pominięciem głosowania w parlamencie). Premier Édouard Philippe tłumaczył decyzję rządu „obstrukcją skrajnej lewicy" w Zgromadzeniu Narodowym, która złożyła „tysiące poprawek do ustawy". Francuski premier skarżył się też, że przeczytanie poprawek „zajęło mu osiem tygodni z weekendami włącznie", a reforma „jest sprawiedliwa społecznie". Ostatecznie ustawa została przyjęta w pierwszym czytaniu przez posłów, po tym jak odrzucono dwa wnioski nieufności złożone przez lewicę oraz prawicę. Było to jednak gorzkie zwycięstwo dla rządu. Posłanka prezydenckiej partii La République En Marche (LREM) Albane Gaillot opuściła ją w proteście, a sześciu dawnych posłów LREM głosowało za wotum nieufności dla rządu. Związki zawodowe zapowiedziały tymczasem kolejne strajki i protesty. W minionym tygodniu doszło do manifestacji m.in. w Lyonie, Tuluzie, w Bordeaux oraz w Paryżu przed siedzibą Zgromadzenia Narodowego. Adwokaci zapowiedzieli, że będą strajkowali co najmniej do 25 marca. Według sondażu YoyGov dla „Huffington Post" 60 proc. Francuzów jest przeciwnych reformie, a plany rządu popiera zaledwie 28 proc. Ustawa trafi teraz do Senatu, gdzie większość ma prawica. Francuski rząd ma nadzieję, że ostatecznie wejdzie w życie latem tego roku. Wcześniej, 15 marca, odbędą się wybory samorządowe we Francji i – jeśli wierzyć sondażom – reforma emerytur może się okazać bardzo kosztowna dla kandydatów LREM.

Aleksandra Rybińska

Fot. Olga Besnard/Shutterstock.com

Panu

Przemysławowi Tejkowskiemu

Prezesowi Zarządu „Polskiego Radia Rzeszów" S.A.

wyrazy szczerego żalu i współczucia

z powodu śmierci

TATY

składają

Pracownicy „Polskiego Radia Rzeszów" S.A.

8/0320/F

Naszemu Przyjacielowi,

Staszkowi Pietrzakowi

Wyrazy głębokiego współczucia

z powodu śmierci

siostry Jasi

składają

Przyjaciele i współpracownicy z CEC

7/0320/F

eprasa.pl 33776eaff3

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Polska będzie potęgą!

Jan Pietrzak

Pośród morza banałów i pustosłowia podczas konwencji PSL+Kukiz (co się w sumie jakoś szumnie nazywa) pojawiła się jedna nowinka, mianowicie żona kandydata w kolorze „późny blond". Nieznana szerzej niewiasta zarysowała swoje plany na czas day after, dając do zrozumienia, że nie zamierza być rutynową pierwszą damą, lecz raczej wiceprezydentem. Co prawda takiego stanowiska nie przewidują polskie przepisy, ale czego Władzio nie zrobi dla energicznej małżonki w czerwonym dresie. Nie takie ustawy przepychał przez Sejm u boku szefa Tuska. Jeżeli udało mu się wmówić rodakom, że pieniądze OFE nie należą do nich albo że chcą kilka lat dłużej pracować na emeryturę itp., to nie uda mu się załatwić fuchy dla ambitnej połowicy? Ona wie, co mówi. Zwrot „Tygrysie – scena jest twoja" był wielce wymowny.

Ujawniono drapieżny charakter pozornie uległego Władka. Pod maską zaspanego gamonia ukrywa się dziki kot byłych ludowców. Pręży się do skoku. Polska jest teraz dużo zasobniejsza niż pod rządami koalicji PO-PSL, jest co przytulić, jest po co sięgać.

Swoją drogą zauważmy, że wystarczyło pięć lat rządów przyzwoitych ludzi, by powstała zupełnie nowa jakość społeczno-gospodarcza, nieosiągalna w ciągu poprzednich 25 lat III RP. Jak pisze zdziwiony hiszpański dziennikarz „El Correo de Madrid": „Hiszpania schodzi na psy, a Polska zmierza do statusu potęgi (...). Ten naród na wschodzie Europy zrozumiał, co to są wartości, że tworzą substancję, krew, kręgosłup narodu".

Przyjemnie posłuchać komplementów, choć szczerze mówiąc, każda kampania wyborcza jest u nas grą o wszystko. Bo niestety nie cały naród rozumie, co tu się wyprawia. Istnieje duże wysypisko przegniłych buraków, zatruwających nasze podwórko. Czerwone buraki są zapleczem intelektualnym opozycji, co się niedawno wydało. Konieczna jest stabilizacja dobrej zmiany, wtedy niejeden zagraniczny żurnalista dostrzeże, jak ważne są owe polskie wartości dla całej Europy. Bo to są wartości podstawowe, dzięki którym 100 lat temu powstrzymali Polacy „nawałę bolszewicką", jak się wtedy mówiło. To są fundamenty wiary i cywilizacji, na których wyrosła Solidarność, odmieniająca oblicze tej ziemi...

Ekspresem po Gwatemali i Kolumbii

Z Darią Ładochą, nową prowadzącą program „Ameryka Express", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Bartosz Krupa/East News

Czy z talentem agenta łatwiej poznaje się egzotyczną Amerykę?

Daria Ładocha: Zdecydowanie tak. Z doświadczeniem zdobytym w programie „Agent. Gwiazdy" dużo prościej być nie tylko eksploatatorem Gwatemali i Kolumbii, dokąd dotarliśmy, ale też prowadzącą taki program. Ma się w zanadrzu narzędzia, które przydają się w relacjach z uczestnikami [a są wśród nich m.in. Patrycja Markowska, Grażyna Wolszczak, Paweł Deląg czy Marcin „Różal" Różalski – przyp. red.].

Prowadzącej nie obowiązują zasady: jeden dolar na dzień i ekstremalne zadania do wykonania. Czy w związku z tym była szansa na poznanie pięknych egzotycznych miejsc?

Niestety uczestnicy byli tak ambitni i waleczni, że cały czas ich goniłam. Nieraz musiałam bardzo się starać, by do wyznaczonego punktu dotrzeć przed nimi.

Więc może do któregoś z miejsc chciałaby pani wrócić, by na spokojnie je poznać?

Ależ tak! Pokochałam kolumbijską Cartagenę. Ale też już w pierwszym odcinku dotarliśmy nad Atitlan – 130 km kw. powierzchni wody wypełniającej krater, wokół wygasłe wulkany. Po nagraniu stanęłam nad tym ogromnym jeziorem, szczerze dziękując w duchu, że coś tak wspaniałego oglądam. I chociaż Gwatemala nie jest miejscem na wakacje pod palmami, obiecałam sobie, że kiedyś zabiorę nad Atitlan swoje dzieci. Żeby mogły zobaczyć tę niesamowitą potęgę natury, która jest tam wszechobecna. I tak piękna.

eprasa.pl 33776eaff3

BRONISŁAW WILDSTEIN

Feministki przeciw kobietom

„Nierozsądne jest, aby kobieta wychowująca dzieci została w domu" – oświadczyła znacząca polityk KO Katarzyna Lubnauer. Wypowiedź tę czytać trzeba w kontekście bezpośrednio z nią sąsiadującego stwierdzenia: „Ideą Koalicji Obywatelskiej jest przywrócić szacunek do pracy". Wniosek z tego prosty: kobieta wychowująca dzieci nie pracuje, a w każdym razie trudno porównywać jej zajęcie z prawdziwą pracą.

Lubnauer nie może powiedzieć tego wprost, gdyż byłoby to polityczne samobójstwo w tak tradycyjnym jak Polska kraju. Już i tak nawet działacze lewicy ogłaszają, że opatrzona zastrzeżeniami wypowiedź wspierającego Małgorzatę Kidawę-Błońską polityka KO to strzał w kolano. Jej deklaracja jednak to nic więcej niż odwołanie do naczelnej zasady feminizmu: kobiety mają obowiązek rywalizować z mężczyznami w po męsku urządzonym świecie. Mają robić takie jak oni kariery zawodowe, tak samo konkurować o pozycję i władzę. Temu służyć ma inżynieria społeczna propagowana przez polityków takich jak Lubnauer. Jeśli kobiety oddają się tradycyjnie związanym z ich płcią zajęciom: rodzeniu, trosce o dzieci i ich wychowaniu – przez feministki są piętnowane i pogardzane.

Współczesny feminizm to ideologia, która ma wprawdzie rozmaite odmiany, ale opiera się na wspólnym fundamencie. Jest to założenie, że różnice między płciami są sprawą drugorzędną i nie powinny mieć wpływu na życie społeczne. Paradoks polega na tym, że ideologia ta deklaruje się jako materialistyczna, a jednocześnie nie wyciąga wniosków z najbardziej elementarnego biologicznego faktu, jakim jest zróżnicowanie płciowe, które pojawia się już we wczesnym etapie życia płodowego. Byłoby czymś zdumiewającym, gdyby tak istotna odmienność nie przekładała się na różnice psychiczne. Powinni rozumieć to zwłaszcza ci, którzy deklarują, że człowiek to wyłącznie fizyczność, a wszelkie zjawiska psychiczne są refleksem fizjologii.

Różnice wynikające z płci oznaczają statystyczne prawidłowości – zawsze występowali zniewieściali mężczyźni i męskie kobiety – taki jest jednak charakter naszej wiedzy zwłaszcza w odniesieniu do ludzkich spraw. Nie oznacza to, że można się bez niej obejść. Różnice nie dowodzą wyższości jednej płci w stosunku do drugiej, ale poszerzają spektrum doświadczanego przez nas świata, wskazują bogactwo międzyludzkich relacji, których nie sposób sprowadzić wyłącznie do męskiej zasady władzy i dominacji. Odmienność powoduje w sposób oczywisty zróżnicowanie ról w rodzinie.

Ten tradycyjny podział często wykorzystywany był do podporządkowania kobiety mężczyźnie. Nie oznacza to jednak, że w celu równości należy go odrzucić. Nadużywano w historii wszystkich idei i zasad. Czy jednak wyobrażamy sobie pozbawionego ich człowieka?

Ludzie są różni w różnych aspektach, a niedomogi w jednych dziedzinach kompensują przewagami w innych. Obsesja równości powoduje spłaszczenie perspektywy i dążenie do ujednolicenia wszystkiego. Najbardziej widać to w odniesieniu do żeńsko-męskich relacji. Z zasady są one komplementarne, a obie płcie powinny się uzupełniać. Feminizm dąży do tego, aby odmienności te zniwelować, a więc radykalnie zubożyć nasz świat i nadać mu wymyśloną, arbitralną formę.

Podstawowy problem z tą ideologią polega na tym, że wyrasta ona z resentymentu w klasycznym już nietzscheańskim sensie. Resentyment taki oznacza niezdolność do sprostania ideałowi, prowadzi do zanegowania go i odwrócenia znaczeń. Kobiety, które odmawiają podjęcia swojej – zgódźmy się, że niełatwej – roli, przekreślają jej wartość i deprecjonują te, które to robią. W świecie, który łudzi mirażem natychmiastowego spełnienia, poświęcenie się rodzinie i dzieciom jest trudne do pojęcia. Z pewnością nie ułatwia kariery zawodowej ani politycznej. Czy ma to jednak oznaczać jego mniejsze dobro?

Współcześnie wiele kobiet usiłuje łączyć uczestnictwo w konkurencji społecznej z troską o dzieci. Wielki podziw wzbudzają te, którym się to udaje. Czy jednak mamy narzucać ten model wszystkim? Czy z tego powodu mamy deprecjonować te, które pracują 24 godziny na dobę, aby dbać o szczęście rodziny i właściwie wychowywać dzieci?

Feminizm to eksperyment, którego celem jest przemodelowanie społeczeństwa i – jak wszystkie tego typu przedsięwzięcia – zaczyna się (i kończy) niszczeniem jego tradycyjnych form. Zdrowy rozsądek i empiria uczą nas, że etap destrukcji do pewnego stopnia może się powieść. A atak na rodzinę to także uderzenie w kobiecość.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 33776eaff3

OGNIEM NA WPROST

Gender, klimat i koronawirus

16–17 marca Fundacja Życie i Rodzina złoży pierwszy tysiąc podpisów w Sejmie pod obywatelskim projektem wprowadzenia zakazu przeprowadzania parad równości. Uruchamia to pierwszy etap procedury legislacyjnej, której celem jest przegłosowanie nowego prawa przez parlament. Następnie na ulicach pojawią się wolontariusze. Do utworzenia komitetu inicjatywy ustawodawczej wystarczyło zaledwie tysiąc podpisów. Jednak, żeby dokument mógł trafić do Sejmu, musi być ich 100 tys. Zbiórka wystartuje na początku kwietnia. Zdaniem Krzysztofa Kasprzaka, zasiadającego w zarządzie fundacji, tzw. parady równości są niezgodne z konstytucją: „Podważają to, co jest w polskiej ustawie zasadniczej, czyli uprzywilejowaną rolę małżeństwa definiowalnego jako związek kobiety i mężczyzny". Z drugiej strony padają stwierdzenia o tolerancji i podważaniu prawa do wolności zgromadzeń. Jednak występy aktywistów, grup, także zwolenników LGBT są wyjątkiem. „Występy" naruszają bowiem sferę obyczajowości kulturowej, która przez państwo powinna być chroniona, a także wzbudzają aestetyczne odczucia u zdecydowanej większości postronnych widzów poprzez swoistą drastyczną formę przekazu. Nawiasem mówiąc, nierzadko łamiącą przepisy prawa karnego. Wszystko sprowadza się do podstawowego hasła: tolerancja tak, afirmacja nie!

Ws. tolerancji ostatnio wypowiedziała się małopolska kurator oświaty Barbara Nowak: „Wszystko, co nie jest zgodne z linią ideologii gender, jest czymś złym. Te wszystkie ich piękne hasła typu »tolerancja« mogą być stosowane tylko wobec ideologów gender. Ten, kto mówi prawdę, nie zgadza się z ich poglądem, to jemu usta należy zamknąć. To jest ten sposób na życie". Przy okazji pani kurator wspomniała postać Małgorzaty Fuszary, pełnomocnika ds. równości w rządzie PO-PSL. Doprowadziła ona do procesu ze Stowarzyszeniem Rodzin Wielodzietnych, które uprzedzało rodziców, nauczycieli i dyrektorów szkół o zagrożeniach ideologii gender. Sama Fuszara „zasłynęła" ze stwierdzenia o zaprzestaniu mowy o kazirodztwie, bo „stosunki między bratem–siostrą, ojcem–dzieckiem to już nie jest nic złego". Teoretycznie tak, tylko Fuszara miała na myśli nie tyle stosunki rodzinne, ile kontakty płciowe zwane „chowem wsobnym". Chodzą słuchy, że Fuszara i jej podobni mają otwarte przewody doktorskie na Uniwersytecie Chartumskim w Sudanie z kalizmu genderowego, czyli filozofii Kalego.

Amerykańska obywatelska fundacja Prager University, założona przez Dennisa Pragera i Allena Estrinda w celu edukacji Amerykanów w nowoczesny sposób za pośrednictwem mediów społecznościowych, opublikowała właśnie filmik, który w 58 sekund demaskuje brednie opowiadane całemu światu przez szwedzką niedouczoną nastolatkę Gretę Thunberg. M.in. kłamstwo o drastycznie wzrastającej liczbie ofiar katastrof jako konsekwencji zmian klimatycznych. W rzeczywistości w ciągu ostatniego wieku liczba śmierci spowodowanych naturalnymi katastrofami spadła o 97 proc.! Powód? – wynik ekonomicznego rozwoju pozwalający narodom lepiej sobie z nimi radzić. Ale Parlament Europejski jak zwykle ma poważne kłopoty ze słuchem i zaprosił „gwiazdę Aspergera" na odczyt. I nie byłoby w tym nic szczególnego (nie takie idiotyzmy przeforsowywano w Strasburgu i Brukseli), gdyby nie to, że w czasie występów Szwedki przewodniczący PE odwołał wszystkie wydarzenia i zabronił wstępu do budynku osobom z zewnątrz, chcąc realizować zalecenia Komisji Europejskiej dotyczące ochrony przed koronawirusem. Interweniowała europosłanka PiS Anna Zalewska – ze względu na dobro dziecka. Oczywiście bezskutecznie. Ideologia i kasa są silniejsze od zdrowia. Nawet nieletniej.

Inna sprawa, że w kwestii koronawirusa ludzie zaczynają już gonić w piętkę. Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski wyśmiał nadgorliwców. We Włoszech, w mieście Pawia, karabinierzy wpadli do kościoła, przerywając mszę św., którą miejscowy proboszcz odprawił dla ośmiu osób mimo zakazu organizowania zgromadzeń. 88-letni duchowny tłumaczył się niewiedzą, ponieważ ogłoszenia o restrykcjach zamieszczono w internecie, a on nawet nie obsługuje komputera. Z kolei w Polsce przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki odradza przyjmowanie komunii św. bądź przyjmowanie jej na rękę, a także zaleca ostrożność w stosowaniu wody święconej. Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski zwrócił jednak uwagę, że skoro jest taka troska o ludzi, to może warto zrezygnować z chodzenia z tacą: „Jeżeli komunia św. i woda święcona roznoszą zarazki, to co ze składką? Przecież na pieniądzach jest więcej wirusów, także tych zagrażających duszy".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 33776eaff3

Nadchodzi e-list polecony

Marta Kaczyńska-Zielińska

Rząd przyjął w lutym br. projekt ustawy o doręczeniach elektronicznych przedłożony przez ministra cyfryzacji w ramach realizacji Programu Zintegrowanej Cyfryzacji Państwa. Zgodnie z założeniami dokumentu podstawową formą wymiany korespondencji wymagającej potwierdzenia jej nadania lub odbioru ma być w niedalekiej przyszłości doręczenie elektroniczne. List polecony będzie mógł zatem zostać zastąpiony przesyłką cyfrową, której skuteczne wysłanie wywoła takie same skutki prawne. Komunikacja obywateli z urzędami zostanie znacznie przyspieszona, a wszelkie formalności będzie można załatwiać, nie wychodząc z domu lub nie wstając z zza biurka w pracy.

Aktualnie i co do zasady wymiana korespondencji z podmiotami publicznymi realizowana jest za pomocą papierowych przesyłek wymagających osobistej wizyty w urzędzie pocztowym lub doręczenia przez listonosza. Od kilku lat funkcjonowanie administracji publicznej jest usprawniane, a część korespondencji odbywa się za pośrednictwem specjalnego systemu lub na platformie ePUAP. Statystyki wskazują jednak, że w sprawach urzędowych z możliwości elektronicznego komunikowania się do niedawna korzystała niespełna jedna trzecia obywateli. Za sprawą nowych przepisów usługi pocztowe mają zostać zrewolucjonizowane. Podmiotem odpowiedzialnym za koordynację i realizację nowych form doręczenia elektronicznego będzie Poczta Polska, która jest strategicznym podmiotem rozwoju elektronicznej administracji (e-government), a także przez podmioty prywatne. Obsługa urzędowych e-doręczeń przez Pocztę będzie trwać do końca 2025 r. E-doręczenia to wyzwanie dla państwowego podmiotu, który boryka się z konkurencją firm kurierskich, ale w ostatnich latach widocznie stara się nadążyć za postępem technologicznym i udoskonala swoje usługi, korzystając z komunikacji elektronicznej. Należy zakładać, że pokłosiem nowej roli państwowego operatora stanie się jeszcze szybsza i sprawniejsza modernizacja oraz zapewnienie wzrostu jego konkurencyjności względem komercyjnych podmiotów.

W nawiązaniu do rządowego projektu dotyczącego doręczeń elektronicznych nie sposób nie wspomnieć reformy z czasów rządów koalicji PO-PSL, która wyprowadziła m.in. przesyłki sądowe z urzędów Poczty Polskiej do prywatnej firmy kurierskiej, co spowodowało, że doręczenia wyroków sądowych i innych pism procesowych odbywały się nierzadko w zaskakujących lokalizacjach – punktach prowizorycznie przystosowanych do przekazywania korespondencji. Takich jak choćby pewna weranda prywatnego mieszkania, którą w tamtym czasie z niemałym zdumieniem musiałam odwiedzić, by odebrać przesyłkę. Takie realia to już na szczęście wspomnienie.

W projekcie ustawy wprowadzono zasadę, że wszyscy obywatele, zarówno występujący jako podmioty prawne, jak i osoby fizyczne, zawsze mogą ze swoich skrzynek internetowych doręczać pisma do podmiotu publicznego na jego elektroniczną skrzynkę podawczą. Minister właściwy do spraw cyfryzacji będzie administrować rejestrem zawierającym adresy elektronicznych skrzynek podawczych, elektronicznych skrzynek doręczeń oraz kwalifikowanych skrzynek doręczeń. Wpisanie do rejestru będzie aktywować obowiązek urzędu doręczania pism drogą elektroniczną. Osoby fizyczne będą dysponować jednym adresem do doręczeń elektronicznych, który będzie uznany za domyślny, analogicznie jak się to dzieje w przypadku adresu zameldowania. Odbiór przesyłek będzie mógł być zatem skuteczny niezależnie od tego, czy adresat pozostaje w miejscu zameldowania, czy w innym miejscu. Ustawodawca zakłada, że część obywateli nie korzysta z internetu w zakresie pozwalającym na załatwianie wszystkich spraw urzędowych za pośrednictwem komunikacji elektronicznej. Dla osób preferujących tradycyjne formy korespondencji przewidziano publiczną usługę hybrydową zapewniającą możliwość odbierania przesyłki listowej w formie wydrukowanego dokumentu.

REKLAMA

67/0220/F

eprasa.pl 33776eaff3

Walizka Zuzanny Falzmann

dyrektor wykonawczej ds. komunikacji korporacyjnej w PKN Orlen, wcześniej wieloletniej korespondentki telewizji Polsat i TVP w USA

Kocham podróże. Zarówno te służbowe, jak i te mające bardziej wakacyjny charakter. Mieszkając w USA przez ostatnich 11 lat, w podróży byłam praktycznie bez przerwy. Relacjonowałam konwencje wyborcze, debaty telewizyjne kandydatów na prezydenta USA, szczyty NATO, huragany, powodzie, strzelaniny, duże wydarzenia sportowe. Przywykłam do życia na walizkach. I nie mam problemu ze wstaniem o drugiej czy trzeciej nad ranem, żeby zdążyć na samolot odlatujący o piątej rano.

KSIĄŻKA

To nieodłączny element każdej mojej podróży. Wolę te tradycyjne, papierowe, ale jeśli chcę przeczytać kilka pozycji w trakcie kilku dni, wówczas zabieram w podróż książkę elektroniczną. Zazwyczaj czytam książki po angielsku. Choć robię wyjątki. W ostatnią podróż zabrałam książkę z felietonami mojej Mamy Izabeli Brodackiej-Falzmann.

MAGAZYN „GO!"

Obejmując stanowisko dyrektor wykonawczej ds. komunikacji korporacyjnej, zostałam również redaktor naczelną magazynu wewnętrznego grupy Orlen. Czas spędzony w samolocie to idealny moment, by się pochylić nad numerem i zastanowić nad następnym wydaniem.

BUTY DO BIEGANIA

Bez nich nie wyobrażam sobie podróży. Zawszę znajdę chwilę, żeby pobiegać chociaż 15 min albo przynajmniej pójść na spacer czy na siłownię.

SZPILKI

Na co dzień nie chodzę w szpilkach, ale na spotkania biznesowe zawsze je zakładam. Dlatego zawsze pakuję do walizki przynajmniej jedną parę.

SŁUCHAWKI

Nie potrafię się bez nich obejść, bo w podróży uwielbiam słuchać wykładów, podcastów i muzyki. Czy to na lotnisku, czy w samolocie, czy też już biegając po plaży lub ulicach kolejnego odwiedzanego miasta.

eprasa.pl 33776eaff3

MASKA NA OCZY

Lubię spać w całkowitej ciemności. Jeżeli więc chcę uciąć sobie krótką drzemkę na pokładzie samolotu, maska jest niezbędna.

LAPTOP

Podróże najczęściej związane są z moją pracą, dlatego też do walizki pakuję również laptopa.

SZAL

Szale lub szaliki pakuję do walizki zarówno latem, jak i zimą. Dzięki temu nigdy nie marznę na pokładzie samolotu.

ZIELONA HERBATA

Jedyna rzecz, od której jestem naprawdę uzależniona. Potrafię wypić nawet 20–30 kubków zielonej herbaty dziennie. Dlatego mam ją zawsze przy sobie. Zarówno w torebce, jak i w walizce.

OWOCE I CZEKOLADKI

Na wszelki wypadek. Nie przepadam za jedzeniem w samolocie, dlatego zawsze mam przy sobie mandarynki, batony energetyczne lub czekoladki. Idealnie komponują się z zieloną herbatą.

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Modlitwa i maseczka

Dominik Zdort

Miałem nadzieję, że uda mi się o koronawirusie napisać raz i do sprawy wracać nie będę. Jednak od tematu uciec się nie da. „Chińska zaraza" nie tylko wkroczyła w nasze życie codzienne, ale powoli zaczyna zastępować duchowe. Staje się świeckim wyznaniem, swego rodzaju anty-Kościołem. Ma swoich proroków: naukowców przewidujących, że niebawem zarażonych będzie nawet 70 proc. ludzi na świecie, ma swoich kapłanów: lekarzy głoszących o nowych przypadkach zachorowań i dzielnie stojących przy swojej schorowanej trzódce, ma wreszcie swoich schizmatyków: szarlatanów głoszących coraz to nowe fake newsy.

Ma nie tylko swoje rytuały – z nieustannie pokazywanym przez media mierzeniem temperatury kierowcom chińskich ciężarówek – lecz także szaty liturgiczne: od masek przeciwgazowych i szczelnych kombinezonów noszonych przez kapłanów w czasie „uroczystości", po dyskretny symbol wiary, jakim jest niewielka maseczka na twarzy, odpowiednik księżowskiej koloratki noszonej do świeckiego stroju.

Przede wszystkim jednak koronawirus wypełnił nasze życie emocjonalne. Nawet jeśli doniesienia o tym, że „chińska zaraza" zdziesiątkuje populację świata, są mocno przesadzone, to widać, że zapewniła już sobie wygodne środowisko do rozwoju w naszych organizmach: w sercach i duszach (a konkretnie w jądrze migdałowatym, czyli w tym fragmencie mózgu, który odpowiada za strach). W zeświecczonej cywilizacji stała się tym, czym była dla naszych antenatów Opatrzność – niepojętą, nadprzyrodzoną siłą, której zwyczajny człowiek nie potrafi zrozumieć, a nawet człowiek nadzwyczajny, wykształcony, specjalista, nie umie poskromić.

Tego rodzaju nieco bałwochwalcza „bojaźń Boża" w odniesieniu do koronawirusa zagościła także gdzieniegdzie w Kościele katolickim – w wielu krajach mamy do czynienia z odwoływaniem mszy, a polscy biskupi zaczęli namawiać do przyjmowania komunii na rękę oraz do rezygnacji z korzystania z wody święconej umieszczonej w kościelnych kropielnicach. I przez moment miałem wrażenie, że „chińska zaraza" jest rzeczywiście dziełem sił nadprzyrodzonych, choć oczywiście nie Boga, lecz szatana, który uwziął się, aby zniszczyć Kościół, upodabniając go do wierzeń protestanckich.

Całe szczęście, że zaraz hierarchowie wezwali – także – do modlitwy i pogłębiania wiary. I słusznie, bo jeśli tego nam zabraknie, to nie pomogą ani maseczka, ani pseudoreligijne protestanckie rytuały.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 33776eaff3

RZECZY POSPOLITE

Zwykła grypa?

Tomasz Łysiak

Po zamknięciu szkół na terenie całych Włoch premier Conte oraz wirusolodzy i specjaliści chorób zakaźnych w Italii zaczęli tłumaczyć, dlaczego potrzebne są tak zdecydowane działania. Prof. Burioni z Uniwersytetu San Raffaele w Mediolanie stwierdził, że do ludzi należy się zwracać jak do dorosłych, a nie jak do pięcioletnich dzieci. Trzeba wyjaśniać zagrożenia w czytelny sposób, a nie tylko łagodzić lęki i przeciwdziałać panice.

Włoskie dane, ogłaszane codziennie przez szefa Obrony Cywilnej Angelo Borellego, na stałej konferencji o godz. 18.00, to konkretne liczby, twarde fakty. Wskazują one, że CFR choroby (śmiertelność) oscyluje wokół danych globalnych podawanych przez WHO, czyli 3,4 proc., zaś odsetek pacjentów wymagających położenia na łóżkach i ciągłego wspierania oddychania to 10 proc. W związku z powyższym szpitale stają przed olbrzymim problemem – związanym z miejscami na OIOM. Bo chorych przybywa, należy ich izolować od innych pacjentów, którzy muszą być na OIOM, i w dodatku stan ciężki wymagający wspierania aż do wyleczenia trwa długo (być może tygodnie). Naukowcy i lekarze włoscy w jasny i prosty sposób tłumaczą – jeśli koronawirus rozprzestrzeni się tak jak grypa, to wystarczy wziąć kalkulator i policzyć te same procenty/proporcje i dopiero wtedy zdajemy sobie sprawę z tego, na czym polega zagrożenie. 10 proc. pacjentów wymagających opieki na OIOM, przy liczbach całkowitych zarażeń sięgających np. setek tysięcy miesięcznie (jak przy grypie), przerastałoby możliwości służby zdrowia.

Ponieważ: a. nie ma szczepionki, b. nie ma na SARS-CoV-2 lekarstw, to jedyną bronią jest: a. testowanie, wykrywanie wirusa, b. ograniczenie liczby zarażonych poprzez zmniejszenie możliwości jego transmisji. Zatem jedyną drogą walki z epidemią jest maksymalne ograniczenie kontaktów między ludźmi w najbliższym czasie. Dlatego podejmowane są wszystkie te, niespotykane do tej pory, środki – zamykanie szkół czy polecenia, by zachować od siebie dystans ok. 1 m i nie podawać ręki.

Epidemiolog z Turynu dr Di Perri powiedział: „Przed nami zapewne dwa najtrudniejsze miesiące od czasu zakończenia II wojny światowej. Chińczykom udało się zdusić chorobę poprzez wymuszenie zamknięcia obywateli w prowincji Hubei w domach. My tego nie możemy zrobić”.

Janda z tasakiem w głowie

Piotr Cywiński

„Drogie Radio Erewań! Czemu nie nadajecie politycznych kawałów? – pyta słuchacz. – Drogi słuchaczu, bo wolimy jeść biały chleb nad Morzem Czarnym niż odwrotnie...”. Pyszny kawał, ale do nadawania o Polsce PiS przez Krystynę Jandę, jak sama się określa, „aktorkę nie tylko polską”, chyba jednak nie pasuje, bo nikt jej w okolice Morza Białego dotąd nie zesłał. Przykład? „Janda brutalnie o TVP i Zenku Martyniuku. Nie przebierała w słowach”, huknął w tytule „Der Fakt”, de domo Ringier Axel Springer, kiedy ta „wielka/legendarna” skomentowała, czym „żyją Polacy”: palcem Joanny Lichockiej żyją... – „to była taka podłość” i „zapiekła złość”, bo „chodziło o sprawę zdrowia i życia tysięcy ludzi!”, i telewizją publiczną, której „gwiazda kina i teatru nie szczędziła gorzkich słów”, więc jej „nie zobaczymy w TVP, ale Zenka Martyniuka już tak”, załkał „Der Fakt”. No dramat, tragedia w jednym, co ja piszę – w wielu aktach!

O TVP Janda ma bardzo wyrobione zdanie, skoro – co też sama uzasadniła – „od pięciu lat ani razu nie włączyłam kanału telewizji publicznej”. Podobnie o Zenku, o którym traktuje równie „brutalnie” i „nie przebierając w słowach”: „nie słyszałam, jak śpiewa”... Czapka z głowy przed „Faktem”, a i „Gazetą Wyborczą”, w której Janda występuje, w przeciwieństwie do TVP, gdzie nie wystąpi, bo „w środowisku dominuje pogląd, że nie bierze się udziału w wywiadach publicystycznych czy w materiałach informacyjnych” tego kanału.

A fuj, aktorzy łamistrajki, którzy nie chcą przyłączyć się do Jandowego bojkotu reżimowej telewizji, do której ona nie chodzi: „Chodzę na protesty i nie lubię ludzi, którzy milczą”, skwitowała. Znaczy, siebie lubi, bo nie milczy i trwa w wierze, że jeśli w wyborach prezydenckich „wygra ktoś z opozycji, będzie po PiS”. A jak się jej tymczasem żyje w Polsce PiS? Tu poszła dalej niż wcześniej, bo w Radiu Zet skarżyła się: „Ja się czuję, jakby ktoś na mnie srał cały czas”, teraz czuje się, jakby uderzono ją w głowę tasakiem.

„Janda jako wścibska, przaśna, rozkrzyczana, zarozumiała »baba«. Wcale nie tak łatwo ją polubić”, zaczął tak na zachętę swą recenzję o spektaklu „Lily” w jej Och-Teatrze portal Der Onet, de domo Ringier Axel Springer, ale dalej już było słodko. Dzielna kobieta. W głowie tasak, a chodzi i rozprawia jak w Radiu Erewań: „Rosyjscy naukowcy złapali okazałą rybę. Od głowy do ogona miała cztery metry, a od ogona do głowy trzy metry. Jak to możliwe? – pyta słuchacz. Radio Erewań: – Możliwe, od poniedziałku do piątku jest pięć dni, a od piątku do poniedziałku tylko trzy”...

eprasa.pl 33776eaff3

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x2, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, GRZEGORZ BUKAŁA/REPORTER, SHUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na którą z poniższych osób oddałaby Pani/oddałby Pan głos w drugiej turze wyborów prezydenckich?

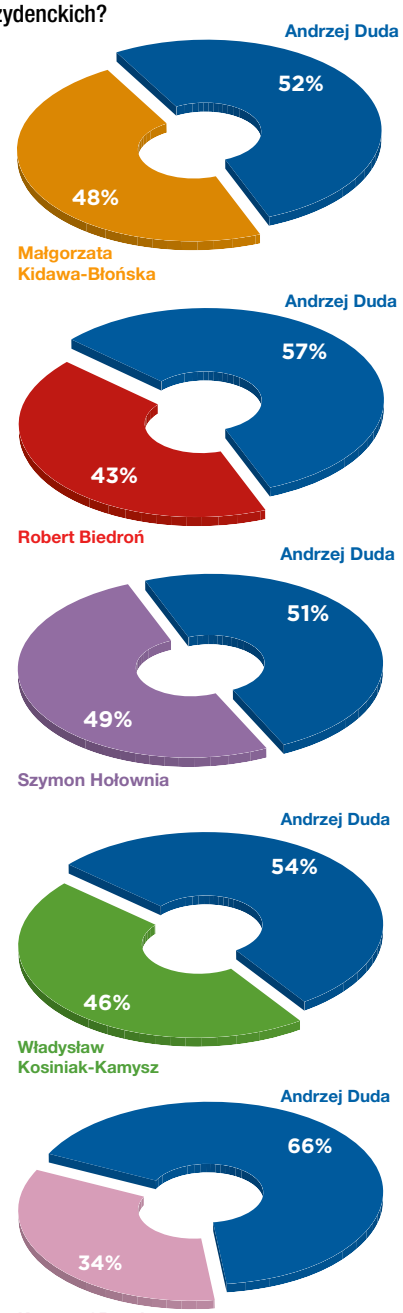

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1090.

Zakres czasowy badania 21–24 lutego 2020 r.

eprasa.pl 33776eaff3

Ze strony opozycji i jej medialnych akolitów często słyszymy apele o złagodzenie dyskursu publicznego, o wzajemny szacunek i tolerancję. Trudno jednak traktować te słowa poważnie, skoro liberalno-lewicowa strona dyskursu sama wciąż przekracza kolejne granice. Nie sposób nie zauważyć, że bardzo często celem brutalnych ataków stają się kobiety współtworzące prawicę bądź z nią kojarzone. W stosunku do nich nie obowiązują żadne reguły, żadne zasady. Nie ma miejsca ani na dobry obyczaj, ani na zwykły szacunek, o dobrym wychowaniu już nie wspominając. Wielokrotnie miałam wrażenie, że to właśnie kobiety prawicy są atakowane szczególnie ostro. Nie można się na to godzić. Trzeba wreszcie powiedzieć: dość szowinizmu lewicy!

DOROTA ŁOSIEWICZ

Dość tego!

Fot. Andrzej Wiktor (2), Piotr Molecki / East News, Tytus Żmijewski / PAP

eprasa.pl 33776eaff3

UDERZ W AGATĘ, ANDRZEJA ZABOLI

Z jednej strony kandydatka Koalicji Obywatelskiej na prezydenta Małgorzata Kidawa-Błońska mówi: „Hejt, nienawiść – złe słowa weszły w nasze życie, stały się codziennością" oraz „Nie może być na to zgody, stawiamy temu wielki odpór i sprzeciw. Namawiamy wszystkich, żeby zaczęli od siebie". Z drugiej jednak strony ta sama kandydatka pytana na konferencji prasowej o fizyczne ataki na wolontariuszy zbierających podpisy pod listami Krzysztofa Bosaka i Andrzeja Dudy nie chce nikogo potępiać. Podobnie nie wstydzi się za zadymiarzy z Pucka, którzy wykrzykiwali pod adresem głowy państwa wulgaryzmy podczas państwowych uroczystości. W łagodzeniu dyskursu nie przeszkadza także kandydatce KO na prezydenta to, że Mariusz Kozak-Zagozda, twórca hejterskiego SokuzBuraka, został zatrudniony w jej sztabie jako „osoba wykonująca umowę agencyjną, umowę zlecenia lub umowę o świadczenie usług", o czym szeroko pisali Marcin Wikło i Marek Pyza w ostatnim numerze tygodnika „Sieci".

Podobnie często i chętnie o umiar apeluje lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. Te apele postanowiła zignorować jego małżonka, bezpardonowo atakując pierwszą damę Agatę Kornhauser-Dudę: „Nie jestem i nigdy nie będę żoną, która milczy, nie ma swojego zdania i chowa się za ogrodzeniem prezydenckiego pałacu, statystuje tylko mężowi" – pokazała pazury żona „tygrysa" Paulina Kosiniak-Kamysz. Najwidoczniej, skoro głowa państwa jest poza sondażowym zasięgiem Kosiniaka-Kamysza, jego sztabowcom (przecież nie była to indywidualna inicjatywa pani Pauliny) zamarzyły się babskie zapasy w błocie. Choć jest to bardziej rzucanie błotem, bo żona prezydenta nigdy nie zniży się do takiego poziomu.

Podobnie jak swego czasu nie dała się wciągnąć w aborcyjną nawalankę, choć wyzwiskom skierowanym pod jej adresem nie było końca. W polityczną rozróbę próbowały prezydentową wciągnąć posłanki Nowoczesnej, wysyłając do niej list z apelem o zajęcie stanowiska w sprawie zaostrzenia ustawy aborcyjnej. Gdy stało się jasne, że prezydentowa w gierki opozycji wciągnąć się nie da, ochoczo poczęto rzucać w jej kierunku rozmaitymi wyzwiskami. Dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska nazwała wówczas pierwszą damę „polską katolicką odpowiedzią na Barbie". Dorota Wellman stwierdziła, że pierwsza dama nie powinna być „milczącą kukłą, która stoi i ładnie się uśmiecha!", Ewa Wanat, była redaktor naczelna i dyrektor programowa RDC, stwierdziła: „Taki stereotyp, że jak ktoś jest ładny, dobrze się ubiera, zna języki i ma fajnego i mądrego ojca, sam musi być mądry i fajny. No nie, to się nie sprawdza". Paulina Młynarska zarzuciła prezydentowej brak niezależności oraz określiła ją jako „ładnie ubraną panią u boku uśmiechniętego pana z długopisem".

Tymczasem Agata Kornhauser-Duda ze spokojem robi to, co założyła sobie na początku kadencji męża. Nie daje się wciągać w polityczną awanturę. Dużo jeździ po kraju, nie tylko z mężem. Odwiedza szpitale, szkoły, hospicja, wciąż uczy niemieckiego, zachęca dzieci do czytania. Prowadzi niezwykle aktywną działalność publiczną i każdy, kto chce, może zobaczyć na internetowej stronie prezydenta, co dziś lub wczoraj robiła pierwsza dama.

Rafalska:
– Kobiety prawicy można wyśmiewać na wszystkie możliwe sposoby: nasze fryzury, twarze, ubrania, ale niechby ktoś śmiał powiedzieć coś nieprzychylnego na temat wyglądu Magdaleny Środy! Rozpętałoby się piekło

– Feministki tworzą taką rzeczywistość, że wszystkie kobiety prawicy lub po prostu te, które mają inne niż one poglądy, to gorsza kategoria kobiet. My jesteśmy te zacofane „mohery", jesteśmy brzydsze i gorzej ubrane. Pamiętam, jak pewna znana aktorka powiedziała o wybitnej kobiecie, o Beacie Szydło, że ona w ogóle nie jest kobietą. Kobiety prawicy nie jedzą, tylko żrą (biedna Krysia Pawłowicz i jej sałatka). Jedzą feministki lub wegetarianki. My nadajemy się tylko do garów – wylicza Elżbieta Rafalska, była minister rodziny, pracy i polityki społecznej, dziś eurodeputowana. – My się potrafimy obronić. Warto, żeby nasi polityczni oponenci zapamiętali, że mamy prawo do własnych poglądów, do własnych wyborów, do osobistej wolności – komentuje Rafalska. – Kobiety prawicy można wyśmiewać na wszystkie możliwe sposoby: nasze fryzury, twarze, skórę, ubranie, okulary, ale niechby ktoś śmiał powiedzieć coś nieprzychylnego na temat wyglądu Magdaleny Środy! Rozpętałoby się prawdziwe piekło. Niech się wreszcie od nas odczepią! Jesteśmy tak samo dobrze wykształcone, zaradne, mamy tylko inne poglądy. I to jest nasza największa zbrodnia. Na szczęście nie tak łatwo nas wystraszyć. I raczej nie poddamy się presji, że jak zmienimy swoje poglądy, to staniemy się fajniejsze, modniejsze i ładniejsze – żartuje była minister rodziny, pracy i polityki społecznej.

WŚCIEKŁA SUKA I TA KROWA

Okazuje się jednak, że jeśli chodzi o prawo do obrony, zwłaszcza w przypadku kobiet prawicy, nie zawsze jest tak różowo. Przekonała się o tym szefowa kampanii Andrzeja Dudy Jolanta Turczynowicz-Kieryłło, gdy tylko objęła swoje stanowisko. Okazało się, że do rangi zbrodni może urosnąć ugryzienie napastnika w rękę w odruchu samoobrony. Tak przynajmniej uznała „Gazeta Wyborcza", publikując tekst „Szefowa kampanii Andrzeja Dudy pogryzła mieszkańca Milanówka". Opisano tam sytuację z listopada 2018 r.,

eprasa.pl 33776eaff3

kiedy Turczynowicz-Kieryłło podczas spaceru z synem w Milanówku miała zostać zaatakowana przez mężczyznę. W artykule „GW" wyeksponowane zostało to, że Turczynowicz-Kieryłło ugryzła napastnika w rękę. Ledwie na marginesie wspomniano zaś o tym, że mężczyzna dusił szefową kampanii prezydenta i że stanęła ona w obronie swojego syna. Temat za to radośnie podchwycili internauci, pisząc m.in. o „pisowskiej wściekłej suce".

Nikogo, a szkoda, nie ugryzła podczas ataku na siebie w Jeleniej Górze Anna Zalewska, była minister edukacji, dziś eurodeputowana. Jednak i w jej przypadku mieliśmy do czynienia z porównaniami ze zwierzęcego świata. „Tą krową" nazwał byłą minister były prezydent Lech Wałęsa. Rzecz się zdarzyła w związku z obradami Sejmu Dzieci i Młodzieży. Tematem jednych obrad uczyniono dekomunizację, a na sali plenarnej skandowane były m.in. hasła „Lech Wałęsa!" i „Precz z komuną!". Dlatego obrady zainteresowały byłego prezydenta Polski, który swoimi przemyśleniami podzielił się na Facebooku. „Ten spektakl w Sejmie na Dzień Dziecka jest totalną pomyłką. Dzieci nie mają dojrzałej świadomości i wyrobionych poglądów. Toteż można nimi manipulować. I właśnie do tego dochodzi w naszym Sejmie. Co takie dziecko może wiedzieć o Lechu Wałęsie? A skandowanie »Precz z komuną!« przypomina mi filmy archiwalne, kiedy niemieckie przedszkolaki hajcowały na cześć Hitlera. Tyle samo wiedziały, co robią, co nasze dzieci dziś w Sejmie. Wstyd – gdzie jest minister edukacji, ta krowa?! Edukować, a nie manipulować i nakazywać dzieciom robić rzeczy, o których nie mają pojęcia" – pisał Mędrzec Europy, zapominając o Wersalu.

– Będąc ministrem edukacji, doświadczałam codziennego, zmasowanego, systematycznego hejtu. Nie reagowałam, żeby nie budzić dodatkowych emocji, bo już te rozbujane przez opozycję do granic możliwości, związane z reformą edukacji, były tak wielkie, że nie chciałam dolewać oliwy do ognia. Nie mogłam, nie chciałam się skarżyć, że ktoś użył wobec mnie wulgaryzmu. Stworzyłam sobie kokon, który pozwolił mi przetrwać uderzenia polityków opozycji, dziennikarzy, ulicy czy te w mediach społecznościowych – wspomina Anna Zalewska. – Tego było pełno. Hejterski portal wypuścił kiedyś mem, który sugerował, że nie mam prawa mówić o moralności, bo jako studentka dorabiałam w niemieckich magazynach dla mężczyzn. Wszystko z odpowiednią ilustracją. Mem rozprowadzały m.in. moje koleżanki z przeciwnej strony politycznej – wspomina Zalewska. – Jednak zupełny szok przeżyłam, gdy po napaści w Jeleniej Górze sąd stwierdził, że określenie „sucz pier..." mieści się w ramach demokratycznego wyrażania poglądów i demonstracji. A to, że miałam na ciele siniaki, poddałam się obdukcji, było bez znaczenia – wspomina wydarzenia sprzed trzech lat była szefowa MEN.

Zalewska:
– Przeżyłam szok, gdy po napaści na mnie przez KOD w Jeleniej Górze sąd stwierdził, że określenie „sucz pier..." mieści się w ramach demokratycznego wyrażania poglądów i demonstracji

Do wspomnianej już napaści na byłą minister doszło po spotkaniu na terenie Karkonoskiej Państwowej Szkoły Wyższej w Jeleniej Górze. Zalewska rozmawiała tam z rodzicami, nauczycielami i samorządowcami. Mówiła o nowej ustawie reformującej polską edukację. Działacze Komitetu Obrony Demokracji czekali na minister przed budynkiem. Nie przebierali w wyzwiskach. Doszło do szarpaniny. Zalewska i towarzysząca jej Marzena Machałek, wówczas posłanka PiS, dziś wiceminister edukacji, musiały uciekać do rządowych samochodów.

– Billboardy czy zdjęcia z wykrzywioną twarzą to była moja codzienność. Ja się nie śmieję, ja „szczerzę zęby" – wspomina teksty na swój temat Zalewska. – Każdego dnia byłam w mediach i przez partyjnych kolegów odzierana z godności. Chodziło o to, żeby udowodnić, że reforma jest głupia, bo Zalewska jest głupia. Żeby mnie zniechęcić do działania – opowiada była minister.

– Istotą demokracji jest spór. Zawsze się spieraliśmy i spierać będziemy. Jednak nasi polityczni oponenci prowadzą spór drogą dehumanizacji adwersarzy politycznych, sięgając po wszelkie możliwe metody – mówi Beata Kempa, była minister ds. pomocy humanitarnej w rządzie Zjednoczonej Prawicy, dziś eurodeputowana.

KOKTAJLEM MOŁOTOWA

Rok po zajściach z Jeleniej Góry doszło do próby podpalenia poselskiego biura Beaty Kempy w dolnośląskim Sycowie. Ktoś rzucił w drzwi pojemnik z łatwopalną substancją. Incydent zdarzył się w nocy.

– Niełatwo mnie wystraszyć czy zastraszyć. Jednak po próbie podpalenia biura poselskiego w Sycowie obudził się we mnie lęk. Nie tyle o siebie, ile o tych, którzy mieszkali w kamienicy, a także o moich współpracowników. Najbardziej przerażone były dzieci, bo to one ucierpiały najmocniej. Dopóki nie złapano sprawcy, bałam się o bezpieczeństwo swoich ludzi. Nie życzę tego żadnemu politykowi, bez względu na opcję polityczną. Działanie podpalacza było motywowane politycznie. Sąd uznał wówczas, że stan psychiczny sprawcy nie pozwala go pociągnąć do odpowiedzialności karnej. Moim subiektywnym zdaniem osoby dopuszczające się

eprasa.pl 33776eaff3

takich przestępstw, które nie mogą być pociągnięte do odpowiedzialności, bo są np. chore psychicznie, powinno się skutecznie izolować i leczyć. Tymczasem sprawca podpalenia mojego biura jest na wolności. Nie jestem, broń Boże, żądna zemsty, ale myślę o bezpieczeństwie innych osób, a także o zdrowiu i bezpieczeństwie samego sprawcy. Decyzję sądu odbieram jako przyzwolenie na tego typu zachowania. A przecież musimy zdawać sobie sprawę z tego, że takie ataki są po prostu bardzo groźne i niebezpieczne – mówi Kempa. – Przemysł pogardy nakręcany jest po to, żebyśmy przestały w siebie wierzyć. Kobiety są w polityce łatwiejszym celem niż mężczyźni. Łatwiej nas zranić emocjonalnie. Można napisać o złej minie czy brzydkiej sukience, to zawsze boli. Ale wychodzę z założenia, że dobrych ludzi, „ludzi dobrej woli" jest więcej. Pokazują to sondaże, a weryfikują dobre wyniki wyborcze, które są najlepszą społeczną oceną naszej pracy – dodaje europosłanka PiS.

RODZINA NA CELOWNIKU

Jedną z najchętniej atakowanych kobiet z obozu Zjednoczonej Prawicy jest była premier Beata Szydło. Gdy już wyczerpią się tematy związane z rzekomo złym gustem, fryzurą, makijażem, broszkami, źle dobranymi butami, zawsze można uderzyć pod byle pretekstem, np. takim, że była premier patrzy w okno. Burzę o to rozpętali Silni Razem, a podchwycili inni niechętni rządowi zwolennicy opozycji. Na Twitterze pojawiło się zdjęcie Szydło, która jadąc autobusem, patrzy w okno. „Tak podróżuje Premier kraju. Odwrócona od wszystkich. Trudno spojrzeć ludziom w oczy" – głosił komentarz do zdjęcia zrobionego przez współpodróżnego jesienią ub.r. Sęk w tym, że zdjęcie było wykonane w autobusie lotniskowym dowożącym pasażerów do samolotu lub terminala, w Brukseli, nie w Polsce.

– Nikt nie był atakowany tak okrutnie jak Beata Szydło. Gdy doszło do wypadku w okolicy jej domu, atak był tak silny, jak gdyby to ona sama siedziała za kierownicą, a nie kierowca BOR. Beata jest atakowana, bo jest silna, ma olbrzymie poparcie społeczne, zbudowała sobie autorytet – stwierdza Elżbieta Rafalska.

> **Kempa:**
> – Po próbie podpalenia mojego biura poselskiego w Sycowie obudził się we mnie lęk. Nie tyle o siebie, ile o tych, którzy mieszkali w kamienicy, a także o moich współpracowników

O ile kobiety politycy, podobnie jak mężczyźni, muszą mieć grubą skórę i spodziewać się niemal wszystkiego, o tyle dużo trudniej wytłumaczyć ataki członkom rodzin pozostających poza polityką. Mąż Beaty Szydło, Edward Szydło, mógł przeczytać niewybredne komentarze o sobie i swoim wyglądzie oraz dowiedzieć się, że ubiera się w lumpeksie. Prześwietlano, co robi zawodowo i ile zarabia, choć nie jest i nigdy nie był osobą publiczną. Jednak najbrutalniejszy atak dotknął syna byłej premier, Tymoteusza Szydłę. W tabloidach pojawiły się informacje związane z przyczynami bezterminowego urlopu księdza Tymoteusza. Spekulowano, że duchowny może zostać ojcem, tymczasem współpracownicy Beaty Szydło tłumaczyli, że młody ksiądz źle radził sobie z medialną presją i nieprzychylnym nastawieniem kolegów po fachu. Wówczas w obronę Beatę Szydło wziął premier Mateusz Morawiecki: „Ataki na Beatę Szydło i jej najbliższych są haniebne i absolutnie niedopuszczalne; rodzina jest i pozostanie w Polsce świętością, dlatego wykorzystywanie jej do walki politycznej budzi odrazę" – napisał na Twitterze szef rządu.

Niestety jednak politycy Zjednoczonej Prawicy zbyt rzadko zabierają głos w obronie swoich koleżanek.

– Beatę Szydło atakuje się z dwóch powodów. Po pierwsze, Szydło świetnie się klika, więc trzeba o niej pisać. Cokolwiek. Po drugie, opozycja ją atakuje, ponieważ jest bardzo popularnym politykiem. Ludzie ją kochają. Liczne uderzenia medialne i polityczne mają po prostu osłabić jednego z liderów prawicy. Nie wszyscy politycy PiS wzbudzają taką autentyczną sympatię i żywe, prawdziwe emocje. Poza tym wyborczy wynik (ponad pół miliona głosów) wskazuje, że Beata Szydło ma ogromny potencjał. To normalna Polka z krwi i kości. Ma męża, dzieci normalny dom. Przez to staje się kuszącym celem ataków. Ileż można bowiem uderzać w Jarosława Kaczyńskiego, że nie ma rodziny czy jest rozczochrany? Nuda. Dla tzw. pisowskiego ludu to jest „nasza Beata". Uderzenie w nią to podmywanie podstaw pisowskiego rdzenia – tłumaczy jeden z wieloletnich współpracowników Beaty Szydło.

Także pierwsza dama doświadczyła ataków na swoją rodzinę. Prywatne życie prezydenckiej pary znalazło się nie tylko pod lupą wścibskich dziennikarzy, ale podejmowane wręcz próby rozbicia małżeńskiej jedności przez liczne, co jakiś czas wypływające sugestie dotyczące wierności prezydenta. Ostatnia historia dotyczy Jolanty Rosiek, z którą prezydent rzekomo miał romans. Ale

eprasa.pl 33776eaff3

to nie pierwsza tego typu publikacja. Kiedyś plotkę o tym, że w małżeństwie prezydenckiej pary nie dzieje się dobrze, puścił tygodnik „Polityka". Ten sygnał do ataku ochoczo podjęły inne media niesprzyjające obecnej władzy oraz żyjące z takich informacji tabloidy, donosząc nawet o pozwie rozwodowym, jaki miała złożyć pierwsza dama. Koronnym argumentem na poparcie tych plotek miała być nieobecność Agaty Kornhauser-Dudy na obchodach rocznicy katastrofy smoleńskiej, a konkretnie podczas uroczystości na Wawelu. Pierwsza dama wzięła udział dopiero w wieczornej mszy w archikatedrze. Przedstawiciel Kancelarii Prezydenta skomentował te doniesienia: „To kolejna plotka dotycząca pary prezydenckiej, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Kancelaria nie będzie się w ogóle odnosić do tego rodzaju pogłosek – ani teraz, ani w przyszłości" – skomentował rzecznik prezydenta. Tymczasem prawda była taka, że prezydentowa odwiedziła w tym czasie chorego tatę.

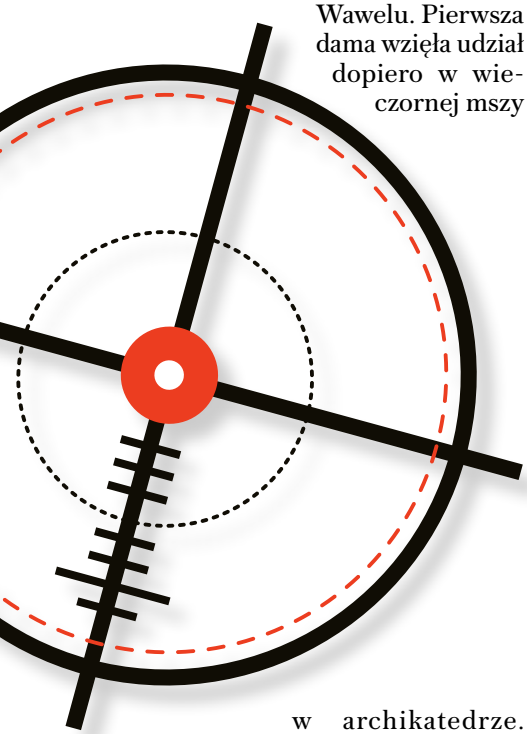

– Atak na moje małżeństwo był ostatnią próbą zniechęcenia mnie do reformy edukacji – wspomina Anna Zalewska. – W mediach pojawiały się kłamstwa o naszym rzekomym rozwodzie, którego nigdy nie było, pod moim domem pojawili się dziennikarze, którzy rozpytywali o to, czy wracam do domu i z kim spotyka się mąż. Przetrwaliśmy to, ale uderzenie w rodzinę to zawsze największy ból, to jest najtrudniejsze do zrozumienia.

GANGSTER JAKO BROŃ

Gdy już zupełnie nie wiadomo, z której strony uderzyć, można skorzystać z zeznań gangstera. Tak zrobiła „Gazeta Wyborcza", by uderzyć w Patrycję Kotecką, żonę ministra sprawiedliwości, twarz reformy sądownictwa. Czytając tekst o „niebezpiecznych związkach" Patrycji Koteckiej, trudno oprzeć się wrażeniu, że byłą dziennikarkę śledczą, dziś żonę ministra, atakuje nie tyle gazeta, ile sama mafia.

Cały tekst Wojciecha Czuchnowskiego opiera się na zeznaniach świadka koronnego Piotra K., ps. Broda, który w 2009 r. przed prokuratorem zarzucił Koteckiej kontakty z warszawskim półświatkiem. To nowa jakość w dziennikarstwie, choć autor tekstu przyznał, że redakcji nie udało się zweryfikować, czy podane informacje są prawdziwe, to jednak tekst się ukazał. Czuchnowski, pod wpływem krytyki dziennikarzy, przyznał, że czekał z publikacją materiałów pięć lat. „To był mój wybór. Zostawiłem ten protokół dla siebie, przez lata wahając się, czy należy to nagłaśniać. Każdy ma prawo do dylematów moralnych" – komentował dla portalu Wirtualnemedia.pl. Z kolei Centrum Monitoringu Wolności Prasy zwróciło uwagę, że informacjom dziennika zaprzeczyły zarówno Prokuratura Krajowa, jak i sama bohaterka tekstu. „CMWP SDP przypomina, iż zgodnie z zasadami Światowej Karty Etyki Dziennikarskiej przyjętej 12 czerwca 2019 r. podczas 30. Kongresu Międzynarodowej Federacji Dziennikarskiej (IFJ), podstawowym obowiązkiem dziennikarza jest szacunek dla prawdy i prawo opinii publicznej do jej poznania. Spełniając ten obowiązek, dziennikarz powinien zawsze przestrzegać zasady rzetelności w zbieraniu i publikowaniu informacji i nie wolno mu wykorzystywać wolności prasy dla partykularnych korzyści. Jest to podstawą zasady wolności słowa w demokratycznym państwie, do której przestrzegania zobowiązani są zarówno przedstawiciele władzy, jak i mediów" – stwierdziło CMWO w oświadczeniu.

Jednak nie trzeba być politykiem, by paść ofiarą hejterów. Przekonała się o tym w 2018 r. Anna Machińska, wówczas reporterka „W tyle wizji", która miała nieprzyjemność spotkać na demonstracji Franciszka Jagielskiego znanego jako „Farmazon". Dziennikarka usłyszała wówczas: „Więcej mam szacunku dla k...y spod latarni niż dla ciebie. („Odpuść, do gó...a się nie przemawia" – słychać w tle). Tamta przynajmniej wie, o co chodzi, a ty jesteś sprzedajna za nic" – zwrócił się do młodej dziewczyny „obrońca demokracji".

Rok później „chodnikowa opozycja", awanturująca się pod warszawską siedzibą TVP, zwymyślała Magdalenę Ogórek, oklejając jej samochód i utrudniając odjazd z miejsca pracy. To jednak nie była jedyna napaść na dziennikarkę. Kilka miesięcy wcześniej Ogórek została zaatakowana chwilę po zakończeniu programu „Studio Polska", a następnego dnia przez inną osobę w kościele podczas mszy św., gdzie poturbowano jej męża.

– Wszyscy widzieli, co się zdarzyło pod TVP, a dziś to ja jestem nękana w sądzie i ustawiana w roli winnej wydarzeniom. Sąd dopuszcza nagrania na sali sądowej, telewizja KOD manipuluje moje zeznania i wrzuca je do sieci. To bolesne oraz upokarzające i nie pozwala mi zapomnieć o tamtej traumie. To celowe zabiegi – komentuje dziś sprawę Magdalena Ogórek.

Celowe są też tak konsekwentne ataki na kobiety prawicy. Chodzi o to, by wszystko, co nie jest lewicowo-lewicowym salonem, zamknąć w swoistym męskim getcie. By przekonać zarówno młodzież, jak i kobiety, że prawica to świat mało atrakcyjny, nudny, szowinistyczny. Dlatego tyle wysiłku wkłada się w zwalczanie tych kobiet, które na prawicy odgrywają ważne rolę, pokazując jednocześnie, że wzór wściekłej feministki nie jest jedyną drogą do sukcesu. Te kobiety bardzo skutecznie blokują rewolucyjne plany lewicy. Dlatego trzeba je chronić. Dlatego trzeba zatrzymać tę nienawiść.

Reklama | 64/0120/F

eprasa.pl 33776eaff3

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

W NUMERZE NA 15 MARCA

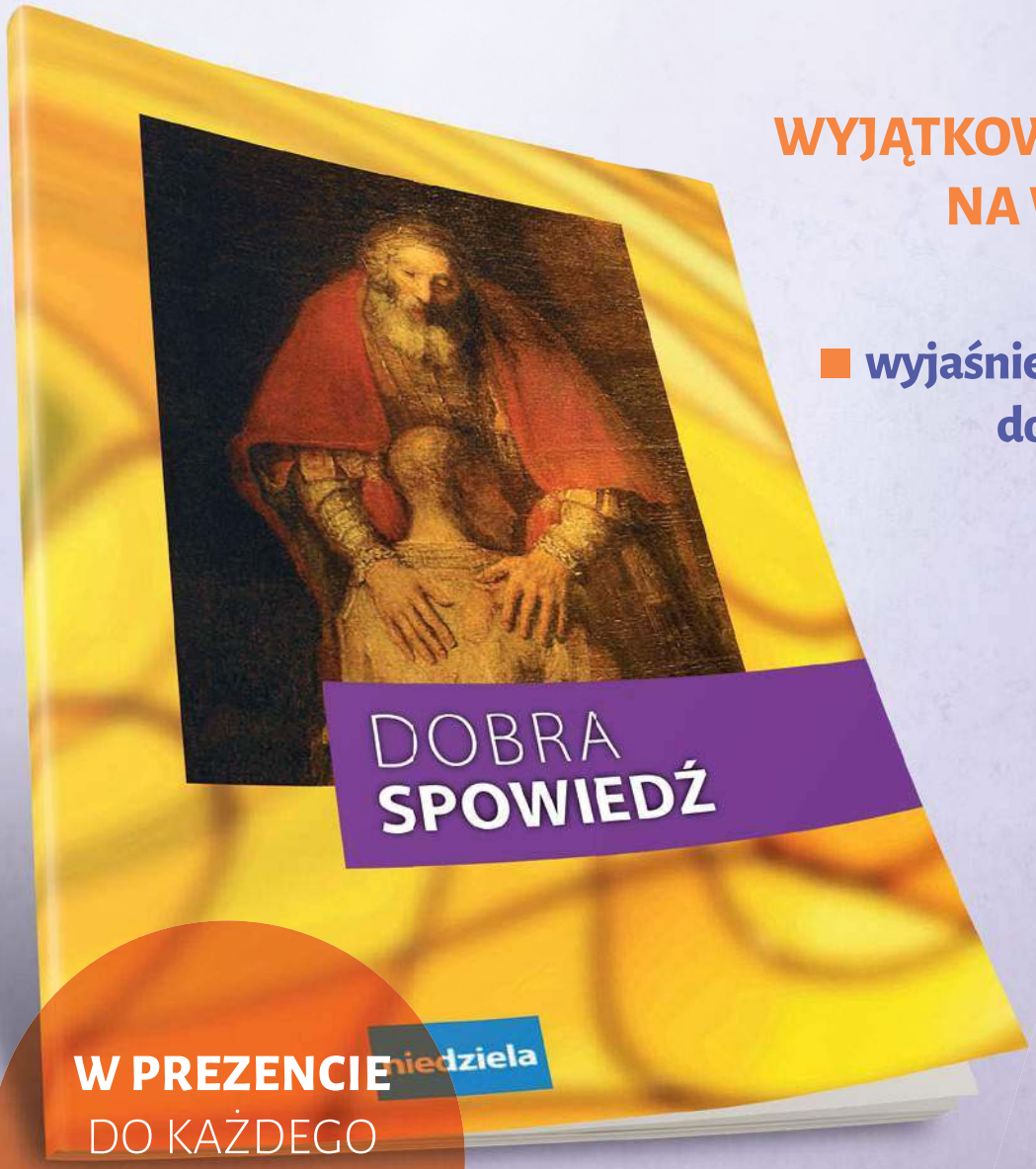

WYJĄTKOWY DODATEK NA WIELKI POST

A w nim m.in.:

- wyjaśnienie warunków dobrej spowiedzi
- rachunek sumienia
- modlitwy o dobrą spowiedź
- przejmujące świadectwo o spowiedzi

W PREZENCIE DO KAŻDEGO EGZEMPLARZA „NIEDZIELI"

DO KUPIENIA W KIOSKACH I PARAFIACH

eprasa.pl 33776eaff3

Pozyskanie przez kandydata Zjednoczonej Prawicy co najmniej 10,5 mln głosów wydaje się całkiem realne

Zasoby Andrzeja Dudy

STANISŁAW JANECKI

Nawet nieporadnie wypowiadając się w sprawie swoich szans wyborczych (jak 4 marca br. w „Rozmowie Piaseckiego"), Małgorzata Kidawa-Błońska zapisuje po stronie swoich aktywów w ewentualnej drugiej turze głosy innych opozycyjnych kandydatów. Po prostu sumują jej się do wygranej. A już jej sztabowcy, czyli politycy Platformy Obywatelskiej, praktycznie za swoją własność uznają wyborców Władysława Kosiniaka-Kamysza. Od początku kampanii po stronie opozycji panuje przekonanie, że da się przeprowadzić taki sam manewr, jaki w wyborach parlamentarnych dał jej przewagę w Senacie. Uważają tym samym, że wystarczy tę mechaniczną większość „dowieźć" do 24 maja (daty ewentualnej drugiej tury) i będzie wygrana z kandydatem popieranym przez Zjednoczoną Prawicę Andrzejem Dudą.

Problemem jest to, że opozycja (przede wszystkim Małgorzata Kidawa-Błońska i PO) zakłada posiadanie w ewentualnej drugiej turze aktywów, których faktycznie może nie mieć. I na odwrót, właściwie automatycznie odbiera Andrzejowi Dudzie głosy, które wcale nie muszą być dla niego niedostępne. Obecny prezydent może mieć zasoby po tej stronie, po której opozycyjni kandydaci ich kompletnie nie dostrzegają, czyli po ich stronie.

GRA O SUMIE STAŁEJ

Analogie między wyborami do Senatu a prezydenckimi są w wielu aspektach nietrafne. Przede wszystkim dlatego, że w wyborach do Senatu każdy z uczestników układu wszyscy kontra Prawo i Sprawiedliwość coś zyskiwał. Dlatego niewystępowanie przeciwko sobie opozycyjnych kandydatów na senatorów w jednomandatowych okręgach wyborczych miało sens – każdemu dawało premię. Oczywiście najwyższą kandydatom Koalicji Obywatelskiej, jednak ostatecznie do Senatu trafili i przedstawiciele lewicy, i PSL, i tzw. niezależni, którzy poza Lidią Staroń i tak deklarowali się jako przyszli uczestnicy koalicji

eprasa.pl 33776eaff3

Fot. Andrzej Wiktor

antyPiS. W wyborach prezydenckich właściwie zyska tylko to ugrupowanie, którego kandydat przejdzie do drugiej tury. Dlatego ważniejsze jest to, kto najmniej na tym straci, a nie, kto najwięcej zyska (gra o sumie stałej). Jeśli – jak wszystko wskazuje – do drugiej tury przejdzie Małgorzata Kidawa-Błońska, najmniej stracą zwolennicy Roberta Biedronia (co nie znaczy, że całej lewicy) oraz Szymona Hołowni. Pozostali praktycznie nic nie zyskują, w tym głównie wyborcy Władysława Kosiniaka-Kamysza. Nawet gdyby kilku jego ludziom Małgorzata Kidawa-Błońska zaproponowała jakieś stanowiska w swojej kancelarii (o czym się mówi w kuluarach), gdyby wygrała. Ani to nie wzmocniłoby PSL – Koalicji Polskiej, ani nie wpłynęłoby na sojusze PSL z PO w samorządach, które wynikają z istniejących od dawna wspólnych lokalnych interesów. A przecież jeszcze PSL może mieć kłopot z obecnym sojusznikiem, czyli Kukiz '15, gdy to stowarzyszenie przekształci się już w partię, a wtedy ugrupowanie Kosiniaka-Kamysza musiałoby jeszcze bardziej pokazywać swoją odrębność.

Korzyści z ewentualnej prezydentury Małgorzaty Kidawy-Błońskiej są dla PSL wyłącznie iluzoryczne. I w drugą stronę: gdyby to Władysław Kosiniak-Kamysz przeszedł do drugiej tury, wcale nie otrzyma pełnego poparcia wyborców Koalicji Obywatelskiej (PO), nawet gdyby Małgorzata Kidawa-Błońska deklarowała co innego. Choćby dlatego, że PSL wyłamało się z wielkiej koalicji przed wyborami parlamentarnymi, a koncepcja przystąpienia tej partii do Koalicji Obywatelskiej jest obecnie bardziej nierealna niż kiedykolwiek. Nie byłoby zatem wielkiego poparcia wyborców KO dla kandydata PSL w drugiej turze, tylko dlatego że jest kandydatem opozycyjnym. Raczej wielu z nich nie poszłoby na wybory. Tym bardziej że to wyborcy mało skłonni do udzielania poparcia komukolwiek poza swoimi, głównie z powodów „wyższościowych", czyli przekonania o własnej wyjątkowości, do której mało kto dorasta. Sztabowcy Władysława Kosiniaka-Kamysza, on sam oraz najmocniej zaangażowani zwolennicy zdają sobie sprawę z ulotności poparcia dla niego wyborców Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, dlatego i oni nie byliby przesadnie oddani temu, żeby ją popierać, a tym bardziej dla niej pracować między pierwszą a drugą turą wyborów (jeśli do tego dojdzie).

SIŁA PRZEPŁYWÓW

Wbrew deklaracjom kandydatów część sympatyków Władysława Kosiniaka-Kamysza, Krzysztofa Bosaka oraz część wyborców lewicy nie ma żadnego interesu w popieraniu w drugiej turze Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. W wypadku prezesa PSL jest to prawdopodobnie większa część, w wypadku Krzysztofa Bosaka – mniejsza, silne jest bowiem wśród tego elektoratu ideologiczne zacietrzewienie wobec Andrzeja Dudy i PiS. Z kolei w wypadku tradycyjnego elektoratu lewicy najmniejszy interes w popieraniu kandydatki PO ma ta część, dla której Robert Biedroń jest kandydatem obcym pod wielu względami i zbyt radykalnym, przede wszystkim obyczajowo. Tradycyjna lewica postkomunistyczna (z wyjątkami w rodzaju Joanny Senyszyn) jest raczej obyczajowo tradycyjna, a nawet pruderyjna. Z tych wszystkich powodów przepływy całych elektoratów opozycyjnych kandydatów do mającej największe szanse na drugą turę Małgorzaty Kidawy-Błońskiej są nierealne. I prawdopodobnie nawet jedna trzecia wyborców innych kandydatów do Kidawy-Błońskiej nie przepłynie. Najpewniejszy jest pod tym względem elektorat Szymona Hołowni, tym bardziej że pracują dla niego osoby wcześniej związane głównie z PO, a on sam – występując jako kandydat niezależny – najbardziej wzoruje się na Donaldzie Tusku i do jego stylu kampanii nawiązuje. Co wcale nie znaczy, że gdyby to Hołownia przeszedł do drugiej tury, poparłaby go większość wyborców Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Może nie z powodów „wyższościowych", ale z podejrzewania go o klerykalne ciągoty, choćby to było bardzo dalekie od rzeczywistości. W ewentualnej drugiej turze może natomiast wzrosnąć liczba wyborców Małgorzaty Kidawy-Błońskiej spośród tych, którzy w pierwszej turze nie będą głosować. Zadziałałaby wówczas mobilizacja ostatniej minuty, wynikająca głównie z szantażu moralnego, że brak aktywności to oddawanie walkowerem pola kandydatowi Zjednoczonej Prawicy.

W swojej kampanii przed pierwszą turą Andrzej Duda nie ma właściwie żadnego interesu, żeby atakować Władysława Kosiniaka-Kamysza, a tym bardziej jego zdeklarowanych wyborców, w pierwszej turze i tak bowiem zagłosują oni „po linii". Sam Kosiniak-Kamysz Andrzeja Dudę atakuje, podobnie jak jego żona Paulina pierwszą damę, ale to wynika ze strategii „powiezienia się" na plecach silniejszego. Prezes PSL – zaczepiając i prowokując urzędującego prezydenta – chce się wzmocnić kosztem pozostałych opozycyjnych kandydatów – jako główny rywal. Jeszcze bardziej to widać po prowokowaniu Agaty Kornhauser-Dudy przez Paulinę Kosiniak-Kamysz. Chodzi o to, żeby

eprasa.pl 33776eaff3

urzędujący prezydent wystąpił w obronie czci, godności i honoru swojej żony, a przez to wzmocnił rozpoznawalność żony rywala i uczynił ją ważną częścią kampanii. Ale przede wszystkim chodzi o przyznanie przez Andrzeja Dudę, że Władysław Kosiniak-Kamysz jest przeciwnikiem wyjątkowym i najsilniejszym, do którego prowokacji trzeba się odnosić. Nie ma też powodu, by kandydat popierany przez Zjednoczoną Prawicę w jakikolwiek sposób negatywnie odnosił się do wyborców tradycyjnej lewicy, tym bardziej że oni raczej doceniają wprowadzone dzięki jego wsparciu, a czasem z jego inicjatywy rozwiązania prosocjalne i propracownicze. I w ewentualnej drugiej turze to on może być dla nich lepszym wyborem niż Małgorzata Kidawa-Błońska, a także Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia. Największy kłopot jest z Krzysztofem Bosakiem i jego najwierniejszymi wyborcami, ale kandydat Konfederacji też chętnie „powiózłby się" na plecach urzędującego prezydenta, więc ten nie ma interesu, żeby stwarzać mu taką okazję. A sami wyborcy kandydata Konfederacji, mimo ideologicznych zaklęć, nie są skłonni przenieść głosów na Małgorzatę Kidawę-Błońską. To już w lepszej sytuacji byłby pod tym względem Władysław Kosiniak Kamysz.

10–11 MILIONÓW

Praktycznie jedynym przeciwnikiem Andrzeja Dudy, już w pierwszej turze, strategicznie powinna być Małgorzata Kidawa-Błońska, gdyż jej elektoratu i tak w drugiej turze nie pozyska albo pozyska w minimalnym stopniu. I jednak ma ona największe szanse na przejście do drugiej tury. Konfrontacja z nią jest o tyle ułatwiona, że szczególnie słabo sobie radzi w ważnej w kampanii tematyce ekonomicznej, socjalnej, wojskowej czy międzynarodowej. Na konwencje można ją w miarę dobrze przygotować, ale podczas występów w mediach czy w spontanicznych sytuacjach kompletnie się gubi. Albo wygłasza tezy sprzeczne z własnymi poglądami sprzed kilku lat, np. w sprawie 500+, wieku emerytalnego czy imigrantów i bezpieczeństwa zewnętrznych granic Unii Europejskiej.

Andrzej Duda jako prezydent zna państwo i jego mechanizmy, więc konfrontacja z kompletną amatorką nie powinna być dla niego problemem. Nie ma też specjalnego powodu, żeby kandydat popierany przez Zjednoczoną Prawicę usilnie starał się o głosy tzw. umiarkowanego centrum. Przede wszystkim dlatego, że jest ono nieokreślone i zmienia się w każdych wyborach, a poza tym nie bardzo wiadomo, jak jest duże. A zwykle jest mocno przeszacowywane. Inna sprawa, że wcześniejsze wybory prezydenckie i parlamentarne dowodzą, iż deklaracje nie idą w parze z decyzjami tej grupy wyborów przy urnie, więc i tym razem można się spodziewać, że w większości w drugiej turze i tak poprą Małgorzatę Kidawę-Błońską, a drugim i trzecim wyborem będą Władysław Kosiniak-Kamysz oraz Szymon Hołownia. Zabiegi o ten elektorat mogą przynieść niewspółmiernie małe efekty w stosunku do nakładów i zaangażowania.

> Prezes PSL, zaczepiając i prowokując urzędującego prezydenta, chce się wzmocnić kosztem pozostałych opozycyjnych kandydatów – jako główny rywal

Żeby wygrać wybory prezydenckie w maju br., może być potrzebne ponad 10 mln głosów, zakładając, że frekwencja będzie znacząco wyższa niż w 2015 r., bo taka jest tendencja w kilku ostatnich wyborach. W pierwszej turze w wyborach prezydenckich w 2015 r. do urn poszło 48,96 proc. uprawnionych, w drugiej zaś 55,34 proc. W 2020 r. w pierwszej turze może uczestniczyć nawet 60 proc. uprawnionych, a w drugiej ponad 65 proc., a to oznacza znaczący wzrost liczby głosów potrzebnych do zwycięstwa (w 2015 r. było to nieco ponad 8,6 mln głosów dla zwycięskiego Andrzeja Dudy, Bronisław Komorowski otrzymał trochę ponad 8,1 mln głosów). W wyborach parlamentarnych w 2019 r. Zjednoczona Prawica otrzymała 8,05 mln głosów, ale nie muszą się one pokryć z wynikiem jej kandydata w wyborach prezydenckich. Część tych wyborców może nie pójść głosować, a część nie akceptować kandydata. Mimo to ok. 8 mln głosów z zasobu Zjednoczonej Prawicy i jej kandydata można uznać za realne. W wypadku kandydata opozycji ten zasób może być zbliżony. Wszystko rozgrywa się więc o dodatkowe 2–3 mln głosów, które trzeba pozyskać spoza własnego obozu i najbliższych mu okolic. Z różnych szacunków wynikałoby, że faworyzowana po stronie opozycji Małgorzata Kidawa-Błońska nie ma takich zasobów, jakich się spodziewa jej sztab. Do wymienionej wcześniej liczby 8 mln głosów trzeba by już wliczyć te przejęte od Szymona Hołowni i Roberta Biedronia (w większym stopniu) oraz od Władysława Kosiniaka-Kamysza (w mniejszym stopniu). Inne przepływy są niewiadomą (tej zdystansowanej do kandydatki PO części wyborców Kosiniaka-Kamysza oraz od Krzysztofa Bosaka). Kandydatka PO ma też zdolność zmobilizowania części wyborców KO i okolic, którzy nie głosowali w wyborach parlamentarnych w 2019 r. lub nie pójdą do urn w pierwszej turze w maju br. Ale to może być najwyżej milion głosów, a i to wątpliwe. W sumie oznacza to ok. 9–9,5 mln głosów. Inni kandydaci opozycji, gdyby przeszli do drugiej tury, też więcej nie zyskają. Biorąc pod uwagę możliwe przepływy na rzecz Andrzeja Dudy głosów wyborców Władysława Kosiniaka-Kamysza, Krzysztofa Bosaka i tradycyjnej lewicy sięgające nawet 2 mln głosów, daje to kandydatowi Zjednoczonej Prawicy ok. 10 mln głosów. Więcej głosów trzeba by poszukać wśród niegłosujących w 2015 r. oraz w wyborach parlamentarnych w 2019 r. Ale pozyskanie 10,5 mln wyborców wydaje się całkiem realne.

eprasa.pl 33776eaff3

Kampania w bańce

Rządząca prawica nie powinna lekceważyć ofensywy opozycji. Zaangażowano do niej wielu kandydatów, którzy czekają na każdą okazję, aby uniemożliwić reelekcję prezydenta Dudy. Jest też wiele nieprzewidywalnych czynników, które mogą wpłynąć na losy wyborów, takich jak choćby epidemia koronawirusa. Jednak dotychczasowy przebieg kampanii pokazuje również, że opozycja, pomimo usilnych starań, nie ma oryginalnego pomysłu, jak dotrzeć do wyborców spoza swojej bańki i zapewnić sobie zwycięstwo

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Kampania przed tegorocznymi wyborami prezydenckimi dopiero się rozkręca, ale z jej dotychczasowego kształtu i przebiegu da się już odczytać główne zarysy strategii opozycji. Urzędujący prezydent Andrzej Duda jest według wszystkich sondaży zdecydowanym faworytem i dwukrotnie wyprzedza następną w rankingu Małgorzatę Kidawę-Błońską. Jednak – jak wynika z tych samych sondaży – Andrzej Duda ma niewielkie szanse na zwycięstwo w pierwszej turze wyborów, co oznacza, że prawdopodobnie wszystko rozstrzygnie się dopiero podczas dogrywki.

WSZYSCY NA JEDNEGO

Pierwsza tura wyłoni ostatecznego rywala Andrzeja Dudy. Dlatego opozycja – nie mając jednego silnego lidera – wystawiła do tych wyborów wielu kandydatów, z których każdy, jak już zauważył Michał Karnowski na portalu wPolityce.pl, odwołuje się do nieco innego elektoratu i do innych emocji. Mamy tu więc Małgorzatę Kidawę-Błońską reprezentującą tradycyjny elektorat PO, jest Władysław Kosiniak-Kamysz przedstawiany jako człowiek kompromisu i oferta dla tzw. symetrystów zdystansowanych wobec ostrego sporu między PO a PiS, jest Robert Biedroń – wyrazisty, przynajmniej obyczajowo, kandydat lewicy, zarówno tej „progresywnej", jak i postkomunistycznej, i wreszcie – dla niezdecydowanych – Szymon Hołownia, czyli ktoś w rodzaju Pawła Kukiza liberalnego mainstreamu, celebryta, który ma uwieść apolityczną gawiedź.

Wszyscy wymienieni, choć różnią się temperamentem, biografiami i nieco inaczej rozkładają akcenty polityczne, są w istocie bliskimi sojusznikami zmierzającymi do jednego celu – pokonania Andrzeja Dudy. Ten wspólny front ma również psychologiczny wymiar, bo sugeruje osamotnienie obecnego prezydenta i wspierającej go partii. Ma to w założeniu zniechęcić część wyborców do oddania głosu na urzędującego prezydenta.

Gwoli ścisłości trzeba tu jeszcze wspomnieć o Krzysztofie Bosaku, kandydacie wprawdzie z innej bajki, ale również próbującym odciągnąć wyborców od głosowania na Andrzeja Dudę, tyle że odwołującym się do rozczarowanego polityką PiS elektoratu narodowej prawicy.

Ta wielość kandydatów ma doprowadzić opozycję do ostatecznego zwycięstwa. Słabość, jaką jest rozdrobnienie i brak silnego lidera, próbuje się przekuć w atut. Zakłada się bowiem, że przy tak bogatej ofercie uda się ściągnąć do urn więcej wyborców, którzy – na fali mobilizacji wywołanej w pierwszej turze – dwa tygodnie później oddadzą swój głos na najsilniejszego kandydata opozycji. Przypomina to nieco strategię z ostatnich wyborów parlamentarnych, gdy opozycja podzielona na dwa główne bloki: skupiony wokół PO oraz wokół lewicy, zdołała przyciągnąć do urn znacznie więcej wyborców, niż gdyby startowała w jednym zjednoczonym bloku, tak jak to się stało podczas wyborów do Parlamentu Europejskiego w maju 2019 r.

TĘCZA W CIENIU

Z bardzo bolesnych dla opozycji wyborów do europarlamentu wyciągnięto jeszcze jedną lekcję: nie należy straszyć wyborców rewolucją kulturową. Wtedy, wiosną 2019 r., aktywiści LGBT nie posłuchali rad posła PO Rafała Grupińskiego, który przestrzegał, aby do czasu wyborów nie eksponować postulatów obyczajowych, bo „wyborcy w Świebodzinie nas przepędzą".

Przez całą Polskę przetaczała się wówczas tęczowa kampania: zapowiadano wprowadzenie „latarników" do szkół, samorządy dużych miast uroczyście przyjmowały Kartę LGBT, coraz bardziej otwarcie mówiono też o wprowadzeniu adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Ten tęczowy korowód załamał się wraz z porażką opozycji w wyborach europejskich. Poseł Grupiński miał rację: wyborcy poza dużymi miastami przestraszyli się pomysłów opozycji. Dlatego teraz o nich nie słychać.

Nawet sztabowcy Roberta Biedronia wolą dziś mówić o problemach socjalnych, o służbie zdrowia czy o ekologii.

eprasa.pl 33776eaff3

Promocja LGBT, podobnie zresztą jak aborcja czy agresywny feminizm, zeszły na dalszy plan. Nie oznacza to bynajmniej odrzucenia tych kwestii, chodzi jedynie o to, aby poczekać z ich realizacją do wyborczego zwycięstwa. Radykalni aktywiści uzbroili się zatem w cierpliwość. Zrozumieli, że warunkiem wstępnym powodzenia tęczowej rewolucji w Polsce jest całkowite odsunięcie PiS od władzy. A bez wygranej w wyborach prezydenckich będzie to niemożliwe.

JAK ZDOBYĆ ŚWIEBODZIN

Wszystkie symulacje drugiej tury wyborów prezydenckich wskazują na to, że o ich wyniku zdecyduje minimalna przewaga jednego z rywali. Dlatego walka toczyć się będzie o kluczowe kilka procent głosów.

Tymczasem kandydaci opozycji mają do zaoferowania swoim wyborcom wciąż ten sam pakiet haseł. Dla antypisowskiej inteligencji jest „bój o praworządność", wielkomiejską lewicującą młodzież ma ucieszyć obrona klimatu i walka z nacjonalizmem, a leming znajdzie w opozycyjnych sloganach obietnicę przywrócenia dawnych porządków, gdy tłuszcza, zamiast panoszyć się na plażach, znowu będzie zasuwać w Biedronce. Wszystko to spina adresowana do lumpenelektoratu opozycji agresywna kampania hejtu symbolizowana przez memy SokuzBuraka i lotne brygady zakłócające spotkania wyborcze Andrzeja Dudy. W tej ofercie nie ma jednak nic świeżego i może być ona atrakcyjna jedynie dla twardego elektoratu antypisowskiego, którego głosy prawdopodobnie nie wystarczą do zwycięstwa. Dlatego sztaby wszystkich kandydatów opozycji intensywnie wertują badania opinii publicznej i próbują znaleźć w nich pomysł na pozyskanie nowych wyborców. Chodzi o to, aby wymyślić bardziej uniwersalny temat, dzięki któremu uda się przeciągnąć na stronę opozycji elektorat z prowincji, ów symboliczny Świebodzin, o którym wspominał rok temu Rafał Grupiński.

Takim tematem mógłby być rzekomy polexit, w którym chodzi o wmówienie opinii publicznej, że dalsze rządy PiS doprowadzą do wyrzucenia Polski z Unii Europejskiej. Slogan, choć potencjalnie chwytliwy, nie osłabił – jak dotąd – notowań Andrzeja Dudy, przede wszystkim dlatego, że opozycja, podnosząc bez przerwy larum, stała się już mało wiarygodna i w groźbę polexitu mogli uwierzyć wyłącznie jej przekonani wyborcy.

Zdobycie Świebodzina okazało się więc o wiele trudniejsze dla kandydatów opozycji, niż się wydawało. Rozwiązaniem było zatem wejście na poletko PiS i skopiowanie strategii tej partii. Pierwszą opcją mogło być przelicytowanie programu socjalnego rządzącej prawicy – tej drogi próbował Adrian Zandberg, ale odrzucił ją znacznie bardziej liberalny gospodarczo Robert Biedroń, ale też Włodzimierz Czarzasty – a drugą: powielenie niektórych punktów polityki społecznej PiS i zarazem zakwestionowanie zdolności rządu do realizacji jego sztandarowych programów. Ostatecznie wybrano tę drugą opcję.

Z LEWEJ FLANKI

Charakterystyczna jest zmiana retoryki wobec najbardziej znienawidzonego przez opozycję programu, jakim jest 500+. Sztab Małgorzaty Kidawy-Błońskiej przekonuje, że jedynie zwycięstwo kandydatki PO może uratować świadczenia. Twierdzi się, że dalsze rządy PiS doprowadzą do katastrofy budżetowej i załamania finansów państwa. Jedynie – jak ma z tego wynikać – rozsądna polityka PO zdoła uratować budżet i przyszłe wypłaty z programu 500+.

Sztabowcy PO uważają najwyraźniej, że zawsze znajdzie się parę procent idiotów, którzy uwierzą w bajkę o katastrofie budżetowej. Tak się składa bowiem, że po raz pierwszy w historii III RP Polska odnotowała nadwyżkę w budżecie, sukces, o którym rząd Donalda Tuska mógł jedynie pomarzyć. Jednak i tu spece od kampanii

eprasa.pl 33776eaff3

wyborczej kandydatki PO mają odpowiedź: otóż twierdzą oni, że obecny dobry stan finansów państwa jest owocem polityki Tuska, a dalsze rządy PiS z pewnością doprowadzą do rychłej zapaści, powszechnej biedy i likwidacji wszystkich programów socjalnych. Warto jednak zauważyć, że Platforma rozgłasza takie przepowiednie już od pięciu lat. Jak na razie żadna się nie spełniła. Wręcz przeciwnie.

W podobnym celu rozdmuchano kwestię ochrony zdrowia w Polsce. Chodzi oczywiście o osławione 2 mld zł przeznaczone na TVP, które opozycja chciała przekazać na opiekę onkologiczną dzieci. Sprawa okazała się wizerunkowo niezręczna dla PiS, pomimo że nakłady na służbę zdrowia rosną z roku na rok i w 2019 r. osiągnęły 109 mld zł, a zatem są znacznie wyższe od tych z czasów rządu PO-PSL, gdy szpitale poddawano tzw. komercjalizacji (co w praktyce często kończyło się ich likwidacją). Do wyborców poszedł jednak przekaz, że PiS żałuje pieniędzy na leczenie dzieci, co ma podawać w wątpliwość deklarowaną przez tę partię wrażliwość społeczną.

W podobny sposób uderza w PiS – i zarazem w Andrzeja Dudę – lewica. Rządzącej prawicy wypomina się nie tylko problemy w służbie zdrowia, lecz również cyniczne podejście do postulatów społecznych. Politycy lewicy twierdzą m.in., że prawica porzuciła lokatorów wysiedlanych kamienic, gdy okazało się, że walka z dziką reprywatyzacją przynosi zbyt małe zyski polityczne. Pada sugestia, że lewica (i jej kandydat) okaże się znacznie bardziej wiarygodna w realizowaniu programów socjalnych i naprawie państwa.

GRA KORONAWIRUSEM

Rywalizacja na podważanie wiarygodności PiS przybrała ostatnio zaskakujące oblicze. Na początku poprzedniego tygodnia Małgorzata Kidawa-Błońska, wypowiadając się w sprawie możliwego nowego kryzysu migracyjnego, nie tylko zdecydowanie opowiedziała się za ochroną granic Unii Europejskiej przed uchodźcami, lecz także zarzuciła rządzącej prawicy przyjmowanie imigrantów.

Tę zmianę stanowiska kandydatki PO, która jeszcze pięć lat temu była gorącą orędowniczką otwartości i wielokulturowości, jest dość łatwo wytłumaczyć. Po prostu po krachu niemieckiej Willkommen Politik zmieniła się polityka imigracyjna UE i dziś nie ma już klimatu na otwieranie granic dla uchodźców. A że Platforma Obywatelska zawsze była partią bardzo wrażliwą na zmianę kierunku wiatrów wiejących w Europie, to nie ma się co dziwić, że jej kandydatka mówi dziś inaczej niż pięć lat temu. Dlatego zarzuty Małgorzaty Kidawy-Błońskiej w sprawie imigrantów ściąganych przez PiS do Polski nie brzmią wiarygodnie, choć mogą zostać ciepło przyjęte przez sporą część elektoratu PO, w rzeczywistości niechętnego uchodźcom. Trudno się jednak spodziewać, że ta retoryczna wolta kandydatki PO może spowodować jakiekolwiek przepływy elektoratu na jej rzecz.

> Charakterystyczna jest zmiana retoryki wobec programu 500+. Sztab Małgorzaty Kidawy-Błońskiej przekonuje, że jedynie zwycięstwo kandydatki PO może uratować świadczenia

Inaczej może być z epidemią koronawirusa, który – jeśli wierzyć sondażom – uważany jest przez niemal połowę Polaków za największe wydarzenie roku i, mówiąc językiem branżowym, „przykrył" wszystkie wydarzenia polityczne. W ten sposób jednak koronawirus sam stał się ważnym czynnikiem w krajowej polityce, tyle że trudno dziś przewidzieć, kto najbardziej zyska na epidemii.

Jeśli w Polsce dojdzie bowiem do licznych zachorowań, może to się odbić na wyniku wyborczym Andrzeja Dudy. I przeciwnie, jeśli epidemia nas ominie, zagra to na korzyść rządzącej prawicy i jej kandydata.

Opozycja doskonale o tym wie, dlatego nieprzypadkowo Małgorzata Kidawa-Błońska spekulowała o rzekomych licznych przypadkach zachorowań w Polsce. A gdy w końcu pojawił się pierwszy chory, „Gazeta Wyborcza" skwapliwie poinformowała czytelników, że zarażony mężczyzna był niegdyś członkiem PiS (usuniętym z partii za kłamstwo lustracyjne). Na pytanie jednego z użytkowników Twittera, co za znaczenie ma, do jakiej partii należał chory, posłanka lewicy Anna Maria Żukowska odpowiedziała szczerze, że „Wyborczej" chodzi o to, aby ludziom „wdrukowało się, że PiS roznosi choroby".

PUDŁO REZONANSOWE

Rządząca prawica nie powinna lekceważyć ofensywy opozycji, zaangażowano do niej wielu kandydatów i wiele sztabów ludzi, którzy czekają na każdą sprzyjającą okazję, aby utrudnić lub uniemożliwić reelekcję prezydenta Dudy i mogą go – jak widać – zaatakować z każdej strony.

Jednak dotychczasowy przebieg kampanii pokazuje również, że opozycja, pomimo usilnych starań, nadal nie ma oryginalnego pomysłu, jak dotrzeć do wyborców spoza swojej bańki i tym samym zapewnić sobie zwycięstwo. Szukając sposobu na zdobycie kluczowych paru procent głosów, jest jak pudło rezonansowe niezgrabnie odbijające niektóre pomysły PiS.

Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej" napisała na Twitterze, że „Małgorzata Kidawa-Błońska nie jest przygotowana do odpowiedzi na pytania dotyczące ekonomii i polityki społecznej, a Platforma nie ma przemyślanego, przedyskutowanego przekazu w wielu sprawach np. swoich ośmioletnich rządów". Dziennikarka została za to ostro zrugana przez polityków PO. Ta nerwowa reakcja oznacza, że Platforma, której kandydatka zajmuje drugie miejsce w sondażach, doskonale zdaje sobie sprawę ze swoich słabości. I poważnie boi się o wynik wyborów.

eprasa.pl 33776eaff3

Tygrys i tygrysica marzą o pałacu

W Koalicji Polskiej słychać, że teraz mamy już nie wybory prezydenta, lecz pierwszej pary. Euforyczne nastroje panują po konwencji Władysława Kosiniaka-Kamysza, kiedy całą uwagę skupiła na sobie żona szefa PSL. Ale entuzjazm ludowców na razie nie znajduje potwierdzenia w notowaniach kandydata. Nieskuteczne są jego zaklęcia o samodzielności i próba wymazania czterech lat ministrowania w rządzie PO-PSL. Jaki zatem będzie plan B w przypadku jego porażki 10 maja?

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Jedno trzeba mu oddać – odmienił oblicze Polskiego Stronnictwa Ludowego. Partia uchodząca dotychczas za toporną, prowincjonalną i nepotyczną stała się akceptowalna również dla elektoratu z większych miast. Jej lider kreuje się na sympatycznego i koncyliacyjnego faceta ze środka sceny politycznej, który aż tryska genialnymi pomysłami na uzdrowienie każdej sfery życia.

Władysław Kosiniak-Kamysz jako pierwszy z licznych liderów Koalicji Europejskiej zrozumiał, że tylko samodzielnie, a nie w sojuszu z turboliberałami i tęczową lewicą może odbudować pozycję swojej partii. Zawarł pakt z Pawłem Kukizem i ostatnimi stojącymi przy nim druhami, wykręcił niezły wynik w wyborach parlamentarnych i idzie za ciosem.

To on był największym atutem PSL w ostatniej kampanii i to on pierwszy ogłosił swój start w wyborach prezydenckich.

Jedno też się nie zmieniło. Szefuje najbardziej obrotowej formacji w polskiej polityce. Rządziła ona z SLD, z Platformą, teraz do parlamentu weszła z rzekomo antysystemowym Kukizem, a już po wyborach na sejmowych korytarzach można usłyszeć, że nie wolno wykluczać porozumienia PSL z PiS w wypadku jakichś zawirowań w Zjednoczonej Prawicy.

Ten ostatni scenariusz to dziś science fiction, zwłaszcza że Władysław Kosi-

eprasa.pl 33776eaff3

niak-Kamysz gra przede wszystkim na siebie. I coraz bardziej wierzy w swoją siłę. Oraz w siłę swojej drugiej połowy.

WOJNA NA ŻONY

Ma 31 lat. Pochodzi z Podolan koło Gdowa w Małopolsce. Do Warszawy przeniosła się ze Śląska, gdzie studiowała na Uniwersytecie Medycznym. Liceum ukończyła w Krakowie, rodzinnym mieście prezesa PSL. Jest ortodontką w jednej z warszawskich klinik. Paulina Kosiniak-Kamysz to druga żona Władysława Kosiniaka-Kamysza, ślub wzięli w ubiegłym roku. Wspólnie wychowują córkę Zofię.

– Często pytacie mnie, jaki naprawdę jest Władek. Nie ma dwóch Władków, innego w domu, innego w Sejmie, innego Władka na spotkaniu w Warszawie, Kraśniku, Łodzi czy Tarnowie. Jest zawsze taki sam. Prawdziwy, autentyczny i normalny – mówiła Paulina podczas konwencji wyborczej w Jasionce koło Rzeszowa. Ale prawdziwym hitem stają się ostatnie słowa jej przemówienia.

– Kochani, przed wami mój mąż, mój prezydent. Chodź, tygrysie, scena jest twoja! – to zdanie wprowadzenia sprawiło, że żona przyćmiła męża. Jak to się mawia, skradła mu show. W najbliższym otoczeniu lidera PSL zdania są dwojakie. Z jednej strony wydarzyło się coś niespodziewanego, co całkowicie odsunęło w cień przekaz przyszłego prezydenta, z drugiej – taka pierwsza dama to PR-owy skarb i grzechem byłoby jej nie wykorzystać w kampanii. Tym bardziej że z zadania ocieplenia wizerunku wywiązała się świetnie, choć momentami poruszała się blisko granicy infantylności, np. cytując SMS od męża z 14 września 2019 r.: „[...] Jak się macie moje dziewczyny? Jak nasz maluszek kochany? Wszystko w porządku? Nie mogę napatrzyć się na ostatnie zdjęcie, które przesłałaś, jak Zosia pięknie dźwiga główkę. Kocham Was nad życie i wiesz, że to wszystko robię dla Was. Myślę o Was, moje dziewczyny. Całuję Zosię w czółko i jestem na wieczorną kąpiel". Owacja na stojąco. Nasz prezydent! Wła-dek, Wła-dek! Pa-u-li-na! Pa-u-li-na!

W jeszcze większą ekstazę wprawiła zgromadzonych w centrum konferencyjnym w Jasionce, gdy wbijała szpilę w Agatę Kornhauser-Dudę. To kolejne zaskoczenie, bo sprawiająca wrażenie miłej dziewczyny z sąsiedztwa ortodontka dosyć odważnie mówiła o sobie jak o pierwszej damie. – Nie dam się zamknąć pod kryształowym żyrandolem! – na te słowa ogromny aplauz z sali. – Wierzę, że pierwsza dama, kiedy tylko zechce, może zrobić naprawdę bardzo dużo – zgromadzeni z uznaniem kiwają głowami. – Nie jestem i nigdy nie będę żoną, która milczy, nie ma swojego zdania, chowa się za ogrodzenie prezydenckiego pałacu, statystuje tylko mężowi. Będę krzyczeć, będę przypominać o nas, o kobietach, o słabszych, o niepełnosprawnych, o wartościach, które są dla nas najważniejsze – wykrzykuje, od publiczności dostaje kolejną porcję rzęsistych braw.

To sprytny zabieg socjotechniczny, łatwiej ulega się bowiem emocjom w tłumie. Mało kto weryfikuje podane w taki sposób informacje i sugestie. A fakty są takie, że Paulina Kosiniak-Kamysz zdziwiłaby się, gdyby poświęciła choć chwilę na poznanie aktywności Agaty Kornhauser-Dudy. „Milcząca pierwsza dama", jak nazywa ją żona lidera ludowców, ma czasem kalendarz bardziej wypełniony niż prezydent, a że nie zabiera publicznie głosu? – To sprytna manipulacja, bo ja nie wypowiadam się do mediów, ale nie milczę całkowicie, to zasadnicza różnica – mówiła na dorocznym spotkaniu z dziennikarzami w Pałacu Prezydenckim. Andrzej Duda taką strategię zaakceptował, mówił o tym wiele razy.

– Głęboko wierzę w swoje zwycięstwo, nieważne, czy w pierwszej, czy w drugiej turze. Robię swoje. Co do Władka Kosiniaka-Kamysza, to jest on dużo młodszym moim kolegą ze szkoły, znamy się od dawna, byliśmy razem radnymi w Krakowie i jak się spotykamy, to zawsze utniemy sobie pogawędkę – mówił Andrzej Duda w niedawnym wywiadzie dla „Super Expressu". Ciekawe, jak wyglądałaby ta pogawędka teraz, po tak nieeleganckim uderzeniu w małżonkę prezydenta, a na to Duda jest akurat bardzo wyczulony. Nie stało się to przecież bez wiedzy i woli kandydata PSL. Pierwsze oznaki tarcia już mamy. W otoczeniu prezydenta jest ciche przyzwolenie na „odwinięcie się Władkowi", stąd zapewne mocne słowa Błażeja Spychalskiego, rzecznika Dudy, o Kosiniaku-Kamyszu jako „tęczowym Władku" czy „popychadle Tuska". Tu współpracownik prezydenta się zagalopował i dał asumpt do oskarżania otoczenia głowy państwa o przekraczanie granic dobrego smaku.

Gdyby powiedział to innymi słowami, trudno byłoby z nim polemizować. Bo choć dziś Kosiniak-Kamysz kreuje się na najbardziej samodzielnego polityka w Polsce (jako że jest jedynym kandydatem liderującym swojej partii), to gdy ostatnio uczestniczył w sprawowaniu realnej władzy, rzeczywiście był zupełnie zależny od woli lidera tamtej koalicji, czyli Donalda Tuska.

WŁADKOWI ROŚNIE

Konwencja wyborcza, choć zapamiętamy z niej pewnie przede wszystkim występ żony kandydata, przyniosła mu zauważalny skok w sondażach. W lutym jego notowania w pracowni IBRiS wahały się między 4 a 6 proc., w pierwszych dniach marca doszły nawet do 12 proc. Inne pracownie w lutym podawały, że 7–10 proc. badanych chce zagłosować na Władysława Kosiniaka-Kamysza. Teraz jego notowania rosną. Wyciągając średnią, lider PSL ma 9,5 proc. poparcia i zrównał się tym samym z trzecim w zestawieniu Robertem Biedroniem, kandydatem lewicy, który też zyskuje, ale mniej. Tracą liderzy rankingu. Andrzej Duda ma 44,5 proc. (-0,5 proc. w porównaniu z lutym), a Małgorzata Kidawa-Błońska 24,5 proc. (-2 proc.).

– Pierwszy etap zrealizowaliśmy. Władek ulokował się na trzecim miejscu. To dobra pozycja do ataku na Kidawę. A nasz plan jest prosty: najpierw zaorzemy ją, a potem PiS – mówi nam bez ogródek jeden ze współpracowników Kosiniaka-Kamysza.

Z comiesięcznych badań pracowni Social Changes dla portalu wPolityce.pl wynika, że Andrzej Duda pokonałby wszystkich rywali, zarówno w pierwszej, jak i w drugiej turze, gdyby ta była konieczna. Przewaga prezydenta nad Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem jest w tym zestawieniu bardzo wyraźna – Duda prowadzi w stosunku 54 do 46 proc. głosów badanych.

Fot. Grzegorz Bukała/REPORTER

eprasa.pl 33776eaff3

Jak więc traktować jedno z lutowych badań United Survey dla „Dziennika Gazety Prawnej" i RMF FM? Wynika z niego, że II tura zakończyłaby się porażką urzędującego prezydenta. Kandydat PSL mógłby bowiem liczyć na 45,9 proc. głosów, a obecny prezydent na 2 proc. głosów mniej. Pozytywna dla lidera ludowców interpretacja wydaje się wątpliwa, bo wcale nie są brane pod uwagę głosy 10,2 proc. niezdecydowanych. Analitycy zwracają uwagę, że Kosiniak-Kamysz traktowany jest tutaj przedmiotowo. Sztab Kidawy zdecydował, że to jeszcze nie jest moment, by ogłaszać przewagę swojej kandydatki, ale warto wysłać sygnał, iż „Duda jest pokonywalny". Absurdalność tej konstrukcji polega na tym, że po rozebraniu tego przekazu na czynniki pierwsze mamy kandydata, który pokonuje urzędującego prezydenta w II turze, tyle że – i wynika to z tego samego badania – nie ma najmniejszych szans, by się do niej dostać.

O co więc toczy się ta gra? Pierwszy punkt planu PSL już wykonało – przetrwało. Teraz realizuje drugi – zbudowanie pozycji prezesa partii jako jednego z głównych rozgrywających na scenie politycznej. Trzeci element to powrót do władzy.

KOSINIAK NA PREMIERA

Z gabinetów pisowców jeszcze kilka miesięcy temu (ale już po wyborach parlamentarnych) wychodziły pogłoski o możliwym zbliżeniu między dwiema formacjami, nawet sformalizowaniu współpracy – gdyby zaszła potrzeba wymiany któregoś z koalicjantów w obozie Zjednoczonej Prawicy.

Od jednego z najważniejszych ludzi w PSL usłyszeliśmy wówczas: – Jeszcze nigdy PiS nas tak nie kochało jak teraz. Zobaczyli, że wracamy na silną, samodzielną pozycję i chcą się przyjaźnić. A nam w to graj!

Ale dziś mamy już inną rzeczywistość. Nazwanie prezydenta „Adrianem", jak uczynił to w czasie konwencji Kosiniak-Kamysz, pokazuje, że idzie na ostrzejsze zwarcie z Andrzejem Dudą. Może też dlatego, że w obozie opozycji powstaje już zupełnie nowa układanka, która tylko potwierdza, że w drugiej turze absolutnie wszyscy kontrkandydaci zjednoczą siły, byle tylko uniemożliwić reelekcję obecnemu pierwszemu obywatelowi.

Na razie Kosiniak jeszcze podszczypuje Małgorzatę Kidawę-Błońską i przy każdej – absolutnie każdej – okazji i on, i pozostali politycy Koalicji Polskiej domagają się debaty z kandydatką KO, wiedząc, że w wystąpieniach na żywo, zwłaszcza gdy musi się mierzyć z niewygodnymi pytaniami, szybko ląduje na deskach.

> O co toczy się ta gra? Pierwszy punkt planu PSL już wykonało – przetrwało. Teraz realizuje drugi – zbudowanie pozycji prezesa partii jako jednego z głównych rozgrywających na scenie politycznej. Trzeci element to powrót do władzy

W warstwie PR-owej Kosiniak-Kamysz pokonuje kandydatkę KO o kilka długości. Nie sposób oskarżyć go o systemowe stosowanie nieczystych metod (co bije po oczach w przypadku pani wicemarszałek, która w swoim komitecie wyborczym zatrudniła twórcę i mózg internetowego ścieku, jakim jest SokzBuraka). Jest w stanie rozmawiać o merytorycznych propozycjach, bo je ma, w przeciwieństwie do pani wicemarszałek. To choćby emerytura bez podatku czy zwolnienia przedsiębiorców z płacenia składek ZUS – propozycje populistyczne, które ciężko byłoby sfinansować i stanowiłyby zagrożenie dla gospodarki, ale dobrze sprzedające się w kampanii.

– Zauważyliście, jak ładnie Władek przyznaje, że popełnił błąd, obniżając wiek emerytalny? Nie boi się tego. A Kidawa powtarza, że to była dobra decyzja, tylko nie potrafili jej dobrze opowiedzieć wyborcom. Tu ją mamy! – cieszy się jeden z posłów PSL, nie przejmując się pamięcią Polaków.

Do tego dochodzą zaczerpnięte od Kukiza postulaty dotyczące wymiaru sprawiedliwości czy kwestii obywatelskich (np. referenda). Jest o czym opowiadać w kampanii. I na czym budować marzenie o ponownym udziale w rządzeniu Polską.

– Kosiniak wydaje się wizerunkowo mocniejszy, sprawniejszy intelektualnie, bardziej błyskotliwy niż Kidawa-Błońska i jest to jego atut. Natomiast stoi za nim mniejsza siła polityczna, a więc i mniejsze finanse, i mniej potencjalnych wyborców. Kandydat PSL chyba liczy na to, że prezentując się dobrze przy kolejnych potknięciach Kidawy, otrzyma wsparcie od zaplecza medialno-finansowego, które stoi za PO – mówi portalowi wPolityce.pl prof. Mieczysław Ryba z KUL.

Bo dla tego zaplecza cel jest jeden – odsunąć obóz PiS od władzy. A to będzie wykonalne tylko w przypadku przegranej Andrzeja Dudy.

A co jeśli Kosiniak ukończy wyścig na trzecim miejscu? W PSL nie będzie płaczu, bo i na tę ewentualność mają przygotowany precyzyjny plan: – Jeśli to Kidawa wejdzie do drugiej tury, Kosiniak z Czarzastym pójdą do niej z propozycją: poprzemy cię, ale chcemy czegoś w zamian. Zażądacie konstruktywnego wotum nieufności wobec rządu Morawieckiego z liderem PSL jako kandydatem na premiera. Kto wie, czy część posłów Zjednoczonej Prawicy nie uzna, iż pociąg władzy ruszył w drugą stronę i nie warto z niego wysiadać? – snuje wizje jeden ze sztabowców Kosiniaka-Kamysza.

Nierealne? Dziś wszystkie scenariusze trzeba traktować jako możliwe do spełnienia. Nawet taki, w którym prezydentem zostaje lider partii jeszcze pięć lat temu każącej Polakom pracować do 67. roku życia, zabierającej pieniądze z OFE na załatanie dziury budżetowej, zadłużającej państwo i realizującej politykę „ciepłej wody w kranie". Donald Tusk może tylko zazdrościć tego PR-owego piwotu.

eprasa.pl 33776eaff3

Biedroń: kandydat tęczowej międzynarodówki

Ze zbolałą miną i niewinnym głosem powtarza często, że nie chce, by patrzono na niego tylko przez pryzmat orientacji seksualnej. A potem zakasuje rękawy i zajmuje się przede wszystkim promowaniem postulatów LGBT, korzystając z metod wypracowanych przez zachodnie organizacje homoaktywistów. Nieprzypadkowo pojawił się w polityce. Jest projektem i inwestycją konkretnych środowisk politycznych

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Społeczeństwa demokratyczne nieraz dostają w prezencie podobne produkty marketingu politycznego. Miliony ludzi na całym świecie nadal wierzą, że szwedzka nastolatka Greta Thunberg pewnego dnia zrozumiała, jaka przyszłość czeka Ziemię, po czym nagle znalazła się w gabinetach światowych przywódców, by regulować produkcję przemysłową największych gospodarek globu. Historia z Robertem Biedroniem jest podobna – oto nieśmiały, zalękniony gej z Podkarpacia postanowił zerwać kajdany nietolerancyjnego społeczeństwa katolickiego i zanieść Polakom światło tolerancji i miłości. Równie to prawdziwe jak elektryk półanalfabeta, który obala komunizm.

Przede wszystkim Robert Biedroń wie, jak cynicznie przyspieszyć swoją karierę, także kosztem ludzi walczących o tę samą sprawę. Nawet wśród lewicowych wyborców złamanie przez lidera Wiosny danego słowa budzi oburzenie. Przecież kandydując ostatnio do Parlamentu Europejskiego, polityk zapewniał, że zrzeknie się ewentualnego mandatu, umożliwiając tym samym prof. Monice Płatek zajęcie miejsca w tym unijnym gremium. Tak się jednak nie stało, co do dziś wypominają w komentarzach na portalach społecznościowych sympatycy Lewicy. Ale wycinanie konkurencyjnych progresistów to dla Biedronia nie pierwszyzna. Wszak ok. 2000 r. Robert Biedroń pojawił się jako społeczny aktywista, który od razu wskoczył do pierwszej ligi działaczy. Nie do końca jednak samodzielnie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 33776eaff3

POLITYCZNE DZIĘCKO POSTKOMUNISTÓW

Wskazówki co do wykreowania Biedronia jako obyczajowego tarana wobec polskiego społeczeństwa zdradza w swoich wspomnieniach Szymon Niemiec, zawiedziony organizator życia gejowskiego w Polsce. To zresztą człowiek uwielbiający kontrowersje, szczycący się nawet wydawaniem pism pornograficznych dla homoseksualistów, tym bardziej więc nie kryje się ze swoimi szczerymi refleksjami.

„W 2000 roku na scenie politycznej pojawił się Robert Biedroń" – wspomina Niemiec. „Nie tyle się pojawił, co został pokazany" – dodaje. Homoseksualny celebryta zauważa, że właśnie u progu XXI w. Sojusz Lewicy Demokratycznej zaczął się przebranżawiać z partii rzekomo propracowniczej, lewicowej społecznie, w ugrupowanie o formie bardziej dla Europy nowoczesnej – były to początki szukania zwolenników wśród różnych mniejszości społecznych. To charakterystyczny model przepoczwarzenia marksizmu – po walce o prawa robotników, jako że nie uwierzyli oni w dobre intencje partyjniaków, trzeba było znaleźć innych naiwnych. Feministki, homoseksualiści i obrońcy praw zwierząt stali się nową grupą docelową. I tak oto Jerzy Jaskiernia, który w latach 80. w stanie wojennym domagał się czci i honorów dla „ludowego" Wojska Polskiego, półtorej dekady później został uhonorowany Tęczowym Laurem – specjalną nagrodą dla zwolenników rozszerzania praw LGBT. Robert Biedroń także był laureatem tej nagrody (w 2000 r.), choć wedle jej założeń nie miał do tego prawa.

„To był precedens w historii tej nagrody" – tłumaczy w autobiografii Niemiec. „Z założenia bowiem Tęczowy Laur był przyznawany wyłącznie osobom heteroseksualnym za ich wkład w walkę o prawa mniejszości" – przekonuje aktywista, który w książce kilkukrotnie sugeruje, że Biedroń został wykreowany przez rozmaite środowiska polityczne i pozarządowe, choć i rząd SLD-PSL wykazywał dla niego wiele sympatii. I tak oto w organizacji parad miała finansowo pomagać „niemiecka fundacja", a tymczasem Fundacja Równości, powołana m.in. przez Biedroniową Kampanię przeciw Homofobii, „praktycznie całość funduszy powołanych na Paradę przeznaczyła na konferencję i bankiet" – wspomina Niemiec. „Tysiące euro zostały zużyte, tymczasem na samej Paradzie (...) nie było nawet dobrego nagłośnienia" – żali się tęczowy aktywista. Szymon Niemiec ma zresztą dłuższą litanię żali do Roberta Biedronia, jednak te o charakterze wewnątrzgejowskim sobie odpuścimy. Sam Biedroń dostał więc parasol ochronny od polityków SLD – w późniejszych latach będzie dostawał od nich wsparcie polityczne, a lewicowe projekty związane ze związkami partnerskimi miał firmować swoją twarzą.

> Jednym z kluczy do zrozumienia aktywistycznego know-how Roberta Biedronia jest epizod z jego młodości – w czasie studiów pojechał do Londynu i działał w organizacji OutRage!

EPATOWANIE SEKSUALNOŚCIĄ

W styczniu 2011 r. to on był sprawozdawcą projektu ustawy SLD i Ruchu Palikota o związkach partnerskich. Gdy pomysł został odrzucony przez Sejm, Biedroń oświadczył w Superstacji: „To nieuniknione, dlaczego odmawiać tym ludziom prawa do posiadania dzieci, jeżeli ich sami nie będą mogli mieć? (...) To jest tylko kwestia czasu, kiedy do tego dojdzie w Polsce" – mówił o przyszłości małżeństw homoseksualnych. W swojej wydanej w 2018 r. książce „Nowy rozdział", kreując się na polskiego Macrona, Biedroń pisze o swoich pierwszych krokach w polityce: „Musiałem udowadniać, że nie da się ani mnie, ani tego, co robię, ograniczyć do definicji »gej«". Gdzie jednak szukać myśli politycznej lidera Wiosny, skoro cała jego działalność składa się na przemyślany wizerunek pociesznego „wesołka" promującego gejowską miłość?

Jak udawać, że mamy do czynienia z nowoczesnymi politykami, skoro sami wspominają o swoich erotycznych relacjach i zauroczeniach i tym właśnie podbijają swoją popularność? Biedroń potrafił w rozmowie z „Super Expressem" powiedzieć, że „podkochiwał się w Krzysztofie Bosaku" (2011 r.), a o relacjach łóżkowych ze swoim partnerem wspominał, że „króliczki Duracella odpadają przy nas". W wydanym w 2016 r. wywiadzie rzece udzielonym Magdalenie Łyczko tak opowiadał o fizyczności mężczyzn: „Popisujemy się długością penisów, choć wszystkie badania pokazują, że faceci dodają sobie kilka centymetrów". Dorzućmy do tego słynne zdjęcie wiceprezydenta Warszawy Pawła Rabieja, które opublikował na jednym z portali społecznościowych – przedstawiało go wraz z partnerem w łóżku, jakby dla homoseksualnego polityka miało być to elementem promocji. Drobne pytanie „po co?" zdaje się znikać z polskiej debaty publicznej.

LEKCJA U TĘCZOWYCH TERRORYSTÓW

Jednym z kluczy do zrozumienia aktywistycznego know-how Roberta Biedronia jest epizod z jego młodości. W oficjalnych biogramach kandydata lewicy na prezydenta RP figuruje zapis, że w czasie studiów pojechał do Londynu i działał w organizacji OutRage! (ang. skandal, zniewaga). W wywiadach nie wspomina o tym więcej jak jednym zdaniem, ot normalny wpis w politycznym CV. Tymczasem porzucenie na rok studiów politologicznych na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie zaowocowało jego rocznym wyjazdem do Londynu. Tak lapidarnie wspomina o tym w rozmowie z Magdaleną Łyczko: „Zaimponował mi Peter Tatchell, założyciel i lider organizacji OutRage!, stanowczo domagającej się równouprawnienia

6/0220/F

eprasa.pl 33776eaff3

gejów i lesbijek". Potem dodaje parę uroczych frazesów o godności i zmienianiu świata. Tymczasem w drugiej połowie lat 90. XX w., gdy Biedroń uczestniczył w życiu londyńskich aktywistów LGBT, organizacja OutRage! należała do najbardziej agresywnych grup homoaktywistów na świecie. Jej działacze zakłócali nabożeństwa w anglikańskich kościołach, wzywali brytyjskich parlamentarzystów do ujawnienia swojej orientacji, wyzywali biskupów od homofobów, utajonych homoseksualistów i pedofilów. Bo chyba nie myśleli państwo, że Tomasz Sekielski ze swoim filmem „Tylko nie mów nikomu" stworzył taką antykościelną narrację sam z siebie? Kiedy widzimy protestujących pod kościołem aktywistów LGBT, którzy sprzeciwiają się obecności abp. Marka Jędraszewskiego na mszy św., możemy szukać źródeł takiej strategii na londyńskich ulicach lat 90.

Co ciekawe, imponujący młodemu Biedroniowi Tatchell w czasie jego pobytu w Londynie prowadził akurat kampanię mającą na celu obniżenie wieku dopuszczanego prawem współżycia seksualnego. Brytyjski aktywista chciał, by seks z 14-letnimi chłopcami był legalny, a przekonywał do tego słowami: „Podczas gdy może się okazać niemożliwe, by zaakceptowano pedofilię, nadszedł czas, by społeczeństwo dowiedziało się prawdy, że nie każdy seks z dzieckiem jest niechciany, uwłaczający i krzywdzący". Zaiste, wzór do naśladowania, zwłaszcza dla polityka polskiego mainstreamu.

ZATROSKANY O POLSKĘ FAWORYT KOMUNISTÓW

„Wstydzę się, że w moim kraju żyją ludzie, którzy są gorsi od komunistów, bo zniszczyli mój kraj bardziej niż komuniści" – mówił w lutym br. na forum Parlamentu Europejskiego Robert Biedroń. Ocenienie rządów komunistów jako niszczących nie przeszkodziło Biedroniowi w wybraniu na swojego doradcę Stanisława Cioska, peerelowskiego ministra, człowieka, który do dziś broni rzekomych dobrodziejstw stanu wojennego. Pytane w programie „Strefa starcia" o ten dysonans posłanki lewicy Hanna Gill-Piątek i Monika Falej zmieniały temat.

„Jestem gejem i jestem Polakiem" – przedstawiał się w Brukseli Biedroń w listopadzie 2019 r. A przecież podobno nie chce on, aby jego i tego, co robi, „ograniczyć do definicji »gej«".

Tymczasem cała opowieść o trudach jego życiowej drogi, rzekomo spowodowanych nietolerancją w Polsce, ma tak naprawdę przeciwne oblicze – Biedroń ze swojej seksualności zrobił katapultę do politycznej kariery. Tak jak w PRL, ojczyźnie jego partyjnych promotorów, dostawało się przy egzaminie na studia punkty za robotniczo-chłopskie pochodzenie, tak w nowoczesnym świecie zlaicyzowanego Zachodu dostaje się polityczne punkty za pochodzenie z jakiejś wyobrażonej, zdefiniowanej przez lewicę mniejszości.

Ale w demokracji wolno wierzyć we wszystko – nawet w ciężki los Roberta Biedronia.

REKLAMA

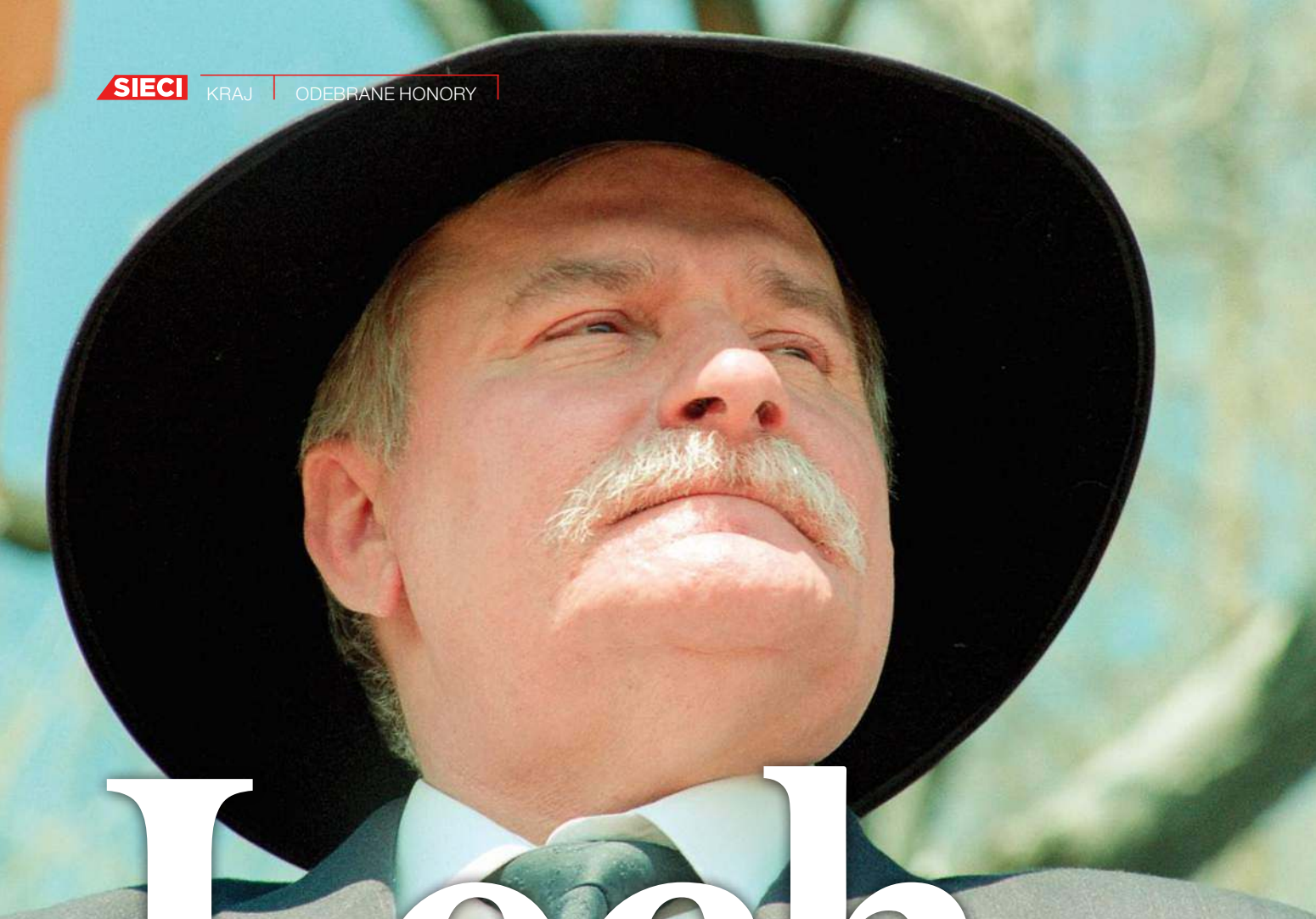

Lech Niegodny

Podkarpacie nie jest łaskawe dla Lecha Wałęsy: w lutym br. stracił honorowe obywatelstwo gminy Majdan Królewski w powiecie kolbuszowskim oraz patronat nad Bieszczadzkim Zespołem Szkół Zawodowych w Ustrzykach Dolnych. Dlaczego?

JAROMIR KWIATKOWSKI

Lech Wałęsa otrzymał honorowe obywatelstwo gminy Majdan Królewski 17 października 1995 r., czyli na finiszu swojej prezydenckiej kadencji (miesiąc później przegrał z Aleksandrem Kwaśniewskim bój o reelekcję). Honorowym patronem Bieszczadzkiego Zespołu Szkół Zawodowych w Ustrzykach Dolnych był krócej, bo od 2012 r. (Rada Powiatu Bieszczadzkiego podjęła uchwałę w tej sprawie 29 lutego, a 9 grudnia odbyła się w BZSZ oficjalna uroczystość z osobistym udziałem patrona).

MORALNY SPRZECIW, NIE POLITYKA

Uchwała Rady Gminy Majdan Królewski o pozbawieniu byłego prezydenta RP honorowego obywatelstwa gminy nosi datę 11 lutego tego roku. Poparło ją dwie

eprasa.pl 33776eaff3

trzecie składu rady (10 z 15 osób w niej zasiadających). Dwie były przeciwko, dwie się wstrzymały, jedna była nieobecna na sesji. Z wnioskiem w tej sprawie wystąpiło w grudniu ub.r. ośmiu radnych. Jego głównym inicjatorem był przewodniczący rady Waldemar Kamiński. 21 stycznia br. wniosek pozytywnie zaopiniowała Komisja Rewizyjna.

Inicjatorzy wniosku w uzasadnieniu podali jeden argument: wypowiedź Lecha Wałęsy (podczas konwencji Koalicji Obywatelskiej w Warszawie 6 października ub.r. – przyp. JK), w której nazwał „zdrajcą" Kornela Morawieckiego, i to zaledwie kilka dni po jego śmierci. (Dłuższy fragment wypowiedzi byłego prezydenta RP o wybitnym opozycjoniście, marszałku seniorze Sejmu poprzedniej kadencji, brzmiał następująco: „W środku stanu wojennego atakują nas ze wszystkich stron, a on, kozak, zakłada Solidarność Walczącą. Co to było? Zdrada, proszę panów! Zdrajca! Taka jest prawda").

We wniosku ośmiu radnych czytamy, że wypowiedź byłego prezydenta RP „jest czynem niegodnym i przekroczyła granice wszelkiej przyzwoitości i uczciwości". W związku z powyższym rada gminy przegłosowała, że Lech Wałęsa stał się „niegodny tytułu Honorowego Obywatela Gminy Majdan Królewski".

Przewodniczący rady nakreśla szerszy kontekst uchwały: – Kiedyś Lech Wałęsa cieszył się wielkim szacunkiem mieszkańców i gdyby wybierała tylko nasza gmina, to wygrałby wszystkie wybory w pierwszej turze. Ale z biegiem lat utracił nasze zaufanie. Jego wypowiedzi można różnie oceniać, ale ta na temat Kornela Morawieckiego była wyjątkowo skandaliczna.

Waldemar Kamiński podkreśla, że uchwała dotyczy wyłącznie słów byłego prezydenta RP pod adresem zmarłego założyciela Solidarności Walczącej i nie ma charakteru politycznego. Jest raczej moralnym sprzeciwem wobec tego typu wypowiedzi w przestrzeni publicznej.

– Ani we wniosku, ani w uchwale nie wchodzimy w to, czy Lech Wałęsa był tajnym współpracownikiem SB, czy nie, choć takie argumenty ze strony mieszkańców też padały – tłumaczy przewodniczący. – Uważam, że jako rada nie powinniśmy w to wchodzić, ale możemy podnosić to, co z pewnością miało miejsce, i to jeszcze przy telewizyjnych kamerach.

Nasz rozmówca dodaje: – Nie była to uchwała skierowana na zewnątrz, żeby pokazać, co to my niby jesteśmy. To była uchwała skierowana do mieszkańców. Nie zależało nam na rozgłosie.

Rozgłosu medialnego, siłą rzeczy, nie dało się jednak uniknąć.

Kamiński zaznacza, że kiedy był uchwalany regulamin rady, nikt nie myślał, że będzie ona kogokolwiek pozbawiać honorowego obywatelstwa. W regulaminie zostało jednak określone, że mogą o to występować wnioskodawcy lub grupa radnych. – Ustaliliśmy, że tych radnych powinno być co najmniej ośmiu, czyli większość rady – informuje przewodniczący. W zamyśle miało to podnieść rangę takiego wniosku.

Jak podkreśla Waldemar Kamiński, to nie jest tak, że ośmiu radnych „coś sobie umyśliło": – Przychodzili do mnie mieszkańcy gminy i mówili: „Zobacz, co ten Wałęsa wyprawia". Do innych radnych również. Tak więc u źródeł uchwały była wola mieszkańców gminy.

– A poza wszystkim, czy laureat Pokojowej Nagrody Nobla nie powinien scalać, a nie dzielić? – pyta retorycznie Kamiński.

NIEWYSTARCZAJĄCE POWODY

Przewodniczący rady gminy przyznaje, że nie jest mu znana reakcja Lecha Wałęsy na uchwałę. Jak również, że nie poinformowano oficjalnie byłego już honorowego obywatela gminy o jej treści. To nie podoba się radnemu Tomaszowi Koziołowi, który głosował przeciw przyjęciu uchwały.

– Kiedy ten tytuł był nadawany, ówczesne władze gminy wystąpiły do prezydenta Lecha Wałęsy z pytaniem, czy zgodzi się go przyjąć. Jeśli go teraz tego tytułu pozbawiamy, to kwestią przyzwoitości byłoby, żeby powiadomić o tym zainteresowanego – przekonuje radny.

Tomasz Kozioł uważa, że w treści uchwały powinien się znaleźć zapis obligujący radę do powiadomienia Lecha Wałęsy o decyzji radnych. – Podnosiłem to na komisji. Mówiłem, że tego mi w uchwale brakuje. Ale większość była za przyjęciem uchwały w takiej formie, w jakiej została przyjęta.

Ale nie tylko brak powiadomienia byłego honorowego obywatela gminy o treści uchwały nie podoba się radnemu Koziołowi. – Nie jestem wielkim zwolennikiem Lecha Wałęsy, bo nie zawsze mi się podoba to, co on robi – tłumaczy. – Aczkolwiek uważam, że ta uchwała była przedwczesna, a powody, które podano w uzasadnieniu – niewystarczające. Mówimy przecież o osobie zaangażowanej politycznie, nobliście, byłym prezydencie, więc uważam, że argumenty powinny być poważniejsze.

Mieszkańców gminy, z którymi rozmawiałem, trudno było namówić na komentarz. „Nie interesuję się tym", „Ja się nie znam, w politykę się nie bawię", „Pan wie, jaki jest Wałęsa, co się będę wypowiadał" – rzucali szybko i przyspieszali kroku.

Na szczęście znaleźli się tacy, którzy coś jednak powiedzieli. – Wałęsa nie zasługuje na honorowe obywatelstwo, bo zdradził Polskę – stwierdził pan Emilian. – Skoro brał pieniądze od komunistów, to jak z takim człowiekiem można rozmawiać?!

Dla pana Pawła wypowiedź Lecha Wałęsy na temat Kornela Morawieckiego była niestosowna. – Pośmiertnie nie powinien obrażać nikogo w ten sposób i na pewno nie zasługuje to na pochwałę – stwierdził mój rozmówca. Dodał jednak, że ma wątpliwości, czy uchwała rady gminy była potrzebna. – Można to było zostawić, nie odbierać Wałęsie honorowego obywatelstwa.

STAN PRAWNY PRETEKSTEM?

Trzy dni później, 14 lutego, Rada Powiatu Bieszczadzkiego uchyliła uchwałę z 2012 r. o nadaniu Bieszczadzkiemu Zespołowi Szkół Zawodowych w Ustrzykach Dolnych imienia Lecha Wałęsy. Za głosowało dziewięciu radnych, przeciw było sześciu.

Projekt uchwały zgłosił Klub Radnych dla Rozwoju Bieszczad, ale pomysł wyszedł od Wiesława Sowińskiego, członka tego klubu, a zarazem członka Ruchu Narodowego. Jak poinformował Sowiński na Twitterze, projekt poparli radni z jego klubu oraz dwóch z PiS. „To pierwszy przypadek w Polsce, gdzie Pan Lech Wałęsa zderzył się z prawdą historyczną" – dodał radny.

– Sam w latach 90. byłem wyborcą pana Wałęsy, wierzyłem mu jak wielu z nas. Później zaczęły do mnie docierać

Fot. Łukasz Banasik/East News

eprasa.pl 33776eaff3

różne informacje na jego temat. Szczególnie wymowny był list Anny Walentynowicz z pytaniami do Lecha Wałęsy, który dał mi sporo do myślenia. Zacząłem szukać, czytać i poznałem zupełnie inne jego oblicze – tłumaczy Sowiński. I dodaje: – Wałęsa został najpierw honorowym obywatelem naszego miasta (w 2010 r. – przyp. JK), a później patronem Zespołu Szkół Zawodowych, i bardzo to nasze ustrzyckie społeczeństwo podzielił. Jedni byli na „tak", inni na „nie". Ówczesna władza zrobiła, co chciała i bez większych konsultacji społecznych podrzuciła nam takie kukułcze jajo w postaci pana Wałęsy. Na pewno nie był on odpowiednim patronem dla szkoły.

Jednak radni uzasadnili wniosek nie tyle dezaprobatą wobec działań czy wypowiedzi byłego prezydenta RP, ile tym, że uchwała z 2012 r. jest wadliwa prawnie. Zdaniem Klubu Radnych dla Rozwoju Bieszczad, prawo oświatowe nie pozwalało wtedy (tak zresztą jak i dziś) na nadawanie imion zespołom szkół, a jedynie szkołom, które wchodzą w skład zespołu.

– Wybraliśmy taką drogę, żeby to poszło najsprawniej i najprościej – tłumaczy radny Sowiński. – Gdybyśmy wdali się w wyjaśnienia, dlaczego Lech Wałęsa nie powinien być patronem szkoły, spowodowałoby to różne wojenki, kłótnie, przepychanki. Tego chcieliśmy uniknąć.

– Szukano pretekstu i go znaleziono – stwierdził po sesji Zygmunt Krasowski, przewodniczący komisji oświaty w Radzie Powiatu Bieszczadzkiego i kierownik wydziału oświaty w Urzędzie Miejskim w Ustrzykach Dolnych. Po czym dodał: – Z niesmakiem wychodzę z tej sesji, bo przekreśla się Lecha Wałęsę jako przywódcę i uznaje się, że jest niegodny być patronem szkoły. Nie da się wygumkować tej postaci z historii Polski, Europy i świata, postaci znanej na całym świecie i jednoznacznie kojarzonej z Polską. Nie szanuje się jego dorobku dla ruchu Solidarności i dla gospodarki. Teraz, kiedy odwaga staniała, to najwięcej zastrzeżeń do Lecha Wałęsy mają ci młodzi, co robili wtedy w pieluchy, oraz ci, którzy przespali swój czas bądź byli zbyt tchórzliwi i nie załapali się do pociągu zwanego historią.

Innego zdania był Jan Kot, gość sesji, uczestnik strajków ustrzyckich w 1981 r., członek rady konsultacyjnej ds. działaczy opozycji antykomunistycznej i osób represjonowanych z powodów politycznych: – Naszym zdaniem i środowiska sybiraków, dobrze się stało, że Lech Wałęsa nie jest już patronem szkoły. Nie zasługiwał na taki zaszczyt, bo powtarzał, że tylko on obalił komunizm, mur berliński i wyprowadził wojska radzieckie z Polski. To nieprawda. Gdyby nie wielomilionowy ruch Solidarności, to po Wałęsie nie byłoby śladu, gdyż komuniści mieli doskonały sposób utylizacji ludzi i do dziś nie możemy odnaleźć wielu działaczy opozycji. Uważamy Lecha Wałęsę za zdrajcę, bo kiedy naród wybrał go na prezydenta RP, on się odwrócił w inną stronę i nie zrealizował oczekiwań narodu, mimo że wielu z nas oddałoby wtedy za niego życie.

Waldemar Kamiński (na zdj.): – Kiedyś Lech Wałęsa cieszył się wielkim szacunkiem mieszkańców i gdyby wybierała tylko nasza gmina, to wygrałby wszystkie wybory w pierwszej turze. Ale z biegiem lat utracił nasze zaufanie. Jego wypowiedzi można różnie oceniać, ale ta na temat Kornela Morawieckiego była wyjątkowo skandaliczna

Wałęsa w swoim stylu odniósł się do sprawy na Twitterze i Facebooku (zacytuję dłuższy z tych wpisów, z Facebooka; oba są datowane na 10 lutego, czyli jeszcze przed podjęciem uchwały, ale informacje o tym projekcie ukazały się w mediach kilka dni wcześniej; pisownia oryginalna – przyp. JK): „Nie chcą Lecha Wałęsy jako patrona szkoły. Znaleźli ważną podstawę prawną. Radnych w Ustrzykach Dolnych pod przysięgą informuję. Wyrzuciłem braci Kaczyńskich z pracy w kancelarii prezydenta. Postanowili zemstę. Zaczęli pomawiać i oczerniać mnie. Nie stosowali jeszcze w tedy w stosunku do mnie pomawiań agenturalnych, gdyby po wyrzuceniu cokolwiek mieli na pewno by użyli. Podałem sprawę do sądu i wygrałem. Zostali ukarani. Podwoili chęć zemsty. Kiedy Kaczyński został prezydentem zaczęli organizować kierunek pomówień agenturalnych [Teczki Kiszczaka]. Jeszcze nie przygotowali i nie odkryli przygotowanych przez siebie teczek Kiszczaka, a już publicznie zaczęli głosić w stosunku do mnie te agenturalne herezje, Powiadomiłem na piśmie i publicznie prezydenta Kaczyńskiego, ze sprawę

Fot. Waldemar Kwiatkowski

Autopromocja

eprasa.pl 33776eaff3

skieruję do sądu, jeśli nie przeproszą mnie i nie wycofają tych pomówień. Nie zdążyłem katastrofa Smoleńska zawiesiła moje działania".

NIECH WOJEWODA I SĄD ADMINISTRACYJNY ROZSTRZYGNĄ

Radni popierający patronowanie szkole przez Lecha Wałęsę zapowiedzieli odwołanie, ale – jak się dowiedziałem – jeszcze ono nie wpłynęło. Powołali się przy tym na rozporządzenie mówiące, że rada powiatu nie może uchylić swoich wcześniejszych uchwał. Może to zrobić tylko wojewoda albo sąd administracyjny.

– Stoimy na stanowisku, że uchwałę mogliśmy uchylić – ripostuje Artur Woźny, wicestarosta Powiatu Bieszczadzkiego, a zarazem powiatowy radny. Dodaje, że zostało to poprzedzone konsultacjami z prawnikami: – Zanim ta uchwała znalazła się w porządku obrad sesji z 14 lutego, byliśmy w nadzorze prawnym wojewody, a także u prawnika w kuratorium oświaty. Powiedzieli, że mamy dwie drogi. Pierwsza to uchylenie uchwały ze względu na – jak w tym przypadku – niezgodne z prawem nadanie imienia zespołowi szkół. Druga to przeprowadzenie całej procedury wymaganej przepisami prawa przy nadawaniu imienia szkole. Wówczas uchwała z 29 lutego 2012 r. straciłaby moc. Ostatecznie wybraliśmy pierwszą drogę.

Uchwała trafiła do nadzoru prawnego wojewody. – 26 marca to finalny termin, który ma on na to, by stwierdzić czy uchwała z 14 lutego jest zgodna z prawem, czy nie – podkreśla Artur Woźny. – Jeżeli wojewoda podkarpacki nie będzie widział sprzeczności tej uchwały z prawem, wówczas oponentom pozostaje jeszcze wystąpienie do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Rzeszowie. Gdyby nasza uchwała została uznana za niezgodną z prawem, ale wojewoda zauważyłby, że i tamta jest niezgodna z prawem, co do czego my nie mamy wątpliwości, to oczywiście może wszcząć procedurę uchylenia naszej uchwały, natomiast odnośnie do tamtej nie może zrobić nic, bo wszystkie terminy, jakie miał nadzór prawny wojewody, dawno minęły. Pani prawnik z Urzędu Wojewódzkiego przekazała mi, że wówczas WSA mógłby stwierdzić niezgodność z prawem uchwały z 2012 r., ale nie mógłby jej uchylić. Mogłaby to zrobić rada powiatu. Czyli wrócilibyśmy do punktu wyjścia, a więc do rozważań, czy możemy uchylić własną uchwałę, czy nie.

Wicestarosta stwierdził, że na razie spokojnie czeka na stanowisko nadzoru prawnego wojewody. – A później niech społeczność szkolna zorganizuje się, jeżeli chce, żeby ich szkoła miała imię, niech przedstawi swoje propozycje, a rada powiatu będzie się nad nimi pochylać.

Paweł Germański, dyrektor BZSZ, odmówił komentarza dotyczącego uchwały z 14 lutego.

Tygodnik SIECI z patriotyczną książką w sprzedaży do 15 marca

- sylwetki tych, którzy nie ulegli komunistycznemu terrorowi
- bohaterskie czyny, dramatyczne losy, wciąż żywe wspomnienia o Wyklętych

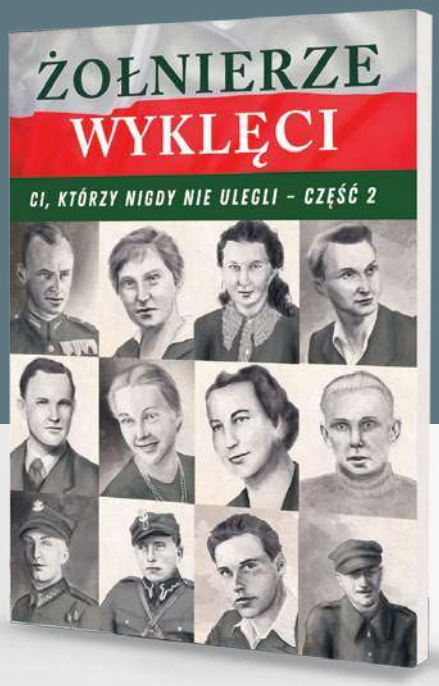

Kup tygodnik z książką w cenie 9,90 zł

w wybranych punktach sprzedaży m.in.:

◆ Empik ◆ Relay ◆ InMedio ◆ 1-Minute ◆ Tabak ◆ Media Star ◆ Poczta Polska

Salony prasowe: ◆ Kolporter ◆ Ruch ◆ Garmond Press **Stacje benzynowe: ORLEN i LOTOS**

Chcesz kupić oba wydania lub jedno z nich?

Zamów: prenumerata@fratria.pl, tel. 22 616 15 70

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 33776eaff3

Gorąca fala w księstwie Stanisława

Wart ponad 200 mln zł condohotel budowany nad samym morzem rozpala wyobraźnię inwestorów. Przyciąga też uwagę wszystkich tych, którzy śledzą kryminalne przygody byłego sekretarza generalnego Platformy Obywatelskiej Stanisława Gawłowskiego i jego przyjaciela Bogdana K. Co ma piernik do wiatraka? Okazuje się, że nie tak mało

PIOTR FILIPCZYK

Kołobrzeski przedsiębiorca Bogdan K. i Stanisław Gawłowski znają się od przeszło 20 lat. Gawłowski mówił o K. „mój Ukrainiec". „Jest dla mnie jak starszy brat"– K. odwzajemniał się Gawłowskiemu.

Bogdan K. działa w branży deweloperskiej, zajmował się także pracami melioracyjnymi. I to właśnie dzięki relacjom z Zachodniopomorskim Zarządem Melioracji i Urządzeń Wodnych w Szczecinie o biznesmenie i jego przyjaźni z trzęsącym regionem „księciem Stanisławem" usłyszała cała Polska. Obaj panowie są oskarżeni o udział w tzw. aferze melioracyjnej. Gawłowskiemu prokuratura zarzuca przyjmowanie łapówek, Bogdanowi K. m.in. korumpowanie przyjaciela i pranie brudnych pieniędzy.

26 lutego br. odbyła się rozprawa, podczas której zeznawał K. Jego słowa znów obiegły kraj.

„Był malutki, bez balkonu, nie miał odpowiedniego widoku" – tak Bogdan K. opisywał słynny apartament na wyspie Brač w Chorwacji. Zdaniem prokuratury przekazał on mieszkanie jako łapówkę ówczesnemu wiceministrowi środowiska Stanisławowi Gawłowskiemu. Jeszcze w śledztwie Bogdan K. przyznawał, że to Gawłowski był faktycznym właścicielem apartamentowca. Teraz odwołał te wyjaśnienia. Przekonywał, że chorwacki apartament był lichutki, a jego cena wyjątkowo atrakcyjna. Dlatego zupełnie naturalne było, że studio kupili od niego teściowie pasierba Gawłowskiego. Pielęgniarka i bezrobotny, dodajmy.

„Przepraszam, że pomówiłem pana senatora" – kajał się przed sądem Bogdan K. Jeśli jego przyjaźń z Gawłowskim kiedykolwiek osłabła, po tym wyznaniu z pewnością rozkwitła na nowo.

BAŁTYCKA FALA

Apartamenty kołobrzeskiego Baltic Wave to zupełnie inna para kaloszy niż malutkie mieszkanie nad Adriatykiem. Tutaj pielęgniarki i bezrobotni raczej nie mają czego szukać. Aby zainwestować w „jeden z najwyższych i najbardziej luksusowych budynków w Kołobrzegu" z kawiarnią widokową, salą konferencyjną, foyer, a nawet, cokolwiek to oznacza, „basenem infinity edge", trzeba naprawdę sporych pieniędzy. Zwłaszcza że kilka tygodni temu budująca go spółka zawarła 20-letnią umowę franczyzową z międzynarodową siecią hotelarską InterContinental Hotels Group. Można też, o czym przekonują przedstawiciele spółki budującej condohotel (połączenie lokali mieszkalnych i hotelu), naprawdę nieźle zarobić. Stopa zwrotu może bowiem wynieść nawet do 7,77 proc. rocznie.

Czy to możliwe? O tym za chwilę. Na pewno jednak w wielkie zyski z Baltic Wave wierzy Bogdan K. Aby się o tym przekonać, wystarczy przejrzeć jego facebookowy profil. Posty promujące „Bałtycką falę" publikuje on częściej niż hejt na PiS. Biznesmen zachęcał do inwestycji nawet w Wigilię.

DLACZEGO BALTIC WAVE JEST DLA NIEGO TAKIE WAŻNE?

– To ma być wielki powrót do gry rodziny K. Przed aferą melioracyjną byli prawdziwymi panami Kołobrzegu.

eprasa.pl 33776eaff3

Potem, choć nadal wiedli wystawne życie i z całą pewnością nie wypadli z miejscowej elity, zdarzały się trudniejsze miesiące. Teraz znów są w centrum uwagi, cały Kołobrzeg mówi, że Baltic Wave to ich projekt. Warto się z nimi pokazywać. Dla tego typu ludzi to ważne – mówi nam jeden z kołobrzeskich polityków.

„W tego typu inwestycje zaangażowane jest także młode pokolenie kołobrzeżan, jak spółka Adriana K., którego rodzice utrzymują się w czołówce kołobrzeskich rodzin prowadzących interesy w branży hotelowej. Ich najnowszy Baltic Wave powstaje w bliskości czterogwiazdkowego Hotel Diva Spa Kołobrzeg. Warto o tym pamiętać, że to nie jest ostatnie słowo rodziny K., w ich częściowym władaniu jest jeden z najbardziej atrakcyjnych z położenia i powierzchni teren inwestycyjny w mieście, pomiędzy ulicami Reymonta a Waszyngtona" – pisze w tekście poświęconym modzie na condohotele miejscowy dziennikarz Jarosław Banaś.

NA KRAWĘDZI

– Nie wiem, jak to wygląda formalnie, ale w Kołobrzegu wszyscy mówią, że to K. buduje. Nie Adrian, tylko Bogdan. Zresztą to ma być tylko jedna z kilku jego nowych inwestycji – mówi nam Krzysztof Plewko, radny PiS z Kołobrzegu.

Inni rozmówcy przypominają kontrowersje wokół określania warunków zabudowy dla tego terenu, wskazując, że rzecz przeprowadzono w taki sposób, by nie była potrzebna decyzja rady miasta. Wśród lokalnych dziennikarzy krążą screeny z internetowego rejestru przedsiębiorców z podkreślonym nazwiskiem człowieka, o którym gazety pisały w kontekście zatrzymań CBŚ, interesów z gangsterami i słabości do kokainy. Miał on zasiadać w radzie nadzorczej jednej ze spółek powiązanych z Baltic Wave. Z kolei do naszej redakcji trafiło zdjęcie płotu okalającego plac budowy, na którym zawieszono baner informujący, iż projekt jest realizowany „we współpracy z Grupą Copernicus". Częścią tej grupy jest Copernicus Capital TFI, ukarany niedawno przez Komisję Nadzoru Finansowego wielomilionową karą m.in. za „brak działania w interesie uczestników funduszu poprzez lokowanie aktywów funduszu w udziały jednej ze spółek, bez przeprowadzenia rzetelnej analizy sytuacji spółki". Całkiem otwarcie stawiane są za to pytania o kuszenie potencjalnych inwestorów stopą zwrotu sięgającą 7,77 proc. Przed takimi „okazjami" ostrzegają w specjalnej kampanii Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów oraz Komisja Nadzoru Finansowego.

– No cóż, tam gdzie jest Bogdan, musi być gorąco. Wie pan – duża kasa, dobra wódka, życie na krawędzi – śmieje się jeden z naszych rozmówców.

Zadzwoniliśmy do Bogdana K., żeby zapytać o to, czy Baltic Wave to rzeczywiście „jego projekt" i wyjaśnić wszystkie inne kwestie rozpalające wyobraźnię kołobrzeżan.

– Nie będę z panem w ogóle rozmawiał. Za chwilę dostanie pan oświadczenie. To cały mój komentarz – usłyszeliśmy.

WYSOKI ZWROT I WIDOKI NA PRZYSZŁOŚĆ

Rzeczywiście, tuż po rozmowie z K. dostaliśmy oświadczenie spółki Baltic Wave, której wcześniej zadaliśmy pytania w sprawie inwestycji.

„Pan Adrian K. pełni funkcję Prezesa Zarządu spółki Vacation Investments Sp. z o.o. odpowiadającej za sprzedaż apartamentów i marketing inwestycji Baltic Wave. Posiada on bogate doświadczenie zdobyte na rynku hotelarskim i deweloperskim. Jednocześnie informujemy, że żadna z osób oraz podmiotów związanych z rodziną K. nie pełni roli inwestora w całym przedsięwzięciu mającym na celu realizację i komercjalizację 5-gwiazdkowego hotelu Baltic Wave" – czytamy w piśmie sygnowanym przez prezesa Baltic Wave Tomasza Wajsgerbera.

Czy spółka ma coś wspólnego z tajemniczym biznesmenem powiązanym rzekomo z mafią? Nie, absolutnie nic.

– Pan [tu pada nazwisko – przyp. red.] nie był w przeszłości zaangażowany w projekt Baltic Wave ani w spółkę go prowadzącą. Pan (...) nie był również reprezentantem żadnej ze spółek powiązanych z Baltic Wave sp. z o.o. oraz nie jest obecnie akcjonariuszem żadnej z tych spółek – twierdzi reprezentująca firmę Edyta Stochmal.

Na nasze pytania błyskawicznie odpowiedziała także Grupa Copernicus.

„Dom Maklerski Copernicus Securities S.A. pragnie poinformować, iż w związku z realizacją przedsięwzięcia inwestycyjnego realizowanego przez spółkę Baltic Wave sp. z o.o. i polegającego na wybudowaniu 14-kondygnacyjnego budynku z blisko pięciuset apartamentami hotelowymi w miejscowości Kołobrzeg, Copernicus Securities S.A. był organizatorem programu emisji obligacji emitowanych przez spółkę Separtis sp. z o.o., służących sfinansowaniu tego przedsięwzięcia inwestycyjnego" – czytamy w e-mailu.

„Jednocześnie chcemy poinformować, iż Copernicus Capital TFI S.A., wchodząca w skład grupy kapitałowej spółki Copernicus Securities S.A., nie była stroną jakiejkolwiek transakcji dotyczącej w/w papierów wartościowych, ani jakichkolwiek rozmów związanych z przedmiotowym projektem inwestycyjnym" – informuje Copernicus. Zapewnia, że „działając jako instytucja finansowa oraz podmiot regulowany, Copernicus Securities świadcząc swoje usługi inwestycyjne każdorazowo stosuje się do obowiązujących przepisów powszechnie obowiązującego prawa, a także bierze pod uwagę stanowiska i zalecenia wydawane przez Komisję Nadzoru Finansowego oraz inne organy publiczne, w tym Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów".

A co z superatrakcyjną stopą zwrotu, o której są informowani potencjalni inwestorzy Baltic Wave, a także zaangażowaniem domu maklerskiego w emisję obligacji, na co uczula w swoim przekazie KNF? Spółka nie ma sobie nic do zarzucenia.

„W materiałach sprzedażowych podajemy przewidywaną stopę procentową. Stopa ta może osiągnąć pułap do 7,77 % i nie jest ściśle określoną wartością" – informuje Tomasz Wajsgerber.

Hmm... Jeśli państwo, podobnie jak my, nie wiedzą, jak interpretować tego typu wypowiedzi, polecamy stronę oczarowani.pl prowadzoną przez KNF i UOKiK. Warto wejść i poczytać. Tak dla pewności.

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 33776eaff3

Nie mam problemu z chwaleniem PiS tam, gdzie zasługuje

Uprzejmie przypominam, że nie rozmawia pan ze zwolennikiem programu „Żeby było tak, jak było" – mówi Adrian Zandberg, poseł na Sejm, współzałożyciel i członek zarządu krajowego partii Razem, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Ładny lokal, reprezentacyjna część Warszawy, aż nie pasuje do lewicy.

Adrian Zandberg: Wynajmujemy od miasta. A że mamy stąd zdecydowanie bliżej do Sejmu niż z poprzedniej siedziby, to wybór był prosty.

Krążą plotki, że wcześniej urzędował tu Ryszard Petru.

Świat się zmienia, niektóre partie schodzą ze sceny politycznej, inne rosną i potrzebują większego biura. [śmiech]

Nie obawia się pan, że wisi nad tym miejscem jakieś fatum?

Ja nie z tych przesądnych.

Zostawmy to. Ile jest jeszcze w panu z Adriana Zandberga, który bił się o lewicowe postulaty zupełnie poza establishmentem politycznym?

Najprościej ocenić to, patrząc na konkretne sprawy, o które bijemy się w parlamencie: większe nakłady na zdrowie, walka z ubóstwem, prawa pracownicze, sprawiedliwe podatki. Zgłosiliśmy ustawę o podniesieniu minimalnego świadczenia emerytalnego do 1,6 tys. zł. Propozycja podniesienia emerytur została odrzucona wspólnymi siłami neoliberałów z PO i posłów PiS. Co wystawia szczególną recenzję społecznej wrażliwości partii rządzącej.

Znając realia sejmowe, chodziło zapewne bardziej o to, że to projekt kogoś z opozycji.

Tym gorzej. Odrzucanie dobrych pomysłów tylko dlatego, że zgłosił je ktoś inny? Naprawdę chcemy, żeby tak działała polityka? Lewica potrafi wyjść poza tę szkodliwą logikę. Gdy widzimy sensowne działania rządu, nie mamy problemu, by podnieść za nimi rękę. Naprawdę Sejm może działać inaczej. Widać to było choćby przy okazji ustawy o koronawirusie. Dzięki poprawkom Marceliny Zawiszy – a także temu, że PiS się przełamało i przyjęło te poprawki – ustawa, choć nie idealna, jest dużo lepsza, bez groźnych błędów, które były w początkowej wersji.

Wyczuwam między wierszami krytykę projektu totalnej opozycji.

Ja się nigdy opozycją totalną nie nazywałem. Politycy PiS oczywiście uwielbiają opowieść o opozycji totalnej. Tylko tak naprawdę zazwyczaj sami zachowują się totalnie. Wracając do naszych projektów – ważna sprawa dla nas to sprawiedliwe podatki. W zeszłym tygodniu przedstawiliśmy ustawę o opodatkowaniu gigantów cyfrowych.

Co ma pan na myśli?

Korporacje takie jak Google czy Facebook stosują agresywne planowanie podatkowe i odprowadzają tyle co nic do budżetu. Nieakceptowalne jest też to, co się stało w tej sprawie między ambasador Georgette Mosbacher a polskim rządem. Nie może być tak, że prawo przyjmowane w Polsce, dotyczące systemu podatkowego, polityki transportowej czy polityki lekowej, jest dyktowane przez ambasadę innego kraju. To są standardy republiki bananowej.

Zakulisowa interwencja dyplomatów USA była faktycznie znamienna, ale pytanie, czy to nie jest problem ponadnarodowy, który trzeba rozwiązać na poziomie Komisji Europejskiej, a nie poszczególnych krajów wobec wielkich korporacji. Nierzadko lepiej wyposażonych prawnie niż państwa.

Zakulisowa? Pani Mosbacher udzieliła wywiadu, w którym otwarcie mówiła, że jest tutaj po to, by kształtować polskie prawo w interesie amerykańskich firm, i że robi to skutecznie. Ten

eprasa.pl 33776eaff3

Fot. Andrzej Wiktor

wywiad był moim zdaniem wręcz obraźliwy dla polskiego rządu. Co do pańskiego pytania: porozumienia podatkowe to dobra rzecz, pod warunkiem że istnieją. A w tej sprawie porozumienia nie ma. USA robią wiele, by takie nie zostało zawarte. Podatki to domena suwerennych państw. Zamiast czekać na święty nigdy, nasze państwo powinno, wzorem innych, ruszyć z pracami nad podatkiem od cyfrowych gigantów.

Wracam do pytania wyjściowego. Kiedyś był pan mocniej antyestablishmentowy. Potrafił wygarnąć Leszkowi Millerowi, skrytykować aparatczyków SLD, a dzisiaj uwiarygodnia pan to wszystko.

Proszę pana, gdybyśmy udawali, że jesteśmy identyczni, to bylibyśmy śmieszni. Ale w 2018 r. zapytaliśmy wyborców Razem, jak powinniśmy pójść do wyborów. Odpowiedź była jasna: zbudujcie koalicję na lewo od Platformy. Ostatnie miesiące pokazały, że to był dobry wybór. Koalicyjny Klub Lewicy składa prospołeczne propozycje, zgodne z programem Razem. Trzeba bardzo się starać, żeby nie dostrzec różnicy między dzisiejszą Lewicą w parlamencie a neoliberalnymi błędami sprzed kilkunastu lat.

Dziś mówi pan: neoliberalne błędy. Jeszcze parę miesięcy temu był pan bardziej stanowczy i nieprzejednany, nie szedł pan pod rękę z baronami z SLD.

W polityce chodzi o konkret. O to, jak będzie wyglądała Polska za kilka lat. Moja ocena rządu Millera jest znana i się nie zmieniła. Ale mamy rok 2020, a nie 2002, więc interesuje mnie to, jaki program będzie realizował przyszły lewicowy rząd.

Właśnie. Zamierza pan ten rząd tworzyć z ludźmi tamtego systemu.

Podpisaliśmy porozumienie programowe. To porozumienie programowe jest realizowane. Zapewniam, że mnie nikt nie namówi ani na neoliberalizm, ani na klękanie przed biskupami.

Baronowie SLD przeżyli niejednego takiego Zandberga w koalicji.

Być może. Ale chyba wszyscy widzimy, że to kierunek prospołeczny daje lewicy wiatr w żagle, w przeciwieństwie do tamtych wyborów, które sprowadziły SLD na margines sceny politycznej.

Pozwoli pan, że pozostanę sceptyczny wobec pana optymizmu. Lubi pan III RP?

Trzecią, czyli którą? Czy III RP skończyła się w 2015 r., czy trwa nadal? Bo opinie są podzielone.

Jak zwał, tak zwał.

To jednak ważne pytanie. Politycy PiS twierdzą, że obecna demolka w sądach to jest budowa IV RP. A prawda jest taka, że kontynuują stare patologie. Mówiłem już o uległości wobec korporacji, niesprawiedliwych podatkach, ale to przecież nie tylko to. Ot, choćby zabetonowanie systemu politycznego. Żeby w ogóle wystartować w wyborach, trzeba zebrać olbrzymią liczbę podpisów, zmierzyć się z okręgami wyborczymi skrojonymi pod największe partie. Do tego dochodzi system medialny trudny do sforsowania dla nowych graczy.

Przepraszam, nie umawiałem się na wywiad z Pawłem Kukizem, tylko z Adrianem Zandbergiem.

Bo w krytyce tego, co źle działa, mogę się zgodzić i z Kukizem. Chodzi o to, że rozwiązania, które proponował, były bez sensu. JOW tylko by pogłębiły ten problem.

To co się dzieje pana zdaniem po roku 2015? Korekta? Reset?

W tym, co zrobiło PiS, są rzeczy szkodliwe, są takie, które dokumentnie schrzaniło, i są też takie, które zrobiło dobrze. Nie mam problemu, żeby to przyznać. Zwiększenie wydatków na politykę rodzinną było słuszną korektą. Mówiłem o tym zresztą od początku – w przeciwieństwie do niektórych polityków nie muszę w sprawie 500+ połykać własnego języka.

Zmiany w sądach to temat na osobną rozmowę, ale podoba się panu stan polskiego sądownictwa?

Sądy nie działają dobrze. Ale historia z Ziobrą i z sądami wygląda tak: mamy samochód, który kiepsko jeździ. Każdy rozsądny człowiek zajrzałby pod maskę, poszedłby do mechanika. A Ziobro mówi: jak wywalimy tego faceta, który siedział za

eprasa.pl 33776eaff3

kierownicą, a posadzimy mojego kolegę, to będzie cudownie i możemy wystartować w Formule 1. To tak nie działa.

Na te argumenty choćby minister Warchoł mówi: silnik do korekty, ale kierowca też do zmiany. To musi iść w parze.

Przecież zmiany są potrzebne nie na poziomie Sądu Najwyższego, ale na dole. Mamy za dużo spraw, którymi zajmują się sądy. Częścią z nich powinny się zająć inne instytucje, wtedy skróciłyby się kolejki. Jestem może nudny, bo ciągle mówię o płacach w budżetówce, ale tu też jest znaczna część problemu z polskimi sądami.

Czyli odpowiedzią są pieniądze?

Również pieniądze. Bez podwyżki płac dla personelu pomocniczego ta maszyna będzie się zacierać jeszcze bardziej. Tak, w sądach jest dużo niesprawiedliwości. Naprawdę politycy PiS nie muszą mnie o tym informować. Siedziałem na blokadach nielegalnych eksmisji wtedy, kiedy prezes Kaczyński był jeszcze zakochany w reprywatyzacji.

Nie wiem wiele o tym zakochaniu, ale fakty były takie, że sądy wydawały kamienice nieżyjącym 130-latkom.

Wszystko to znam. Ale to się nie zmieni od wyrzucenia jednej czy dwóch osób z Sądu Najwyższego. Kluczowa sprawa to jest wyrównanie pozycji stron przed sądami. By ci ubożsi czy gorzej wykształceni nie byli przegrani na starcie, kiedy druga strona wynajmie dobrego prawnika z prestiżowej kancelarii. Przeciążone sądy działają tak, jak to opisywała prof. Ewa Łętowska – wyroki metodą kopiuj-wklej. Mamy system pomocy prawnej, który jest ułomny – z tym Ziobro sobie nie poradził. Wolał zorganizować skok na stołki. Nie da się wiecznie zwalać winy na poprzedników. W 2023 r. pójdą do urn miliony młodych ludzi, którzy nawet nie będą pamiętać rządów Platformy. Ocenią rządy PiS, włącznie z paskudztwami, jakie teraz się dzieją.

> Zwiększenie wydatków na politykę rodzinną było słuszną korektą. Mówiłem o tym zresztą od początku – w przeciwieństwie do niektórych polityków nie muszę w sprawie 500+ połykać własnego języka

Paskudztwami?

A jak inaczej nazwać to, co robią „Wiadomości" TVP? Dla mnie najbardziej uderzającą historią był strajk lekarzy rezydentów. Młodzi lekarze upomnieli się nie o siebie, ale o pieniądze na leczenie pacjentów. I co zrobiła telewizja rządowa? Zaczęła szczuć na młodych związkowców. Na co dzień łzawe programy o pierwszej Solidarności, a kiedy wybucha protest pracowniczy, to rządowa telewizja robi kłamliwe materiały o jednej z liderek.

Nie znajdzie pan we mnie obrońcy materiałów nie do obrony. Ale jest równowaga większa niż w roku 2015. Stacje prywatne też dokładają do pieca.

Telewizja publiczna tym różni się od prywatnej, że jest utrzymywana ze środków publicznych. A to oznacza, że powinna pełnić misję.

Pan tu o idealistycznym podejściu, a w Klubie Lewicy mamy dziś byłego prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego. Różowo to wtedy nie było.

Idealistycznym podejściem jest to, by telewizja publiczna nie fałszowała zdjęć protestującej lekarki? Nie szczuła kłamliwie?

Nie. Chodzi o proporcje wobec tego, co było.

Pewnie wielu ludzi, którzy dziś robią świństwa, tak to sobie uzasadnia: „A bo wcześniej oni to czy tamto". Mnie to nie interesuje. Chcę Polski, w której TVP jest wiarygodnym źródłem informacji, a nie pałką rządu. Jakiegokolwiek rządu. To, co mamy dzisiaj, zabija debatę publiczną. I to rzecz, którą po rządach PiS trzeba będzie odkręcić.

Od stacji prywatnych też trzeba wymagać, bo korzystają z państwowych struktur, dostępu, rynku mediów.

Nie mam najmniejszego problemu, żeby się z tym zgodzić. Licencja na nadawanie jest dobrem publicznym, miejsc na multipleksie jest niewiele. Oczywiście licencja powinna się wiązać z zachowaniem wysokich standardów. Ale nic nie usprawiedliwia tego, w jaki sposób TVP została przekształcona w fabrykę szczucia.

Chcę panu tylko tyle powiedzieć, że system był domykany w latach 2010–2015. Dziś w porównaniu z tym okresem mamy pełen pluralizm.

Jakoś nie zauważyłem żadnej lewicowej telewizji. Uprzejmie przypominam, że nie rozmawia pan ze zwolennikiem programu „żeby było tak, jak było". Krytykowałem to, co robiła Platforma na ostatniej prostej swoich rządów, i zdania nie zmieniłem. Ale żadne dawne historie nie usprawiedliwiają pisowskiego nihilizmu.

W całej naszej rozmowie nie padło ani razu nazwisko waszego kandydata na prezydenta. Symboliczne.

Przecież rozmawiamy o programie Roberta Biedronia! Biedroń startuje z programem lewicy i o nim mówi. W tym tygodniu przedstawił plan budowy mieszkań na wynajem...

...a wcześniej jego doradcy w Wiośnie suflowali opowieści rodem z bańki Leszka Balcerowicza. Robert Biedroń sam nie wie, jakie ma poglądy.

Po doradcy, o którym pan wspomina, od dawna nie ma śladu. A 10 maja będzie prosty wybór: prezydent Duda, który mówi, „żeby było tak, jak jest", konserwatystka Kidawa-Błońska, która chce, „żeby było tak, jak było", do tego jeszcze kandydaci prawicy o różnych odcieniach. A przeciw nim jedyny kandydat lewicowej koalicji – Robert Biedroń. W tej kampanii już słychać, a będzie coraz głośniej, o programie lewicy. Bo siłą lewicy jest konkret i tym się różnimy od konkurentów. Trudno znaleźć taką wizję w Platformie i coraz trudniej w zużytym władzą PiS.

Całość wywiadu dostępna na portalu wPolityce.pl

eprasa.pl 33776eaff3

Fake wirus

Broń biologiczna, antyirański spisek CIA, a może epidemia celowo wywołana przez Billa i Melindę Gatesów? Fake newsy i teorie spiskowe rozprzestrzeniają się jeszcze szybciej niż sam koronawirus. Na dodatek chińskie władze robią co w ich mocy, by przekonać świat, że COVID-19 powstał poza granicami Państwa Środka i przedostał się do niego w niewyjaśnionych okolicznościach

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Epidemia koronawirusa to już druga epidemia, która wybuchła w Chinach na przestrzeni ostatnich dwóch dekad, po epidemii SARS w latach 2002–2003. Tyle że tym razem do jej wybuchu doszło w chwili, gdy Chiny mierzą się ze spowolnieniem własnej gospodarki, którego wymiar nie jest do końca znany. Jak pisze francuski dziennik „Le Figaro", kryzys epidemiologiczny spowodował, że azjatycki gigant znalazł się w trudnej sytuacji i musi prosić o pomoc międzynarodową niczym kraj rozwijający się, w czasie gdy profilował się jako supermocarstwo, rzucając wyzwanie Stanom Zjednoczonym. „Jest to wielce irytujące dla prezydenta Xi Jinpinga, który porzucił roztropność ery Deng Xiaopinga na rzecz prężenia muskułów i planów bycia nowym centrum świata dzięki ambitnej wizji nowych jedwabnych szlaków" – twierdzi gazeta. Pekin wydalił trzech reporterów „Wall Street Journal" w odwecie za artykuł zatytułowany „Chiny to chory człowiek z Azji", który wskazywał na słabości, zwłaszcza ekonomiczne, azjatyckiego giganta. Nic dziwnego więc, że chińskie władze usiłują minimalizować skutki oraz zasięg epidemii, która zabiła już ponad 3 tys. osób, jednocześnie dyskretnie powielając teorie spiskowe krążące po sieci. W minionym tygodniu – jak pisze amerykańskie pismo „Foreign Policy" – rzecznik chińskiego MSZ Zhao Lijian otwarcie powiedział podczas konferencji prasowej, że „choć pierwsze przypadki koronawirusa zostały odkryte w Chinach, wcale nie jest pewne, że wirus pochodzi z Chin".

Tym samym chińska dyplomacja wydaje się potwierdzać pojawiające się w mediach tradycyjnych oraz społecznościowych fałszywe informacje na temat COVID-19. Niektóre są wręcz tak absurdalne, że trudno uwierzyć, iż znajdują zwolenników. A jednak. Przyjrzyjmy się niektórym z nich:

1

1. Wyciek z laboratorium w Wuhanie. Jedna z popularnych teorii spiskowych głosi, że koronawirus jest elementem tajnego chińskiego programu

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 33776eaff3

rozwijania broni biologicznej, a wybuch epidemii wynika z wycieku z Instytutu Wirusologii w Wuhanie, należącego do chińskiej armii. Hipoteza ta postawiona została w artykułach w „The Washington Times" oraz „New York Post". Autor artykułu w „NYP" Steven W. Mosher opiera się przy tym na wypowiedziach prezydenta Chin, który po wybuchu epidemii miał apelować o stworzenie „narodowego systemu kontroli ryzyka biologicznego" oraz podkreślić, że „bezpieczeństwo w laboratoriach jest niezbędne dla bezpieczeństwa narodowego". Zdaniem Moshera w Chinach są tylko dwa laboratoria zajmujące się „zaawansowanymi wirusami takimi jak koronawirus", a jedno z nich znajduje się właśnie w Wuhanie. „Także wirus SARS dwukrotnie uciekł z laboratorium w Pekinie, gdzie był używany w eksperymentach" – przekonuje Mosher. Na domiar złego, dodaje, pracownicy chińskich laboratoriów mają zły zwyczaj sprzedawania zwierząt laboratoryjnych ulicznym handlarzom, którzy sprzedają je dalej – obywatelom. „W ten sposób lądują w końcu w czyimś żołądku" – podkreśla Mosher.

Dziennik „Washington Post" starał się obalić tą tezę. Obszernie cytował amerykańskich ekspertów, twierdzących, że Instytut Wirusologii w Wuhanie nie nadaje się do prac nad bronią biologiczną, że większość krajów dawno zrezygnowała z takich badań jako nieefektywnych oraz że nie ma dowodów na to, że wirus z Wuhan jest wynikiem inżynierii genetycznej. Mimo tego teoria chińskiej broni biologicznej trzyma się mocno, została podchwycona m.in. przez amerykańskiego senatora z Arkansas Toma Cottona i popularnego w USA dziennikarza radiowego Rusha Limbaugha. Według tego ostatniego COVID-19 to wynalazek, za pomocą którego Chińczycy chcą wywołać medialną histerię w celu „obalenia prezydenta USA Donalda Trumpa". Biolog molekularny Richard H. Elbright z uniwersytetu Rutgers postawił natomiast tezę, że choć nic nie wskazuje na to, że koronawirus stanowi broń biologiczną, to i tak „mógł uciec z jednego z chińskich laboratoriów". Przewodniczący komisji ds. obronności brytyjskiego parlamentu Tobias Ellwood także publicznie kwestionował rolę instytutu w Wuhanie w wybuchu epidemii oraz domagał się „większej przejrzystości informacji o pochodzeniu koronawirusa".

2. Amerykańska broń biologiczna. Niedługo po wybuchu epidemii koronawirusa chiński portal wojskowy Xilu.com opublikował artykuł, z którego wynikało, że COVID-19 to broń biologiczna stworzona przez USA, by „osłabić Chiny". W ślad za portalem poszło wiele innych, szczególnie rosyjskich witryn. Stawiają one tezę, że wirus został stworzony przez CIA w celu wygrania wojny gospodarczej z Państwem Środka. Amerykańskie pismo „The National Interest" wskazuje na portal finansowany przez rosyjskie ministerstwo obrony Zvezda, który miał oskarżyć Waszyngton o prowadzenie „wojny biologicznej", nie tylko przeciwko Chinom, lecz także Rosji. Portal twierdzi, że Amerykanie „pracują nad bronią biologiczną w tajnych laboratoriach w Eurazji, m.in. w Gruzji, Kazachstanie, Azerbejdżanie i Uzbekistanie". Cytowany jest m.in. gruziński polityk Igor Giorgadze, który twierdzi, że Amerykanie już nie raz testowali broń biologiczną rozwijaną w laboratorium w Gruzji na miejscowej ludności cywilnej. Nie mogło oczywiście w takim zestawianiu zabraknąć rosyjskiego polityka Władimira Żyrinowskiego, który powiedział w rozmowie z moskiewskim radiem, że Pentagon chciał wywołać w Chinach zlokalizowaną pandemię, ale „coś poszło nie tak". Po rosyjskich mediach krąży także rosyjski analityk wojenny i były członek komisji ds. broni biologicznej ONZ Igor Nikulin, który już trzy lata temu twierdził, że Amerykanie zbierają materiał biologiczny Rosjan i Chińczyków, by stworzyć na ich podstawie nową broń. A Wuhan wybrali jako miejsce wywołania epidemii, bo znajduje się tam laboratorium chińskiej armii, na „którą można łatwo zrzucić winę". Według niego Amerykanie nie cofną się przed niczym, by zachować status hegemona.

> Niedługo po wybuchu epidemii koronawirusa chiński portal wojskowy opublikował artykuł o tym, że COVID-19 to broń biologiczna stworzona przez USA, by osłabić Chiny

Podobne tezy krążą także po chińskim internecie i mediach. Jedna z nich głosi, że już epidemia SARS w latach 2002–2003 została wywołana przez Amerykanów, którzy zakupili dane genetyczne chińskiej ludności od Instytutu Genomu w Pekinie (BGI). Wirus z Wuhanu miał przy tym zostać rozsiany przez amerykańskich sportowców uczestniczących w październiku 2019 r. w wojskowych mistrzostwach świata w Wuhanie.

3. Antyirański spisek. Po Chinach to Iran jest państwem, gdzie do tej pory odnotowano najwięcej śmiertelnych przypadków koronawirusa. Ponad 2 tys. osób jest zarażonych, a 77 zmarło. Zakażenia nie udało się uniknąć także w parlamencie, gdzie u blisko 8 proc. deputowanych przeprowadzone testy wykazały wynik pozytywny. Irański kleryk Seyyed Mohammad Saeedi, imam w mieście Kom, najbardziej dotkniętym przez epidemię koronawirusa, oskarżył prezydenta USA Donalda Trumpa o to, że celowo rozsiał wirus w jego mieście, by „zniszczyć jego kulturę i honor". Według niego Kom to święte miasto szyitów – znajduje się tam mauzoleum Fatimy al-Masumy (Bezgrzesznej), siostry ósmego imama Alego ar-Ridy – a Trump miał grozić zniszczeniem miejsc kultu w Iranie, jeśli Teheran dokona odwetu za zabicie gen. Ghasema Sulejmaniego, który zginął w styczniu

Autopromocja

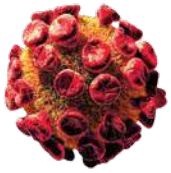

w ataku amerykańskiego drona. Odwet nastąpił – twierdzi imam – a więc Amerykanie atakują teraz Kom. Tymczasem irański naukowiec Ali Akbar Raefipour twierdzi, że koronawirus to element wojny hybrydowej USA przeciwko Iranowi oraz Chinom. W celach zniszczenia gospodarki obu krajów.

Wszystkie te tezy zostały podchwycone w mediach krajów arabskich, gdzie jako główny cel niecnych działań Amerykanów jest wskazany zysk – dla koncernów farmaceutycznych w USA, które „zarobią krocie na sprzedaży szczepionki". Ponadto Amerykanie „chcą pokazać, że Chiny to zacofany kraj".

4. Kradzież z kanadyjskiego laboratorium. Dziwnym trafem Kanada znalazła się w samym sercu spiskowej histerii w mediach społecznościowych. W ubiegłym roku kanadyjski nadawca CBC poinformował o usunięciu z Narodowego Laboratorium Mikrobiologii w Winnipeg chińskiej wirusolog dr Xiangguo Qiu wraz z jej mężem z powodu możliwości „naruszenia zasad". Jakich zasad nie wiadomo. Ale to wystarczyło, by na Twitterze i Facebooku pojawiła się teoria o wykradzeniu koronawirusa z kanadyjskiego laboratorium przez chińską wirusolog i jej męża, którzy mają być „szpiegami" i specjalizować się w badaniach nad koronawirusami. Następnie wirus miał wylądować w Wuhanie. Zarówno CBC, jak i laboratorium w Winnipeg zdementowały te informacje, ale niewiele to pomogło. Materiał o „szpiegach" został obejrzany ponad 350 tys. razy na popularnej chińskiej platformie internetowej TikTok. Nie pomogły też wyjaśnienia laboratorium w Winnipeg, że mąż dr Qiu Keding Cheng od lat tam pracuje, a w całym incydencie chodziło o „nieporozumienie natury administracyjnej". Podejrzenie pozostało i nie chce zniknąć, tym bardziej że władze Kanady odmawiają odpowiedzi na pytanie o obecny status naukowców, a jednocześnie wpłynęły informacje o tym, że dr Qiu uczestniczyła w tworzeniu co najmniej jednego laboratorium w Chinach, gdzie naukowcy pracują z najbardziej śmiercionośnymi wirusami.

5. Zaplanowana epidemia. Gdy koronawirus dotarł do USA, w amerykańskich mediach społecznościowych pojawiły się – jak donosi BBC – dokumenty patentowe mające stanowić dowód na to, że eksperci wiedzieli o istnieniu wirusa od lat. Tezę tę forsował przede wszystkim Jordan Sather, youtuber związany z amerykańską alt-right i ruchem antyszczepionkowym. W serii tweetów Sather udostępnił wydany w 2015 r. przez angielski Pirbright Institute patent, w którym jest mowa o rozwijaniu słabszej wersji koronawirusa w celu użycia go jako szczepionki przeciwko chorobom układu oddechowego. Sather przekonuje, że epidemia koronawirusa została zaplanowana. Przez fundację Billa i Melindy Gatesów, która opracowuje szczepionki oraz współpracuje z Pirbright

Portal zbierzmy.pl powstał, aby wspierać ambitne projekty gotowe do zaprezentowania odkrywczych pomysłów i idei.

Zaczynamy od prawdziwej historii wydawnictwa Agora i Gazety Wyborczej.

Żeby zrealizować produkcję potrzebujemy około 500 000 zł.

WESPRZYJ NAS NA zbierzmy.pl

eprasa.pl 33776eaff3

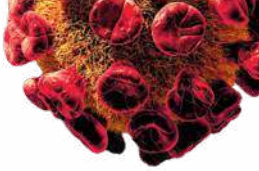

Institute. „Zastanówmy się chwilę, ile pieniędzy fundacja Gatesów zainwestowała w rozwój szczepionek? Czy ta choroba nie została przypadkiem zaplanowana?" – pytał Sather. W rzeczywistości patent Pirbright Institute nie dotyczy nowego koronawirusa, tylko wirusa zakaźnego zapalenia oskrzeli, przenoszonego przez ptaki. Ponadto współpraca instytutu z fundacją Gatesów nie dotyczy wspomnianego patentu – jak powiedziała rzeczniczka instytutu Pirbright Theresa Maughan w rozmowie z Buzzfeed News.

5. Zupa z nietoperza. Od samego początku wybuchu epidemii koronawirusa ludzie spekulowali w mediach społecznościowych na temat tego, skąd właściwie wziął się COVID-19. Szybko pojawiła się seria nagrań wideo rzekomo pokazujących Chińczyków jedzących nietoperze. Miało to swoje uzasadnienie, niektóre poważne media, w tym amerykański CNN, spekulowały bowiem o możliwym pochodzeniu wirusa od tych właśnie ssaków, stanowiących „dosłownie nieograniczony rezerwuar patogenów". Na jednym z tych filmików uśmiechnięta Azjatka trzyma pałeczkami gotowanego nietoperza, mówiąc, że smakuje „jak mięso z kurczaka". Film wywołał oburzenie w internecie oraz skłonił niektórych do postawienia tezy, że Chińczycy jedzą wszystko, co chodzi czy fruwa, a więc ich nawyki żywieniowe są odpowiedzialne za wybuch epidemii. Tyle że wideo nie zostało nakręcone w Wuhanie ani nawet w Chinach. Pochodzi z 2016 r. i pokazuje popularną chińską blogerkę Wang Mengyun podczas podróży do Palau, archipelagu na zachodnim Oceanie Spokojnym. Film zniknął już z YouTube. Faktem jest jednak, że nie pokazywał bynajmniej zwyczajów żywieniowych Chińczyków. Nietoperze choć są konsumowane w Państwie Środka, nie są wcale tak popularnym daniem. Według BBC wciąż nie wiadomo, czy – a jeśli tak, to od którego – dzikiego zwierzęcia sprzedawanego na targu w Wuhanie pochodził koronawirus. Badania w tym kierunku wciąż trwają.

Obok teorii spiskowych co do pochodzenia wirusa i jego śmiercionośnego potencjału (według niektórych teorii liczba ofiar śmiertelnych sięga dziesiątków tysięcy, co ma być skrzętnie ukrywane) pojawiły się także liczne propozycje jego leczenia, niekiedy dość fantastycznymi środkami. W Afryce poprzez aplikację WhattsApp – jak pisze „Washington Post" – są sprzedawane takie specyfiki jak czosnek, woda morska czy herbata. Wspominany wyżej Jordan Sather proponuje picie wybielacza przemysłowego, a telewizyjny pastor w USA Jim Bakker sprzedaje wiernym „specjalny roztwór srebra", który ma zabijać wszelkie wirusy, z koronawirusem na czele. Japończycy gorączkowo poszukują w internecie polskiej wódki, a minister spraw wewnętrznych Estonii Mart Helme przekonywał pod koniec lutego, że na koronawirusa pomaga „noszenie ciepłych skarpetek i smarowanie się gęsim smalcem". Ignorowanie kolejnych histerycznych doniesień medialnych zapewne też nie zaszkodzi.

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy: FRATRIA SP. Z.O.O.

nazwa odbiorcy cd.

nr rachunku odbiorcy

waluta: WP PLN

kwota

nr rachunku zleceniodawcy (polecenie przelewu) / kwota słownie (wpłata gotówkowa): 32 1240 6292 1111 0010 9551 2009

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy cd.

tytułem: DAROWIZNA NA FILM

tytułem cd.: DOKUMENTALNY

Opłata

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

odcinek dla zleceniodawcy

eprasa.pl 33776eaff3

Zieja, głos nadziei

Był kapelanem w roku 1920, w czasie kampanii wrześniowej i w powstaniu warszawskim. Zakładał KOR. Często szedł w swoim życiu pod prąd, ale nigdy wbrew zasadom. Film o ks. Janie Ziei można już oglądać w kinach. Reżyser Robert Gliński mówi o nim: – Bywał ortodoksyjny w poglądach, ale też niezłomny. To bohater na potrzeby i miarę dzisiejszych dysharmonijnych czasów

Fot. Waldemar Kompała

eprasa.pl 33776eaff3

Z reżyserem Robertem Glińskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Tytuł to zaproszenie. Zachęta. Czasem zanęta. Co obiecuje tytuł „Zieja"?

Robert Gliński: Bardzo długo nad nim dyskutowaliśmy. Pojawiły się propozycje: „Nie zabijaj nigdy nikogo", „Prawda czyni wolnym".

Czyli dłuższe, opisowe.

Tak, będące cytatami z kazań księdza Ziei. Jednak miało to w sobie jakąś pretensję i zbyt dużą klarowność. Tytuł „Zieja" jest abstrakcyjny.

Dla tych, którzy postaci nie kojarzą?

Większość ludzi nie kojarzy. Mam tego świadomość. Nawet wielu duchownych, jeśli już, to kojarzy słabo. Ze zwykłym widzem jest jeszcze gorzej. Często Zieja łączy mu się z nazwą firmy kosmetycznej. Ludzie osaczeni przez reklamy nagminnie przekręcają ten tytuł.

Podczas premiery filmu wspomniał pan o absurdzie podobnych sytuacji.

Absurdów w biografii Ziei było bardzo dużo. Żył w czasach, które go z nimi konfrontowały (ur. w 1897, zm. w 1991, doświadczył kilku historycznych przełomów) i stawiały wobec fundamentalnych pytań. Tymczasem film o człowieku, który miał postawę franciszkańską, wpisywał się w ideę Kościoła ubogich, pokazany został premierowo w Złotych Tarasach – współczesnej mekce konsumpcji i pieniądza. Jechałem ruchomymi schodami na uroczysty pokaz filmu o kapłanie, który nie zważał na podartą sutannę, mijając pulsujące światłami butikowe wystawy, automaty do gry i stragany z hamburgerami. Wokół przelewała się fala zahipnotyzowanych konsumpcją ludzi.

Ta fala jest w stanie zatrzymać się przy nazwisku Zieja?

Mam nadzieję, że jeszcze przed wejściem filmu do kin udało się to nazwisko spopularyzować. Z drugiej strony sam film zakoduje w nas postać księdza Ziei. I nie będzie już tak, jak zdarzyło się podczas prapremierowego pokazu w Watykanie, gdzie używaliśmy też opisowego dopełnienia nazwiska, ale wszyscy wokół pytali – „Co znaczy »Zieja«"?

Sądzili, że mają do czynienia ze słowem kluczem? Idąc podobnym tropem: co film z takim tytułem mówi w czasach „ziejących" agresją i hejtem. Czy dzięki swojemu bohaterowi, który staje ponad nimi, daje „nadZieję"?

Ciekawe są te słowne zabawy, ale rzeczywiście i do „ziania", i do „nadziei" nasz film w jakiś sposób się odnosi. Do świata, w którym na każdym kroku nastawieni jesteśmy na konfrontację, ziejemy niechęcią, a nawet nienawiścią, zamknięci we własnym postrzeganiu rzeczywistości, niechętni jakiemukolwiek spotkaniu, porozumieniu. Mam jednak nadzieję, że film „Zieja" – przypominając priorytety, fundamenty i wartości – pokaże, jak wiele nas łączy, że możemy spotkać się w pół drogi, porozmawiać, że to zianie nienawiścią do niczego nie prowadzi.

Jest pan idealistą?

Jestem. I uważam, że to postawa potrzebna w dzisiejszych czasach.

Z jaką propozycją, z jaką wizją świata i człowieka przychodzi do współczesnego widza taki bohater jak ks. Jan Zieja?

eprasa.pl 33776eaff3

Z wartościami duchowymi, moralnymi, które nie przemijają, nie starzeją się tak jak inne sfery naszego życia. Z postawą, w której wyraźnie zaznaczonym priorytetom towarzyszy otwartość, tolerancja. I miłość, ale rozumiana bardzo szeroko. Jako miłość do drugiego człowieka. Wymagająca tolerancji, akceptacji, a często też bardzo trudnego przebaczenia. Pojawia się w naszym filmie także wątek prawdy, która oczyszcza, wyzwala, daje duchową wolność.

Sięga pan do kazań ks. Ziei?

Tak, bo są fantastyczne – wyraziste, proste, łatwe do zrozumienia. Bardzo mi się podobały, ale w filmie nie sposób w całości zmieścić choćby jednego, więc pojawiają się w formie syntezy, skrótu myślowego, czasem cytujemy też pojedyncze zdania.

Które kazania pan wybrał?

Te, które w jakiś sposób mogą się odnosić do współczesności, czyli kazanie o prawdzie, miłości, przebaczeniu, o nie zabijaniu, nawet wroga.

Prosty przekaz ks. Ziei bywa bardzo trudny do przyjęcia. Zdarzało mu się wzbudzać kontrowersje – zarówno u wiernych, jak i u hierarchów.

Przedstawiłbym to w kontekście mojego stosunku do tego filmu. Kiedy trafiła do mnie propozycja zrealizowania filmu o ks. Ziei, na początku powiedziałem: to bez sensu. To spiżowy posąg, człowiek bez skazy, niemal święty. To nudne. Wbrew wszelkim regułom dramaturgicznym, które zakładają przemianę bohatera, jego upadek, konflikt, zderzenie bohatera z przeszkodami, z jakimś antybohaterem. Ale potem pojawił się kontekst współczesności, tzn. sprawy, które Zieja poruszał w swoich kazaniach. Dlaczego? Bo w wielu momentach znajdują odniesienie w dzisiejszym życiu. Poza tym bezkompromisowa postawa Ziei rzeczywiście wywoływała konflikty i z hierarchami, i z wiernymi. Do tego jeszcze wymyśliliśmy antybohatera, czyli oficera SB, który wzywa Zieję na przesłuchanie, próbuje go podejść, przeciągnąć na swoją stronę. Mamy tu słowną rozgrywkę, a jednocześnie to spotkanie stanowi podstawę narracyjną, z której zaczynamy wędrować retrospekcjami w przeszłość księdza, by tam znaleźć różne aspekty jego działalności.

W czasie tych wędrówek widz zderza się np. z sytuacją, gdy jako młody kapelan, przebywając w obozie jenieckim, godzi się spowiadać niemieckich żołnierzy i odprawiać dla nich msze.

To autentyczna historia, podjął taką decyzję, bo uważał, że wszyscy, także wrogowie, potrzebują Boga i zbawienia, że posługa jest jego obowiązkiem. Oczywiście takie działanie spotkało się z bardzo nieprzychylną reakcją ze strony współwięźniów.

W czasie wojny – wydaje się – nie ma innych rozstrzygnięć: „Jeśli ja nie zabiję, zabiją mnie", a pan pokazuje, jak w okopach staje naprzeciw siebie dwóch chłopców we wrogich mundurach...

Przywołujemy przy okazji tej sceny kazanie wygłoszone w czasie wojny polsko-bolszewickiej (na której młody Zieja znalazł się jako ochotnik; służąc jako kapelan w Legionach). Mówi w nim: „Nie zabijaj nigdy i nikogo, bo piąte przykazanie mówi: nie zabijaj!". Wygłasza to w czasie, kiedy oni nas atakują i jeśli nie będziemy się bronić, zostaniemy zgładzeni. W okopach staje przed tobą wróg... tylko czy wróg znaczy więcej niż człowiek? To bardzo mocna scena. Do trudnej dyskusji.

Tak jak kwestia przebaczenia, która pojawia się w rozmowie ks. Ziei z młodymi matkami – ofiarami brutalnych wojennych gwałtów?

Z pewnością nie jest to łatwe, a jednak według Ziei wrogom, czyli tym, którzy świadomie wyrządzili nam zło, trzeba przebaczyć. Dla przyszłego życia.

Prowadząc rekolekcje dla biskupów, bohater zmusza dostojników, by padli na kolana...

A jeszcze wcześniej mówi, że prawda jest najważniejsza; prawdę należy postawić ponad siebie, swoje przyzwyczajenia i... ponad Kościół. To wzbudza zaniepokojenie, a nawet niechęć biskupów, co nie przeszkadza Ziei wzywać hierarchów do pokory.

Niemal święty człowiek, a tak potrafił zburzyć święty spokój?

Dlatego zdecydowałem się o nim opowiedzieć. Bywał ortodoksyjny w poglądach, ale też niezłomny. Za takim bohaterem się podąża, nawet jeśli czasem trudno się z nim zgodzić.

Gdy zaproponowano panu nakręcenie filmu, co wiedział pan o ks. Ziei?

To, że był kapelanem Szarych Szeregów i że to on w czasie tajnego pogrzebu „Rudego" na Powązkach wygłosił słynne zdanie: „Śmierci nie ma". Pamiętałem też – z innego kontekstu – że jak czytałem w latach 70. ulotki Komitetu Obrony Robotników, jego nazwisko pojawiało się obok innych znanych współzałożycieli KOR.

Fot. 2 x Marcin Makowski

eprasa.pl 33776eaff3

Przypomnijmy je, bo to ciekawe zestawienie.

Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Jan Józef Lipski, Jacek Kuroń, Stanisław Barańczak... Byli w tym gronie też – choć zaraz odezwą się ortodoksi, że dołączyli później, ale mówimy o przestrzeni kilku lat – Henryk Wujec, Adam Michnik. To była grupa złożona z bardzo mocnych, często kontrastujących osobowości o bardzo różnych poglądach. Nie ma co ukrywać, oni się tam spierali, chociaż istniała między nimi zażyłość, o której dziś nie chcą pamiętać. Ale była też ciągła konfrontacja. To, że nie pozabijali się w czasie dyskusji i sporów, że KOR się nie rozleciał po miesiącu od powstania, jest zasługą ks. Ziei. Miał wielką zdolność mediacyjną. Potrafił ich uspokoić, skierować uwagę na inne sprawy. Umiał utrzymać w tej grupie emocjonalny i merytoryczny balans. Taka opinia pojawia się we wspomnieniach różnych KOR-owców.

Dziś ktoś taki bardzo by się przydał?

Właśnie. W obecnych czasach ktoś, kto potrafiłby uspokoić zapalczywości wybuchające naokoło, byłby niezmiernie cenny...

Jeśli jednak pani pozwoli, wróciłbym jeszcze do Szarych Szeregów i bohaterów „Kamieni na szaniec" [Robert Gliński wyreżyserował w 2014 r. film na podstawie powieści Aleksandra Kamińskiego – przyp. red.]. „Rudy", „Zośka", „Alek"... Ostatni z nich był tym, który niósł przesłanie ks. Ziei. Powtarzał: „Piąte przykazanie – nie zabijaj". I „Alek" nie strzelał. W akcji pod Arsenałem, gdzie odbijano „Rudego", nie miał pistoletu. I nie był w tym sam. W Szarych Szeregach była grupa chłopaków, którzy uważali – jak Zieja – że nawet w czasie wojny, okupacji piąte przykazanie jest fundamentalne.

Postać Jana Ziei na przestrzeni kilkudziesięciu lat, bo od wojny 1920 r. po lata 70., pomogła panu przybliżyć trzech aktorów. Czym kierował się pan w ich doborze i jakie znaczenie miał tu film „Prymas. Trzy lata z tysiąca"?

Kiedy zdecydowałem się na Andrzeja Seweryna, pamiętałem, że grał prymasa Wyszyńskiego, ale nie to zadecydowało. Chodziło mi o kogoś, kto ma wewnętrzną siłę, jest bardzo oszczędny w ekspresji, spokojny, reprezentuje typ aktorstwa skupionego, ściągniętego do środka. Niemal nie gra, po prostu jest, jednocześnie emanuje wewnętrzną siłą. Komuś takiemu trzeba było dać silny kontrast i tu idealny okazał się Zbyszek Zamachowski, który jest aktorem „gęstym", ekspresyjnym, można powiedzieć barokowym w doborze środków wyrazu. Zderzenie tych dwóch technik grania i dwóch osobowości aktorskich powoduje, że ich pojedynek – bo w rozmowach jeden drugiego próbuje przechytrzyć, podejść, przekonać do swoich racji – jest pełen dramaturgii i autentycznego napięcia.

Nie byłoby pełnego obrazu Jana Ziei bez najmłodszego z tej trójki.

Mateusza Więcławka. Spokojny, wewnętrznie „ściągnięty" i oszczędny w ekspresji, dobrze się „rymuje" z Andrzejem Sewerynem.

Wrócił pan do niego jako reżyser.

Grał w skromnym filmie „Czuwaj", o harcerzach, który zrobiłem dwa lata temu, ale pojawił się też w epizodzie „Kamieni na szaniec" (kończył wtedy chyba szkołę średnią). To była scena, w której niemiecki żołnierz zabija „Zośkę", bohatera filmu. Jeden młody chłopak po jednej stronie, drugi młody chłopak po drugiej. Mierzą do siebie z pistoletów, patrzą sobie w oczy. Strzelić znaczy zabić... I naprzeciwko „Zośki" stanął wówczas Mateusz Więcławek (grał tego niemieckiego żołnierza). Wtedy na planie zabił. Teraz zagrał młodego ks. Zieję.

Dzięki aktorom, na których pan postawił, nazwisko – jak powiedzieliśmy na początku – kojarzone przez niewielu ma szansę stać się mocnym, wypełnionym treścią tytułem. Oby ta moc przyciągnęła widzów.

Tego sobie życzmy, bo Zieja to bohater na potrzeby i miarę dzisiejszych dysharmonijnych czasów.

Pana film jest koprodukcją TVP, która chwilę wcześniej wprowadziła do kin inny tytuł. „Zenek" pojawił się w czas karnawału, „Zieja" to propozycja na czas postu? Wstęp do narodowych rekolekcji?

Bardzo mi się taka interpretacja podoba. Tak mogłoby być. Z korzyścią dla nas wszystkich. Żeby jednak pokazać, jak świat bywa absurdalny i jakie potrafi przynieść niespodzianki, przypomnę, że ja też zrobiłem fabułę o disco polo. W 1997 r. Miała tytuł „Kochaj i rób, co chcesz". Była odpowiedzią na pierwszy wybuch fascynacji tą muzyką, pastiszem na obyczajowe tło towarzyszące temu zjawisku. Kiedy niedawno pokazywałem ten film swoim studentom, bardzo ich pociągnął obrazem, wtedy bardzo odległego obyczaju.

Dziś przypomina pan postać ks. Ziei. Jakie przesłanie niesie film o nim?

„Prawda nas wyzwoli". To przyszło mi na myśl od razu. I choć ta kwestia wydaje się oczywista w kontekście ks. Ziei, myślę, że warto ją przywoływać, bo często właśnie o oczywistościach zapominamy.

Nazywany był „świadkiem wieku, rozkochanym w naśladowaniu Chrystusa". On sam mówi o sobie, o swoim podejściu do Boga, świata i drugiego człowieka w rozmowach spisanych przez Jacka Moskwę i zamieszczonych we wznowionym właśnie przez wydawnictwo Znak tomie **„Jan Zieja. Życie Ewangelią"**, poszerzonym o wstęp ks. Jana Andrzeja Kłoczowskiego i posłowie prof. Andrzeja Friszkego, a także niepublikowane dotąd materiały pochodzące z archiwum Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi w Laskach: zdjęcia ks. Ziei i list stanowiący rodzaj duchowego manifestu kapłana.

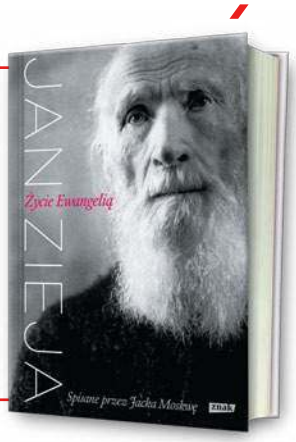

eprasa.pl 33776eaff3

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Smutek w oczach rockmana

Tak się złożyło, że niemal dzień po dniu obejrzałem dwa filmy, które nie mogą się ze sobą nie kojarzyć. Najpierw „Bohemian Rhapsody" Bryana Singera tuż przed galą oscarową 2020 (na zeszłej dostał aż trzy Oscary, w tym dla najlepszego aktora Ramiego Maleka). I zaraz potem „Rocketmana" Dextera Fletchera, który na tegorocznej gali dostał ledwie jednego, za najlepszą piosenkę.

Pierwszy z filmów jest o zespole Queen, szczególnie o jego liderze Freddiem Mercurym. Drugi o Eltonie Johnie. Oba opowiadają więc o muzykach z pogranicza rocka i popu. I Mercury, i Elton John to geje, przez lata ukrywający seksualną odmienność.

Zbitkę zawdzięczam Canal+. Kiedy napisałem na Facebooku, że „Bohemian Rhapsody" mnie wzruszyła, znawcy dalejże mnie pouczać. Że to film niepełny, bo nie potraktował życia Mercury'ego bardziej wnikliwie. I że przeciwieństwem jest filmowa opowiastka o Eltonie Johnie, bardziej szczera. Porównawszy, nie mam tego wrażenia.

Przecież w „Rocketmanie" unika się pokazania partnerów piosenkarza poza antypatycznym Johnem Reedem. Owszem szerzej potraktowano nałogi Eltona Johna, uzależnienie od narkotyków i alkoholu, ale tylko po to, aby doprowadzić go do kuracji i zapewnić, że następne ponad 20 lat był już czysty, więc wszelkie problemy zniknęły. Istotnie upadki Mercury'ego są zrelacjonowane jakby dyskretniej. Ale czy musimy epatować życiem zmarłych ludzi, czy musimy wszystko pokazać dosłownie, aby rozumieć i wiedzieć?

„Bohemian Rhapsody" wydała mi się zrazu produkcyjniakiem o początkach każdej kapeli. A potem mnie wciągnęła. Była zresztą ciekawym przyczynkiem do obserwacji, jak zmieniły się czasy. Choć Mercury – opieram się na filmie – wojował z kolegami z zespołu także z zawodowych przyczyn, jego homoseksualizm i idąca za tym ekscentryczność budowały między nimi w latach 70. barierę. Dziś pewnie reakcje byłyby inne. Ale czy problem samotności by zniknął?

Dostaliśmy portret człowieka pełnego rozterek, długo wahającego się między miłością do dziewczyny i tym, co w nim wygrało. Malek zagrał to ujmująco i słusznie dostał Oscara. U Eltona nacisk kładzie się na odreagowanie nieszczęśliwego dzieciństwa. Taron Egerton gra dobrze, ale poruszył mnie mniej. Możliwe, że powodem moich odruchów jest także muzyka. Wolę Queen.

Nie oceniam wyborów obu artystów. Nie wiem nawet, na ile wybór mieli. Niemniej szczerość filmu o Eltonie jest pozorna. Doprowadza nas się do momentu odzyskania przez niego równowagi, a następne lata życia kwituje informacją o jego szczęśliwym gejowskim małżeństwie z adoptowanymi dziećmi. To co potem nie było już żadnych rozterek? Dylematów?

Lata wcześniejsze zdawały się potwierdzać słuszność uwagi jego matki, że ta skłonność nie gwarantuje szczęśliwej miłości. Może to prawda, może nie. Ale finał robi wrażenie czegoś na siłę uładzonego, by nie rzec propagandowego. Mamy inne czasy, przełom w prawie, w obyczajach. Koniec kłopotów!

Mercury zmarł w roku 1991. Zresztą na AIDS, co jest przyczynkiem do problemów gejowskiej mniejszości. Konkluzja filmu o nim jest niby podobna: w ostatnich latach życia znalazł spokój w gejowskim związku. Ale dotyczy to dużo krótszego okresu, no i nie jest punktem wyjścia do tezy niemal politycznej. Ja skądinąd nie jestem przekonany, czy wszystko było u niego na końcu drogi OK. Ale czy chciałbym to drążyć? Skoro powtarzam: zaglądanie nawet zmarłym do sypialni powinno mieć granice.

Piotr Zaremba

6eaff3

Ze smutków frajda

Przemysław Skrzydelski

Mniej ostatnio u Mariusza Grzegorzka psychodramy, więcej za to absurdalnego humoru i czystej radości z robienia teatru z młodymi ludźmi.

Chyba nie ma nic dziwnego w tym, że twórca musi czasem przekłuć balon własnej konwencji, własnych strategii i upodobań. Mariusz Grzegorzek przez lata był znany z wystawiania w łódzkim Teatrze Jaracza psychodram. Nie chodzi nawet o to, że nie było w nich miejsca na jaśniejsze barwy, nawet ironię, ale chyba przede wszystkim o to, że za każdym razem wymagały one ogromnego wysiłku w budowaniu scenicznych konstrukcji. Przynajmniej w moim postrzeganiu Grzegorzek był zawsze mistrzem precyzji, jego spektakle stanowiły domkniętą całość z idealnie rozpisaną dramaturgią i charakterystycznym dla tego reżysera wewnętrznym pulsem, który prowadził widzów przez kolejne punkty zwrotne opowieści. Pamiętam moment premiery „Posprzątanego" Sarah Ruhl (2012), przedstawienia, które do dziś wspominam jako opus magnum Grzegorzka.

Ostatnio jednak u Grzegorzka trochę się zmieniło, jest inaczej, lecz także niezwykle ciekawie. „Dzieci widzą duchy" to właściwie trzecia część tryptyku, który reżyser przygotowywał jako studenckie dyplomy o specjalnej randze. Widać bowiem, że dla Grzegorzka mają one wyjątkowe znaczenie, zapewne gdyby tylko było to możliwe, eksploatowano by je jeszcze w kolejnych sezonach, tym bardziej że odniosły sukcesy na festiwalach. Tytuł „Dzieci widzą duchy" wchodzi już z kolei do stałego repertuaru Jaracza, być może również z powodu istotnych tematów, które Grzegorzek rozkłada na czynniki pierwsze w luźniejszej formie. Właściwie to seria w różny sposób granych etiud, mniej lub bardziej improwizowanych fragmentów, w których buzuje konflikt pokoleniowy między rodzicami a dziećmi, między rówieśnikami i między światem w percepcji dorosłych a rzeczywistością dzisiejszej młodzieży – sparaliżowanej przez niezrozumiałą codzienność i błyskotki technologii. Jest w tym wyczuwalna chęć powrotu do uroków dzieciństwa, lecz i do najprościej prowadzonych dialogów, które zawsze mają moc ocalania. A lęki trzeba najzwyczajniej wyśmiewać, absurd przepędzając absurdem, kicz życiowych sytuacji zaś zabijając kiczem baśni na dobranoc. Tak teatr przed zmrokiem obłaskawia męczarnie i starych, i młodych. W każdym razie po tej premierze gratulacje należą się zwłaszcza młodym aktorom.

„Dzieci widzą duchy"
reż. Mariusz Grzegorzek
Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi
(Duża scena)
premiera: 22 lutego 2020 r.

Boski instrument

Adam Ciesielski

Trudno nie zakochać się w brzmieniu violi da gamba, gdy gra na niej Jordi Savall. Ale i w Polsce mamy wirtuoza tego dawnego instrumentu, najbardziej ponoć zbliżonego do ideału głosu ludzkiego. To Krzysztof Firlus, kontrabasista związany z wieloma orkiestrami.

Miałem przyjemność słuchać go w składzie {oh!} Orkiestry Historycznej w Warszawie i w Moskwie. Bogactwo jego talentu przybliża album „Gamba sonatas" nagrany wraz z żoną Anną, cenioną klawesynistką i organistką. Artyści zestawiają twórczość dwóch muzycznych rodów XVIII w.: Bachów (reprezentowanych tu przez Jana Sebastiana i Carla Philippa Emanuela) oraz niemal zapomnianych Podbielskich (Christiana i jego bratanka Christiana Wilhelma), działających w Królewcu twórców pruskich polskiego pochodzenia. Nie ma tu zwycięzców i pokonanych. Interpretacje wyczarowują zróżnicowane klimaty czterech kompozytorów z zamiłowaniem piszących na violę da gamba – instrument, który miał już niebawem wyjść z mody, by powrócić dopiero w połowie XX w. na fali zainteresowania wykonawstwem historycznym.

Kunszt Krzysztofa i Anny Firlusów, już w trio Extempore tworzonym ze skrzypaczką Małgorzatą Malke, możemy również podziwiać na płycie „Telemann. Solos & trios". Wydawnictwo firmuje Muzeum Zamkowe w Pszczynie regularnie organizujące imprezy upamiętniające twórczość Georga P. Telemanna. Mistrz późnego baroku był kapelmistrzem właściciela Pszczyny, Erdmanna II Promnitza, odwiedzał Kraków i inspirował się polską muzyką.

Anna Firlus, Krzysztof Firlus, „Gamba sonatas", wyd. DUX,
Trio Extempore, „Telemann. Solos & trios", wyd. DUX

eprasa.pl 33776eaff3

„Więcej niż bank" – nowa strategia Alior Banku

Zarząd Alior Banku przyjął strategię na lata 2020–2022. Połączenie nowoczesnych oddziałów z funkcjami banku cyfrowego spowoduje, że Alior będzie „więcej niż bankiem". Celem jest przede wszystkim ułatwianie życia klientom w różnych sferach życia. Dzięki wykorzystaniu nowoczesnych technologii oraz dotychczasowych doświadczeń Alior Bank, należący do grupy kapitałowej PZU, po raz kolejny chce wyznaczać trendy w branży bankowej

Nowo przyjęta strategia jest planem rozwoju dla banku nowej generacji. Chcemy otaczać klienta wsparciem i udostępniać mu usługi daleko wychodzące poza świat finansów. Zakładamy rozbudowę aplikacji mobilnej, rozszerzenie oferty o produkty pozabankowe oraz wdrażanie narzędzi i wykorzystanie technologii, które poprawiają doświadczenia klientów i wzmacniają relację z nimi – mówi Krzysztof Bachta, prezes zarządu Alior Banku.

EKOSYSTEMY USŁUG

Bank chce rozbudować wachlarz usług pozabankowych w aplikacji Alior Mobile, z których klient będzie mógł wygodnie korzystać w dowolnym momencie. Aplikacja ma towarzyszyć klientowi w codziennym życiu, nie tylko w sprawach finansowych. Dzięki niej kupi bilet komunikacji miejskiej, bilet do kina, ubezpieczy mieszkanie, zapłaci za paliwo lub przejazd autostradą. Docelowo z aplikacji ma korzystać aż 1,5 mln klientów.

Równie ważne w kontekście rozwoju usług są projekty rozwijane z uznanymi partnerami zewnętrznymi, w tym w ramach strategicznej współpracy z Grupą PZU, m.in. w obszarze ubezpieczeń czy opieki zdrowotnej. Wzrost sprzedaży ubezpieczeń ochronnych PZU przez Alior Bank wyniósł w minionym roku 80 proc. w porównaniu z 2018 r. W najbliższych miesiącach w ramach partnerstwa intensywnie rozwijana będzie wspólna inicjatywa banku i ubezpieczyciela – platforma internetowa Cash. Za jej pośrednictwem pracownicy firm mogą mieć szybki dostęp do tanich i bezpiecznych pożyczek gotówkowych.

– Jesteśmy częścią największej grupy finansowej w tej części Europy. Dzięki tej współpracy jesteśmy w stanie wzmacniać pozycję Aliora jako banku z szerokimi możliwościami, w którym dodatkowe usługi stają się integralną częścią produktów bankowych – zauważa prezes Krzysztof Bachta.

EFEKTY STRATEGII W KLUCZOWYCH WSKAŹNIKACH

Strategia zakłada ambitne wyniki biznesowe i finansowe. Bank planuje osiągnięcie wzrostu aktywów do 95 mld zł. Na koniec 2022 r. Alior Bank chce zwiększyć liczbę klientów indywidualnych do 4,5 mln, a klientów biznesowych do 300 tys. Celem jest również zwiększenie rentowności – na koniec 2022 r. wskaźnik ROE ma wynieść powyżej 10 proc., marża odsetkowa NIM 4,6 proc., wskaźnik kosztów do dochodów (C/I) 41 proc., a koszt finansowania (CoF) poniżej 1 proc. Do 2022 r. bank planuje utrzymanie nadwyżki współczynnika kapitałowego TIER1 na poziomie co najmniej 125 p.b. na koniec każdego roku. Zakładany koszt ryzyka (CoR) za trzy lata jest niższy od wyniku z 2019 r. o 0,6 proc. i wynosi 1,8 proc.

WIĘCEJ NIŻ JAKOŚĆ OBSŁUGI

Wszystkie działania mające na celu rozwój produktów, technologii i organizacji będą się skupiały na osiąganiu zadowolenia klientów i wzmacnianiu relacji z nimi. Dzięki doskonaleniu procesów i inwestycjom w sieć nowoczesnych oddziałów bank chce zapewniać spersonalizowane oraz spójne doświadczenie we wszystkich kanałach i proponowanych produktach. Umożliwi to również większą samodzielność działań samego klienta. Bankierzy mają pełnić funkcję doradców, aby oferować klientom jeszcze więcej wsparcia przy decyzjach finansowych. Ich kompetencje branżowe sprawią, że Alior stanie się partnerem dla przedsiębiorców.

TECHNOLOGICZNY LIDER

Strategia w znaczącym stopniu opiera się na silnych kompetencjach zespołu IT. Dzięki nim Alior Bank może zwinnie integrować nowe funkcje. Już dziś w organizacji działa 100 robotów. Dalsza automatyzacja ma objąć niemal jedną trzecią procesów. Wykorzystanie sztucznej inteligencji sprawi, że nawet 30 proc. rozmów z klientami będzie się odbywać za pośrednictwem chatbotów, a 60 proc. z udziałem voicebotów. Dzięki automatyzacji obsługi klienta bank obniży koszty i zwiększy efektywność.

Materiał powstał przy współpracy z: Alior Bank SA | 6/0320/F

eprasa.pl 33776eaff3

Wojciech Stanisławski

Imię Natan, imię Dawid

Ta książka, wydana na cienkim i mocnym, niemal biblijnym papierze, wydaje się mieć chwilami kartki z poszarpanej blachy

Jeszcze miesiąc do czasu kwitnienia żonkili w Warszawie. Ale nie warto czekać do rocznic, żeby odnotować tę jedyną w swoim rodzaju książkę i wspaniałą decyzję Ossolineum, by wydać ją w najbardziej prestiżowej z serii: „Serii I Biblioteki Narodowej", w której od 1919 r. (to najstarszy tego typu zbiór wydawniczy w Europie!) wydawane są, jak głosiła ówczesna deklaracja, „wzorcowe wydania arcydzieł literatury polskiej i obcej". W „Serii I" pierwsze ukazały się w 1919 r. „Treny" Kochanowskiego. Minęło sto lat – i jako tom 334. ukazuje się inny tren: „Archiwum Ringelbluma" (jako 335. tom depcze mu po piętach antologia poezji Żagarów, o której więcej w kolejnym numerze – i w tej aliteracji, i w tej rozpiętości perspektyw widać najlepiej wielkość „Serii I BN").

Napisawszy z pewną emfazą powyższe zdania, chce się postawić kropkę – bo „Archiwum Ringelbluma" jest jednym z tych tekstów, które trudno komentować wyważonymi zdaniami czytelnika literatury czy monografii historycznych. Ta książka, wydana jak wszystkie tomy BN-ki, na cienkim i mocnym, niemal biblijnym papierze, wydaje się mieć chwilami kartki z poszarpanej blachy – przy każdym dotknięciu kaleczą palce i słychać łoskot, czasem grom. A kilka stron dalej takie same kartki stają się jakby wytłumione, jak młotki pianina, warstwą filcu wymuszającą ciszę. Wypada – jeśli ma się napisać cokolwiek – zacząć, mrówczym tropem, od noty przypominającej, czym było archiwum.

Dokumentowanie losu Żydów w okupowanej przez Niemców i Sowietów Polsce Emanuel Ringelblum, doktor UW, rozpoczął już w październiku 1939 r. Należał do pierwszego pokolenia historyków, którzy tak szeroko rozumieli pojęcie „źródeł" – słusznie zaliczając do nich nie tylko kroniki, traktaty czy listy, lecz także dokumenty życia społecznego. Spośród literatów, nauczycieli i naukowców powołał kilkudziesięcioosobową, zakonspirowaną grupę, funkcjonującą pod kryptonimem Oneg Szabad, przez ponad dwa i pół roku dokumentującą życie warszawskiego getta. Wśród 28 tys. ocalałych kartek znalazły się dokumenty Judenratu, relacje, wiersze, plakaty, zachowana i znaleziona korespondencja, bilety, dzienniki, szkice. Oneg Szabad prowadził badania ankietowe, gromadził relacje przybyszów z innych gett, uciekinierów z pierwszych transportów śmierci. W sierpniu 1942 r. w piwnicach budynku przy ulicy Nowolipki ukryto pierwszych 10 ocynkowanych skrzyń wypełnionych dokumentami; w lutym 1943 umieszczono tam drugą część zbiorów, ukrytą w blaszanych bańkach na mleko.

Już taka postna nota wystarczyłaby, żeby zrozumieć znaczenie historyczne i kulturowe archiwum oraz wysiłek i odwagę stojące za jego powstaniem. Ale ten zapis ginącego świata, od lat publikowany drukiem (ukazało się jako dotąd 37 tomów), jest przecież czymś bezmiernie większym właśnie dlatego, że jest zapisem ostatnim. To głosy ludzi w ogromnej większości świadomych nadchodzącej śmierci i jej charakteru, jak i tego, że nie będzie to śmierć jednostkowa. Z tej perspektywy dokonywali najbardziej elementarnego zapisu – świadectwa swojego istnienia, skierowanego do innych: nie tyle nawet potomków, ile następców, sąsiadów, przybyszów. Szczęśliwców – bo przecież to, że archiwum (do dziś trwają spory, czy jest to część, czy całość) odnaleziono za sprawą dwóch osób ocalałych z zespołu Oneg Szabad w morzu ruin getta, wcale nie musiało się zdarzyć. Ludzie od zawsze przywiązywali szczególną wagę do „słów ostatnich": spisywanych w testamentach, wypowiadanych na łożu śmierci, podczas Męki czy na szafocie. Tu mamy do czynienia z chórem tych głosów – zapisanym w trzech językach dawnej Rzeczypospolitej (polskim, hebrajskim i jidysz) i dziesiątkami tonów.

Wydobyciu tego wielogłosu służy też wybór dokonany na potrzeby serii BN. Stanowi niespełna 30 część „Archiwum" i, jak podkreślają jego autorzy, nie jest reprezentatywny (nie ma w nim praktycznie prasy getta, legalnej czy konspiracyjnej, ani druków urzędowych), nie służy też rekonstrukcji opisanych już przecież nieźle przez badaczy dziejów getta. Rozpiętość tych głosów jest uderzająca: od prowadzonych skrupulatnie dzienników (nieraz na zawsze już anonimowych, odnalezionych w opuszczonych po wywózce mieszkaniach) po dziennikarskie eseje. Od spisanych przez świadka przyśpiewek żebrzących dzieci – po relację „przy-

eprasa.pl 33776eaff3

musowego grabarza" przywołującego godzina po godzinie sceny zabijania w „ruchomych komorach gazowych" Cyganów z łódzkiego getta oraz Żydów z Kłodawy, Chełmna i Izbicy. Wiersze i listy, opowiadanie i anonimowa modlitwa – aż po kartki wyrzucane przez mieszkańców Płońska z wagonów w drodze do Auschwitz, podniesione przez jakiegoś Polaka na stacji Warszawa-Praga lub Częstochowa i wysłane do żyjących jeszcze adresatów. Nie ma większej kondensacji niż w tych zdaniach: „16/XII 42. Jest rano. Jesteśmy w wagonie z całą rodziną. Wyjeżdżamy z ostatnią turą. Płońsk jest oczyszczony. Proszę wejść do Bamów, Niska 6 i im oddać ukłony. Wasz Dawid". Nie ma też większego milczenia.

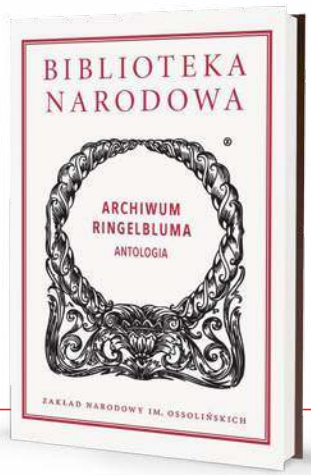

„Archiwum Ringelbluma. Antologia", red. Marta Janczewska, Jacek Leociak, Ossolineum, Wrocław 2019

Lektura „Archiwum Ringelbluma" uświadamia też, jak daremna jest ogromna większość literatury, której autorzy usiłowali już po wojnie opisać Zagładę, jak żenujące są próby włączenia jej w obręb popkultury poprzez dodanie wątków romansowych, sensacyjnych czy ezoterycznych. A przecież dzieje się tak coraz częściej, proszę wpisać w oknie wyszukiwania księgarni internetowej hasło „Auschwitz". Tymczasem, kto chce usłyszeć tamte głosy, powinien czytać kartkę Dawida z Płońska – i, czasem, kilka wersów wiersza, w którym udało się przekazać cokolwiek z tamtego wagonu. „Imię Natan bije pięścią o ścianę/ imię Izaak śpiewa obłąkane,/ imię Sara wody woła dla imienia/ Aaron, które umiera z pragnienia".

Czasem oćwiczyć, czasem podziwiać

Potrzeba dziś odwagi, żeby pisać powieści biograficzne. Czy utracono zaufanie do edukacyjnej funkcji literatury, czy zatriumfował dystans do wychowawczej funkcji różnych „żywotów"? A może winna jest sprawność historyków, którzy tworzą biografie wartko napisane, a jednocześnie mocno, na każdej stronie, osadzone w źródłach? Może potrzeba konkretu, słyszalna w deklaracjach wielu czytelników, przedkładających nad fikcję literaturę faktu? Dość, że łatwiej dziś na półkach o typowe powieści historyczne oferujące panoramę dziejów, traktujące o odległej (i przez to mniej drażliwej) przeszłości, czasem osuwające się w stronę sensacji, batalistyki czy fantasy niż o silnie zbeletryzowane la vie romancée, sumiennie prowadzące czytelnika od narodzin do śmierci bohatera.

Wacław Holewiński jednak zaryzykował – i powieść „Oraz wygnani zostali", mimo niełatwego tytułu oraz złamania linearnej narracji (czytamy sceny z poszczególnych, pozamienianych miejscami lat, jakby cała talia życia bohatera uległa przetasowaniu lub rozsypce), okazuje się intrygującym przedstawieniem postaci kolekcjonera sztuki, ziemianina i aroganta: Ignacego Korwin-Milewskiego.

Dotąd kojarzyli go przede wszystkim historycy konserwatyzmu na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego na przełomie XIX i XX w.: obaj bracia Korwin-Milewscy, zarówno Ignacy, jak i szerzej znany Hipolit, byli czynni publicznie, idąc czasem na bardzo daleko posunięte kompromisy z caratem. To jednak, co u Hipolita dyktowane być mogło pragnieniem „ocalenia substancji", u sportretowanego przez Holewińskiego starszego brata zdaje się raczej skutkiem bardzo pańskiej mieszanki pychy, mizantropii i przekory: to ona dyktowała mu ton wydawanych w Petersburgu pamfletów, skierowanych przeciw polskim konspiratorom i buntowszczykom.

Wacław Holewiński, „Oraz wygnani zostali", PIW, 2020

Przekora wszystkiego jednak nie wyjaśnia, Ignacy pod piórem Holewińskiego okazuje się kimś wyjątkowo złożonym psychologicznie: gniew, zachwyt, przebiegłość, pycha, ale i skrywane poczucie porażki rządzą na przemian tym szlachcicem, który w Europie fin de siècle inwestuje, romansuje i procesuje się na potęgę, a jeśli czasem porzuca na chwilę fumy, to chyba tylko u wejścia do pracowni jednego z polskich „monachijczyków". Rozpoznał ich i docenił jako pierwszy, choć i wobec nich potrafił być chimeryczny.

Autor „Wygnanych..." potrafił rozegrać te sprzeczności i szczęśliwie nie postawić kropki nad i. Tak łatwo byłoby, szczególnie na fali dzisiejszych resentymentów kresowych, o powieść ckliwie odmalowującą ziemianina, ofiarę wojny, temperamentu i rewolucji! Zamiast tego otrzymaliśmy szkice do portretu osoby nietuzinkowej, silnej, niesympatycznej i przez to frapującej. Holewiński – rzadka to cnota – nie wybiela ani nie cukruje swojego bohatera: pozwala nam zastanowić się, jak splotły się w jednym człowieku hybris, brutalność i zdolność do zachwytu.

eprasa.pl 33776eaff3

Adamski

Magia starej telewizji

Kino

Szkoda, że Tom Hanks nie zgarnął za tę rolę Oscara. Przegrał w kategorii aktor drugoplanowy z Bradem Pittem za „Pewnego razu w Hollywood". Chciałbym zobaczyć na scenie Hanksa z przesłaniem godnym Freda Rogersa. Brakuje w dzisiejszych mediach takich ludzi jak on. Brakuje ich dobroci, przyzwoitości i przekazu opartego na miłości płynącej z Ewangelii.

„Cóż za piękny dzień" Marielle Heller nie jest typowym biograficznym filmem, który by kartkował życie Rogersa. Już samo to, że Rogers jest tutaj drugoplanową postacią, pokazuje, jak specyficzna to biografia. Film jest luźno oparty na artykule Toma Junoda z „Esquire", który przyznaje, że kontakt z Rogersem zmienił jego życie. U Heller główną postacią jest dziennikarz Lloyd Vogel (Matthew Rhys), który w 1998 r. dostaje zlecenie napisania 400 słów o ikonie telewizyjnych programów dla dzieci Fredzie Rogersie. Vogel nie ufa ludziom i uważa, że wszyscy są cynikami. Łącznie z ukochanym przez miliony widzów Rogersem, który jego zdaniem tylko gra przed telewidzami.

Lloyd ma pokiereszowane relacje z ojcem (Chris Cooper), który pojawia się w jego życiu po latach w momencie, gdy sam zostaje młodym ojcem. Zatapia się w pracy, nie widząc, że cierpi na tym jego żona (Susan Kelechi Watson). Przyjeżdża do Rogersa z zamiarem nie tylko przeprowadzenia z nim wywiadu, ale zerwania z niego maski. Role się odwracają, gdy to Rogers zaczyna penetrować duszę cynicznego dziennikarza.

Heller miała trudne zadanie. Musiała pokazać, dlaczego Amerykanie przez trzy dekady (1968–2001) śledzili program „Mister Rogers' Neighborhood" i naświetlić niezwykłą medialną charyzmę Rogersa. Dzięki zderzeniu Rogersa z wewnętrznie rozbitym żurnalistą, udało jej się wyciągnąć to, co było istotą działalności Freda – dobroć i szlachetność. Dobroć codzienną. Wypływającą z miłości do bliźniego i chęci zrozumienia go. Dwie symboliczne sceny oddają cały fenomen ikony amerykańskiej telewizji rodzinnej. W jednej pasażerowie metra poznają jadącego z nimi Freda i razem z nim śpiewają piosenkę z jego programu. W drugiej goście restauracji przyłączają się do medytacyjnego milczenia Mr. Rogersa.

W śpiewie i ciszy. W radości i zadumie. Amerykanie zawsze byli z Panem Rogersem. „Cóż za piękny dzień" nie jest biografią. To raczej przypowieść mająca nam oddać istotę fenomenu jego programów. Nie przez przypadek Hanks w jednej ze scen patrzy głęboko w oczy widzów. Hipnotyzuje nas łagodnością i otwartością. Heller nie przemilcza głębokiej wiary Rogersa w Boga, choć unika jej eksponowania. Rogers też dawał świadectwo bez nachalności kaznodziejskiej. Sygnalizuje też delikatnie jego specyficzny sposób na rozładowywanie złych emocji przy fortepianie. Robi to wszystko subtelnie, zapraszając widza do wejścia w świat ulubionego sąsiada Ameryki.

Rogers był człowiekiem orkiestrą. Muzyk, lalkarz umiejący zmieniać głosy, scenarzysta, producent i w końcu osobowość telewizyjna. Do tego pastor i zdeklarowany konserwatysta. Nie ograniczał się tylko do robienia show jak dzisiejsi telewizyjni celebryci. On przede wszystkim chciał wychowywać dzieci i je uczyć. Wraz ze swoimi maskotkami, w kapciach i sweterku, które zakładał na początku każdego programu, tłumaczył dzieciom ich językiem takie wydarzenia jak wojna w Wietnamie, zabójstwo Roberta Kennedy'ego i katastrofa promu kosmicznego Challenger. Gdy na południu USA biali sprzeciwiali się korzystaniu z basenów z Afroamerykanami, zaprosił do wspólnego moczenia nóg afroamerykańskiego aktora swojego programu, któremu wytarł ręcznikiem nogi. Gest jasny dla każdego chrześcijanina.

Nawoływał też rodziców, by chronili dzieci przed niebezpiecznymi dla nich treściami. „Jeżeli przeraża was jakiś obraz w telewizji i boicie się pokazywanej przemocy, po prostu wyłączcie odbiornik" – mówił. W filmie dokumentalnym o Rogersie „Won't you be my neighbor" Morgana Neville'a jeden ze współpracowników Rogersa mówi, że dziś nie ma miejsca dla miłych osób w telewizji. Ma rację. Dobrze więc, że Hollywood przypomniało sobie o tym symbolu mediów zamordowanych przez tabloidyzację i bazowanie wyłącznie na złych emocjach.

„CÓŻ ZA PIĘKNY DZIEŃ", REŻ. MARIELLE HELLER, DYSTR. UIP

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 33776eaff3

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Solidny thriller po włosku

Nieczęsto się zdarza, by stający za kamerą pisarze odnosili sukcesy. Próbował Michael Crichton (kilka filmów) i z fatalnym skutkiem Stephen King. Donato Carrisi po raz kolejny (jego poprzedni film to udany thriller „Dziewczyna we mgle") dowodzi, że jest gotowy, by robić dobre europejskie kino gatunkowe. Filmowa adaptacja jego własnej książki „W labiryncie" to kawał solidnego thrillera we włoskim klimacie.

Carrisi zrobił film według najlepszych prawideł gatunku. Jest mrok, tajemnica, demoniczny morderca (tutaj kłania się królik nie mniej potworny niż w „Donnie Darko") i twist akcji w finale godny wczesnego Davida Finchera. Widać zresztą, że włoski pisarz i reżyser mocno się kinem Amerykanina fascynuje. Jednocześnie buduje swój własny świat, który można odczytywać zarówno dosłownie, jak i metaforycznie. Wszystko w tym filmie jest labiryntem.

Przebywała w nim wiele lat Samantha (Valentina Bellè). Dziewczyna budzi się w szpitalnym łóżku, nie pamiętając, kto ani dlaczego ją porwał. Wie tylko, że brała udział w jakiejś przerażającej grze. Nie wiadomo, jak udało jej się uciec z labiryntu. Z labiryntu własnej pamięci ma ją wyprowadzić dr Green (Dustin Hoffman). Niezależnie od dr Greene'a sprawę porwanej chce rozwiązać prywatny detektyw Bruno Genko (Toni Servillo). Nie ma nic do stracenia. Ma nieuleczalną chorobę serca i lekarze dali mu kilka miesięcy życia. Jest już po deadlinie. Znalezienie porywacza dziewczyny ma być ostatnią misją detektywa.

Toni Servillo jest znany głównie z wybitnych ról u Paola Sorrentino. Nie tylko we wspaniałych dziełach, jak „Wielkie piękno" czy „Skutki miłości", ale również w rolach ikon włoskiej polityki jak Silvio Berlusconi („Oni") i Giulio Andreotti („Boski"). U Carrisiego tworzy nietuzinkowe obrazy „psów". W „Dziewczynie we mgle" był cynicznym manipulatorem. Tutaj jest stojącym nad grobem, sfrustrowanym i zapijaczonym detektywem, zajmującym się odzyskiwaniem długów. Chce cokolwiek po sobie zostawić.

Servillo i Hoffman mają tylko jedną wspólną scenę, więc dostajemy popis dwóch starych aktorskich wyg w ich własnych segmentach. Nie jest jednak tak, że Hoffman został obsadzony tylko po to, by sprzedać włoski film za granicami Italii. Ma tutaj co zagrać i naznacza opowieść swoją charyzmą. Jasne, że gra na autopilocie. Jasne, że nie wychodzi ponad wizerunek giganta, który zaszczycił swoją obecnością kino europejskie. Co jednak z tego, skoro każda jego scena daje czystą przyjemność?

Carrisi zgrabnie łączy przyziemną opowieść detektywistyczną z podróżą w głąb umysłu bohaterów. Widać u niego progres od czasu poprzedniego thrillera. Coraz pewniej czuje się za kamerą. Coraz mocniej intryguje i przykuwa do fotela. Możliwe, że wyrasta nam przyszły mistrz europejskiego thrillera. Kto wie, może nawet nasz Fincher?

„W LABIRYNCIE", REŻ. DONATO CARRISI, DYSTR. BEST FILM

Coś więcej niż film o polskim rapie

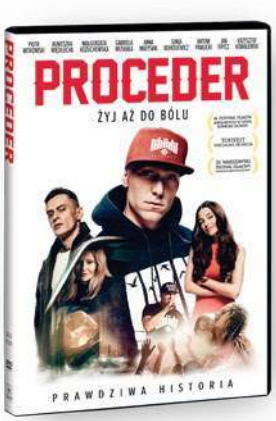

„Proceder" to dla mnie jedno z największych objawień zeszłego roku w polskim kinie. Bracia Węgrzynowie, którzy wyrośli z niezależnego kina, świetnie uchwycili istotę opowieści o polskim gangsta rapie, którego jednym z najważniejszych przedstawicieli był Tomasz Chada (1978–2018). Nie jest to tylko opowieść o chłopaku z ulicy, który wyrymował sobie miejsce na polskiej scenie hip-hopu i zginął w tajemniczych okolicznościach (oficjalnie było to samobójstwo). Oczywiście główną osią narracyjną jest życie warszawskiego rapera, jego burzliwe związki z kobietami, problemy emocjonalne, odsiadki w więzieniu i w końcu bardzo owocna kariera muzyczna. Jest to jednak również film ciekawie pokazujący problemy rodzącej się w bólach III RP, gdy dla wielu młodych ludzi z bloków alternatywą dla niskich zarobków albo emigracji była bandyterka na ulicach. Wątek społeczny jest naznaczony mocno ideologią. Scenarzyści z pozycji bardzo antyestablishmentowych i gospodarczo lewicowych dokopują liberalnym dogmatom ojców założycieli III RP. Wielkie brawa należą się młodemu i niegranemu w polskim kinie Piotrowi Witkowskiemu, który stworzył krwistą kreację aktorską. Surowe i uliczne kino!

„PROCEDER" REŻ. MICHAŁ WĘGRZYN, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 33776eaff3

Fot. Marek Karewicz/Archiwum rodzinne Natalii Kukulskiej

Ona sama była muzyką

Umiała pięknie śpiewać i pięknie żyć. W piosenkach opowiadała swoje życie. „Nic nie może wiecznie trwać" – to jej ostatni przebój. Miała dopiero 29 lat, była młodą mamą, uwielbianą wokalistką u szczytu sławy. Wydawało się, że wszystko dopiero przed nią, a świat zaprasza ją na wielką scenę. Odeszła nagle. Zginęła w katastrofie lotniczej 14 marca 1980 r.

LIDIA DUDKIEWICZ

Anna Maria Szmeterling (artystyczny pseudonim: Anna Jantar) od czwartego roku życia uczyła się grać na fortepianie. Pierwszy kontakt z tym instrumentem miała w przedszkolu muzycznym działającym przy Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu. Już wtedy wyróżniała się na tle utalentowanych muzycznie dzieci. Wspominała, jak zamykano ją w szafie i kazano zgadywać, co słyszy. Zawsze odpowiadała bezbłędnie, przekonując wszystkich, że ma słuch absolutny. Bardzo wcześnie odnosiła pierwsze sukcesy jako pianistka. Będąc uczennicą szkoły muzycznej, już koncertowała z Orkiestrą Filharmonii Poznańskiej. Można powiedzieć, że fortepian był kontynuacją rodzinnych tradycji, a szczególnie spełnieniem marzeń jej mamy Haliny Szmeterling, której edukacja muzyczna na tym instrumencie musiała zostać w dzieciństwie przerwana po skomplikowanym złamaniu ręki.

Po 15 latach pianistycznego kształcenia Anna postanowiła zamienić fortepian na mikrofon. Tłumaczyła, że ma zbyt drobne dłonie, co będzie przede wszystkim przeszkodą w zagraniu całego repertuaru Chopina, którego muzykę uwielbiała. Zaczęła się bardziej interesować teatrem i piosenką. Miała to jakoś we krwi, bo jej ojciec Józef wykazywał zdolności aktorskie i miał doskonałą dykcję. Świetnie sprawdzał się jako konferansjer. Anna była bardzo podobna do przystojnego ojca, bruneta z bujną czupryną i lwowskim zaśpiewem. Podobnie jak ojciec myślała o aktorstwie. I zrobiła pierwszy krok: w 1969 r. stanęła przed komisją egzaminacyjną Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, w której skład wchodzili m.in. Hanka Bielicka i Aleksander Bardini. Egzamin zdała pomyślnie, z piątą lokatą, ale zabrakło punktów, aby została przyjęta na studia. Nie miała bowiem pochodzenia robotniczo-chłopskiego, które dawało dodatkową premię. Mimo zachęty rektora PWST nie podjęła dalszych starań

eprasa.pl 33776eaff3

o przyjęcie na uczelnię. Poważnie zachorowała bowiem jej mama, przez jakiś czas była nawet w stanie krytycznym. 19-letnia Anna zrezygnowała więc ze swoich planów. Postanowiła się zająć mamą i wcześnie zaczęła zarabiać, aby dorzucić się do rodzinnego budżetu.

URODZIŁA SIĘ PO TO, ŻEBY ŚPIEWAĆ

Zdecydowała, że śpiew będzie jej życiową i zawodową drogą. Zresztą – jak mówił zaprzyjaźniony z nią kompozytor i piosenkarz Marian Zacharewicz – „urodziła się po to, żeby śpiewać". Swoje wokalne umiejętności prezentowała na festiwalach studenckich, w klubach studenckich i teatrach, do których wciągnął ją brat Roman – student polonistyki. Razem z nim zagłębiała się w poezję Przybyszewskiego, Leśmiana, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, a także Stachury i innych. Brat pisał wiersze, które też pochłaniała, były nawet tekstami do jej lirycznych piosenek, np. „Biały wiersz dla ciebie", „Godzina drogi" (autor podpisywał teksty jako Roman Surmacewicz).

Śpiewała w zespole Szafiry, założonym przez Piotra Kuźniaka, a potem została solistką zespołu Waganci, do którego zaprosił ją Jarosław Kukulski. Znana jest historia, kiedy – przed wyjazdem Anny z zespołem w jedną z pierwszych tras koncertowych – babcia Zofia odprowadzała wnuczkę do autobusu. Poprosiła wtedy sympatycznie wyglądającego Jarosława Kukulskiego, aby się nią zaopiekował. Młodzieniec potraktował tę prośbę bardzo osobiście i wkrótce został mężem Anny, a zarazem głównym kompozytorem przebojów, którymi podbijała sceny, i menedżerem. Był zachwycony niepowtarzalnym głosem i talentem wschodzącej gwiazdy estrady. Stwierdził, że „ona sama była muzyką". Z kolei zakochana Anna całą Polskę rozśpiewała żartobliwym przebojem „Co ja w tobie widziałam". Oczywiście, ten muzyczny hit miał odniesienie do jej osobistej sytuacji.

W 1972 r. uzyskała od Ministerstwa Kultury i Sztuki uprawnienia do wykonywania zawodu piosenkarki (takie czasy). Stała się jedną z największych gwiazd estrady lat 70. minionego wieku oraz ikoną stylu. Szczególnie pomyślny był dla niej rok 1975, gdy została uznana za piosenkarkę roku, najpopularniejszą polską wokalistkę. Na XVI Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie otrzymała drugą nagrodę jury za piosenkę „Staruszek świat", nagrodę publiczności, „Głosu Wybrzeża" i nagrodę za sopocki przebój „Tyle słońca w całym mieście". Bardzo wtedy wychudzona, wyglądała jednak zjawiskowo, śpiewając w długiej białej sukni. Zachwyciła sopocki amfiteatr i telewidzów. Dopiero później okazało się, że przed festiwalem kilka dni spędziła w szpitalu. Na scenę dotarła wprost z łóżka, bardzo osłabiona, a podczas występu za kulisami czuwał lekarz.

WYMODLONE MACIERZYŃSTWO

Spodziewała się wtedy dziecka, a jej organizm bardzo źle znosił ten stan. Mama Anny Jantar wspomniała, że po sopockim koncercie udała się z córką do lekarza. Usłyszała wtedy, że powinna usunąć dziecko, gdyż nie ma ono większych szans na przeżycie, w dodatku ciąża stanowi zagrożenie dla życia matki. Lekarz wyznaczył termin zabiegu na następny dzień. Anna przepłakała całą noc i wraz z mężem modliła się o cud, prosiła Boga o uratowanie dziecka. Rano zdecydowała, że bez względu na konsekwencje nie zgodzi się na aborcję, bo nie mogłaby dalej żyć ze świadomością, że pozwoliła przerwać życie swojego dziecka. Po tej trudnej nocy poczuła silny głód i poprosiła, aby mama podała jej rosół. To był początek powrotu do zdrowia. Pani Halina powiadomiła lekarza, że jej córka nie zgłosi się na zabieg.

Kilka miesięcy później, 3 marca 1976 r., w Środę Popielcową, o godz. 21.30 Anna Jantar urodziła córkę, której dała imię Natalia, od bohaterki piosenki Gilberta Bécaud „Nathalie". Szczęśliwa mama przerwała występy i została w domu z dzieckiem, ale po kilku miesiącach wróciła na scenę.

OBOK PENDERECKIEGO I IWASZKIEWICZA

Wyprzedzała epokę, w której pojawiła się jako artystka, i wyraziście zaznaczyła się w dziejach polskiej muzyki estradowej. Jej płyty sprzedawały się w milionowych nakładach. Za kolejne longplaye zdobywała Złote Płyty. W ankiecie „Polityki" na Polaka najbardziej wtedy znanego za granicą nazwisko Anny Jantar pojawiło się obok Krzysztofa Pendereckiego i Jarosława Iwaszkiewicza. Brała udział w wielu festiwalach w Polsce i poza granicami. Doskonale radziła sobie z tekstami w obcych językach. Zdobyła nagrody m.in. w Lublanie (d. Jugosławia), w Dreźnie (d. NRD), w Tampere (Finlandia), w Castelbar (Irlandia), w Villach (Austria). Koncertowała w Szwecji, w Czechosłowacji, we Włoszech, w RFN, w Irlandii, w Związku Radzieckim – właściwie w całej Europie. Wyjeżdżała do Stanów Zjednoczonych, gdzie występowała głównie w ośrodkach polonijnych, a także śpiewała w Kanadzie.

Przełomem w stylu śpiewania Anny Jantar był utwór „Tylko mnie poproś do tańca" (muzyka: Wanda Żukowska, słowa: Bogdan Olewicz) – inny w nastroju i treści niż dotychczasowe, bardziej liryczny, będący rozmową z Panem Bogiem. Sławna artystka poszukiwała nowego stylu – od popu przechodziła do jazzu i swingu. Chciała zaistnieć w innym repertuarze. Marzyła o zrobieniu programu estradowego typu show, w którym mogłaby pokazać również swoje aktorskie umiejętności. Zmieniła się też zewnętrznie, przede wszystkim ścięła piękne długie włosy, za co mąż miał do niej żal.

W 1979 r. zaczęła współpracować z zespołami Perfect i Budka Suflera. Romuald Lipko, który postrzegał Annę Jantar jako muzyczny fenomen, skomponował dla niej pełen dramatyzmu utwór pt. „Nic nie może wiecznie trwać" do słów Andrzeja Mogielnickiego, który wkrótce zaczęto odczytywać jako zapis tragicznie zakończonego życia artystki. W plebiscycie Studia Gama utwór ten został ogłoszony piosenką roku 1979. W końcówce tego roku Anna Jantar zdążyła jeszcze nagrać swoją czwartą płytę i 27 grudnia wyruszyła na tournée do Stanów Zjednoczonych. Po trzech miesiącach wracała do Polski. Zamieniła z kimś bilet i wcześniej niż pozostali członkowie grupy, z którą

eprasa.pl 33776eaff3

koncertowała, wsiadła na pokład samolotu startującego do Warszawy. Stęskniona za rodziną, szczególnie za Natalią, chciała jak najszybciej dotrzeć do domu.

POWRÓT, KTÓREGO NIE BYŁO

I była już bardzo blisko domu, gdy wydarzyła się tragedia. Samolot PLL LOT IŁ-62 „Mikołaj Kopernik", którym podróżowała, uległ katastrofie i rozbił się tuż przed lądowaniem na warszawskim lotnisku. Czteroletnia Natalia, oczekująca na mamę na Okęciu, zapamiętała tylko nerwową atmosferę i moment, gdy babcia wyrwała jej z dłoni biały bukiecik i rzuciła na ziemię. Długo nikt nie był w stanie powiedzieć jej o śmierci mamy. Wśród osobistych przedmiotów zwróconych rodzinie był różaniec, który podczas katastrofy Anna ściskała w dłoni. Różańcową koronkę znalezioną w trakcie sekcji zwłok, przekazał najbliższym lekarz medycyny sądowej.

Pogrzeb Anny Jantar na warszawskim Wawrzyszewie zgromadził ok. 40 tysięcy miłośników jej talentu. Ruch uliczny musiał być wstrzymany, gdy trumna falowała ponad głowami ludzi uczestniczących w pogrzebie. Pożegnaniu Słonecznej Ani przewodniczył bp Władysław Miziołek, z którym utrzymywała przyjazną więź. Miała też regularny kontakt z kapłanami ze swojej warszawskiej parafii – ks. Witoldem Jankowskim i ks. Józefem Misiakiem – zapisy tych spotkań zachowały się w jej kalendarzu. Natomiast ks. Józef Warczak z Wrześni, gdzie bywała w kościele parafialnym swoich teściów, zapamiętał sytuację, jak Anna Jantar powiedziała, że niezręcznie się czuje podczas mszy świętej, gdyż jest rozpoznawana i zwraca na siebie uwagę. Od tego czasu – jak wyraził się ksiądz – „zamykał" ją w zakrystii i tam podawał komunię świętą.

SMUTEK PRZEMIJANIA

Córka Natalia jest bardzo podobna do swojej tragicznie zmarłej mamy. Babcia zauważyła, że nawet włosy tak samo odgarnia z twarzy, gdy występuje na scenie. „Twoich śladów szukam wciąż" – od tych słów Natalia Kukulska zaczyna piosenkę, którą napisała, aby uczcić pamięć mamy w specjalnym albumie pt. „Po tamtej stronie".

Śladów Anny Jantar wraz z Natalią od lat poszukuje ks. prof. Andrzej Witko, historyk sztuki z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, przyjaciel rodziny Kukulskich, autor wyjątkowej biografii przygotowanej w formie pośmiertnego dialogu z artystką. Dotarł do ogromnych zasobów polskich i zagranicznych wypowiedzi artystki w prasie, radiu i telewizji, zebrał świadectwa od rodziny, przyjaciół oraz koleżanek i kolegów z artystycznej branży, aby nakreślić poszczególne etapy nagle przerwanego życia artystki. Odnotował, że Anna Jantar w jednym z ostatnich wywiadów, wobec zachwytów nad jej głosem, niezwykłą urodą i wdziękiem, wyznała: „Pragnę, aby zdobiło mnie przede wszystkim moje serce, które stoi otworem dla wszystkich ludzi". Ks. Witko podkreślił ogrom dobra, ciepła, jakie niosła z sobą, a jednocześnie zwrócił uwagę na jakiś metafizyczny smutek przemijania, szczególnie widoczny w jej zadumanych oczach. Zanotował: „Przedwczesne odejście paradoksalnie przyczyniło się do jej unieśmiertelnienia, sprawiając, że pozostała z nami właśnie taka, jaka była – młoda i pełna uroku, serdeczna i przyjacielska".

> Swoimi przebojami zdobywała krajowe i zagraniczne sceny. Piosenki „Najtrudniejszy pierwszy krok" i „Tyle słońca w całym mieście" śpiewała z nią cała Polska

Dzisiaj można spojrzeć na Annę Jantar przez konkretne obrazy, mówiące o jej wyjątkowej wrażliwości. Oto np. zwierzenie mamy piosenkarki, zapisane w książce Marioli Pryzwan „Słońca jakby mniej. Wspomnienia o Annie Jantar": „Ania bardzo przeżyła wybór Karola Wojtyły na papieża. Pamiętam, że kiedy ogłoszono tę radosną nowinę, uklękła i długo płakała ze wzruszenia".

ONA ŻYJE

Marcin Wilk, autor najnowszej biografii Anny Jantar, pt. „Tyle słońca", uważa, że po śmierci narodziła się ona jakby na nowo, dostała drugie życie – w sercach pogrążonych w żałobie wielbicieli. Zaraz po katastrofie powstały utwory jej poświęcone, jak choćby piosenka w wykonaniu Haliny Frąckowiak „Anna już tu nie mieszka", którą skomponował Jarosław Kukulski do słów Janusza Kondratowicza, czy utwór śpiewany przez Budkę Suflera „Słońca jakby mniej", Romualda Lipki i Andrzeja Mogielnickiego.

Młodzi wokaliści śpiewają piosenki z jej repertuaru w nowych, ciekawych aranżacjach, głównie Adama Sztaby. Wciąż wychodzą nowe płyty z jej piosenkami. Szczególną uwagę zwraca ekskluzywny, czteropłytowy album opracowany pod redakcją Piotra Ujmy i ks. Andrzeja Witki, pt. „Wielka Dama", którego krążki otrzymały nazwy: „Nieśmiertelna", „Słoneczna", „Refleksyjna", „Zaskakująca". I w krótkim czasie zdobyły tytuł Złotej Płyty.

W 2020 r., gdy obchodzimy 70. rocznicę urodzin artystki i 40. rocznicę jej śmierci, niech te cztery odsłony „Wielkiej Damy" będą podsumowaniem fenomenu, którym była i jest Anna Jantar. Z pewnością tegoroczne rocznice wyzwolą wiele wspomnieniowych i artystycznych inicjatyw. TVP Kultura przygotowała na 8 marca „Niedzielę z Anną Jantar". Powstaje też scenariusz filmu upamiętniający tę wybitną polską gwiazdę estrady. Tegoroczni debiutanci, walcząc o Nagrodę Anny Jantar na Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, będą wykonywać jej przeboje. To kolejny dowód na to, że mimo upływu lat piosenki Anny Jantar się nie starzeją.

eprasa.pl 33776eaff3

Zbyt ostra gra Erdoğana

Polityczny kłopot, w obliczu którego stoją Unia i Ameryka, polega na tym, że Erdoğanowi trzeba zarówno okazać solidarność w jego faktycznej wojnie z Asadem i Rosją, jak i przeciwstawić się mu w obronie znów zagrożonych falą imigracyjną unijnych granic

JAN ROKITA

Polityczną stawką nagle wybuchłego kryzysu turecko-rosyjskiego stała się obiecująca perspektywa powrotu do jedności NATO, ale zarazem zagrożenie nawrotem fali imigracyjnej do Unii Europejskiej. To oczywiście wielki paradoks, że te same zdarzenia mogą stanowić w jakimś sensie szansę na wzmocnienie zachodniego sojuszu militarnego, a jednocześnie spory kłopot dla wielu należących do tego sojuszu państw europejskich.

UDERZENIE NA IDLIB

Zapalnikiem obecnego kryzysu stały się wydarzenia z 27 i 28 lutego br., kiedy rządowa armia syryjska, działając wespół z rosyjskim lotnictwem, podjęła zmasowane uderzenia na syryjską prowincję Idlib, w której nadal jeszcze bronią się silne oddziały sunnickich powstańców przeciw tyranii Baszira Asada. Rzecz jednak w tym, że od dłuższego czasu w prowincji tej stacjonują również wojska tureckie, których celem miało być niedopuszczenie do ostatecznego upadku ostatniego bastionu antyasadowskiej rebelii. Niektóre źródła wojskowe informują w sieci, że może to być nawet ok. 15 tys. żołnierzy wraz z dużą ilością ciężkiego sprzętu wojskowego. I właśnie w czwartek 27 lutego rosyjskie myśliwce Su-35 zaatakowały armię turecką obok ważnego (bo leżącego na skrzyżowaniu autostrad) miasta Sarakib, zabijając przeszło 30 tureckich żołnierzy. Oficjalnie samoloty należały do rządowych sił syryjskich, ale w sieci aż kipi od spekulacji, czy to możliwe, aby za sterami owych bardzo nowoczesnych i dopiero niedawno udostępnionych armii syryjskiej przez Rosję wielozadaniowych myśliwców siedzieli syryjscy, a nie rosyjscy piloci.

Rosjanie twierdzą, że była to odpowiedź na kontrofensywę „terrorystów z Idlibu", celem miały być zaś oddziały

Fot. deepspace/Shutterstock.com

eprasa.pl 33776eaff3

islamistów, a nie armia turecka. W powstańczym Idlibie, w którym schronili się nie tylko przegrani antyasadowscy bojownicy z całej Syrii, ale także steki tysięcy cywilnych uciekinierów, władzę sprawuje islamistyczna organizacja HTS, co jest arabskim akronimem Komitetu Wyzwolenia Lewantu. W 2017 r. kilka broniących się grup powstańczych stworzyło ów Komitet, aby zwiększyć swą zdolność zdobywania zagranicznej pomocy wojskowej, zyskując m.in. polityczne i wojskowe poparcie tureckiego prezydenta Recepa Erdoğana. Kłopot jednak w tym, że główną siłą HTS jest dawny front Al-Nusra, będący swego czasu jedną z filii Al-Kaidy, naczelnym dowódcą wojskowym zaś sławny Al-Julani, za którego ujęcie Amerykanie już kilka lat temu oferowali nagrodę 10 mln dol. Istotnie w drugiej połowie lutego powstańcy z HTS, którzy dotąd cofali się pod naporem rosyjskiego lotnictwa, armii Asada i wspomagających ją komandosów perskich, dzięki tureckiemu wsparciu mogli podjąć w Idlibie kontrofensywę. Wiele wskazuje na to, że to właśnie owo militarne ożywienie sił powstańczych w Idlibie stało się przesłanką dla wyjątkowo mocnej fali rosyjskich i syryjskich nalotów na Idlib, której ofiarami – nie wiadomo celowymi czy przypadkowymi – padli także żołnierze tureccy.

Turecki minister obrony Hulusi Akar nie ma wątpliwości, że atak na jego wojska był celowy. Wedle Akara podczas nalotów na Turków nie tylko w pobliżu nie było żadnych oddziałów powstańczych, ale na dodatek – zgodnie z wcześniejszą umową turecko-rosyjską – tureckie dowództwo przekazało drugiej stronie po pierwszym nalocie ostrzeżenie, po którym mimo to naloty się powtórzyły. Szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow (który akurat składał wizytę w Luksemburgu) broni z jednej strony „prawa rządu syryjskiego do atakowania terrorystów", z drugiej jednak składa władzom Turcji kondolencje z powodu śmierci żołnierzy, zapewniając, iż Moskwa dąży do „stworzenia warunków bezpieczeństwa żołnierzy tureckich".

> Chociaż w mediach można znów zobaczyć tłumy wędrujące w stronę unijnej granicy, atmosfera polityczna jest inna niźli niecałe pięć lat temu. Granica UE jest broniona przez Greków z nieskrywanym poparciem Brukseli

ODWET TURCJI

Trudno się jednak dziwić, że rozeźlony atakiem na swoich żołnierzy Erdoğan zarządził akcję odwetową. Jej skala wygląda na bardzo dużą, nawet jeśli spektakularne doniesienia mediów tureckich o zabiciu 309 żołnierzy Asada mogą być przesadzone. Turcy ostrzelali rakietami kilka syryjskich lotnisk (w tym strategiczne Aleppo), syryjski sztab wojskowy rozlokowany przy autostradzie M5 wiodącej z Homs do Damaszku, syryjskie konwoje poruszające się tą autostradą oraz co najmniej jedną fabrykę broni. Do tych ataków używano głównie samolotów bezzałogowych (Turcy mieli stracić ich aż 14), ale niepotwierdzone informacje mówiły nawet o ataku tureckich myśliwców F16 na śródziemnomorski port w Latakii, gdzie znajduje się kluczowa rosyjska baza morska. Turecki minister ds. europejskich Ömar Çelik oznajmił: „Władze kraju zdecydowały, iż odtąd siły zbrojne Syrii traktowane będą jako siły wrogie".

Erdoğan zyskał dla swej akcji polityczne poparcie NATO, o czym zapewnił publicznie sekretarz generalny sojuszu Jens Stoltenberg. Jak również USA i – co bardzo ciekawe – Niemiec, które zazwyczaj w podobnie ostrych sytuacjach zwykły raczej zachowywać ostrożne milczenie. Ale żądaniem Erdoğana jest „wzięcie przez mocarstwa odpowiedzialności za kryzys w Idlibie", co jeden z doradców prezydenta objaśnił, jako postulat „ustanowienia międzynarodowej strefy zakazu lotów w celu ochrony setek tysięcy uciekających cywilów". Na taki krok ze strony NATO się jednak nie zanosi, gdyż oznaczałoby to w praktyce zakaz działań dla rosyjskiego lotnictwa w Syrii, czyli mówiąc wprost – albo deklarację zupełnego pustosłowia ze strony Zachodu, albo gotowość do otwartej wojny z Rosją w Syrii.

Erdoğan zapewne jest doskonale tego świadom, ale mimo to próbuje zwiększyć presję na jakąś formę zachodniej interwencji w obronie tureckich interesów, otwierając granice dla imigrantów do Europy już 28 lutego, czyli w dzień po swojej militarnej porażce pod Sarakibem. W tle tej otwarcie wrogiej decyzji, zwłaszcza

eprasa.pl/33776eafi3

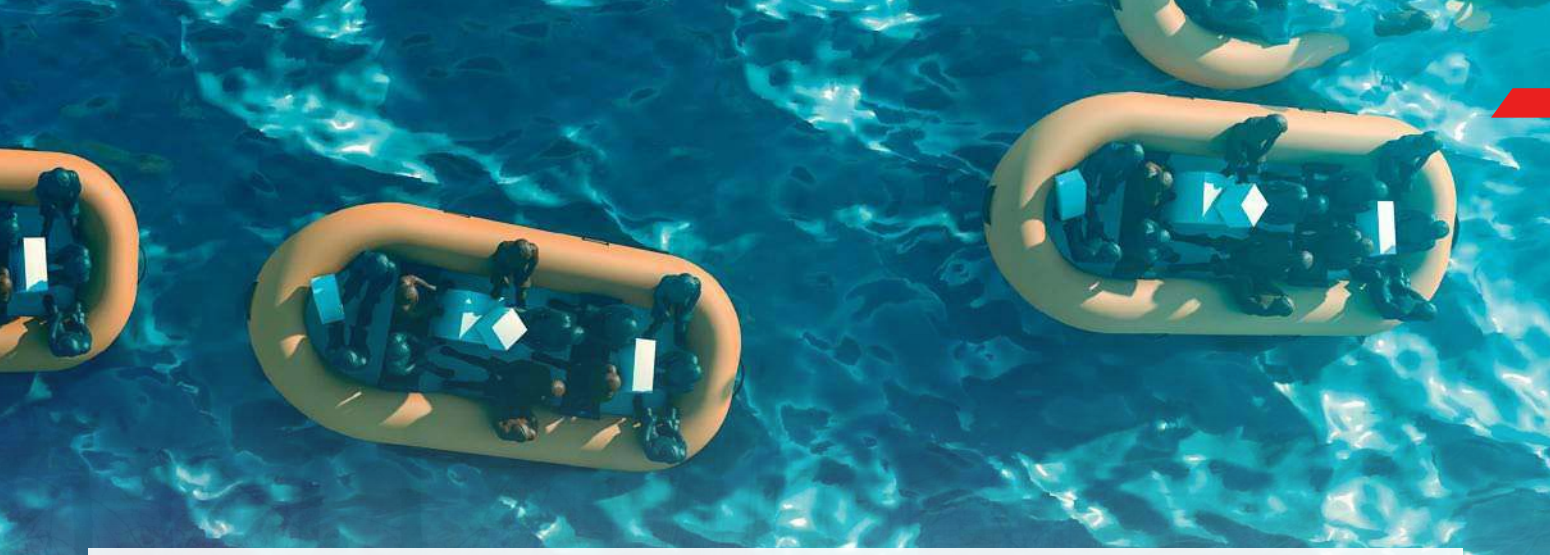

wobec sąsiadujących Grecji i Bułgarii, tkwi przewlekły spór o niewywiązywanie się przez Unię Europejską z umowy zawartej w 2016 r. o wypłaceniu Turcji 3 mld euro w zamian za ochronę zewnętrznej granicy UE. A także prawdziwy i gigantyczny problem Erdoğana, jakim jest koczowanie na terytorium tureckim 3–4 mln uciekinierów oraz rozpoczęta właśnie ucieczka dalszego miliona z bombardowanego Idlibu. Z perspektywy Europy taka forma nacisku wygląda niewątpliwie na akt bezczelny i cyniczny, ale z perspektywy Ankary, która nie umie sobie już samodzielnie poradzić ani z wojną syryjską, ani z milionami imigrantów, jest to raczej akt politycznej desperacji.

UCHODŹCY JAKO BROŃ

Grecja, która pierwsza padła ofiarą kroku Erdoğana, ogłosiła tymczasem blokadę granicy tureckiej i zawiesiła przyjmowanie jakichkolwiek wniosków azylowych. Prawicowy grecki premier Kyriakos Micotakis zaapelował do imigrantów, aby „nie próbowali dostać się nielegalnie do Grecji, ponieważ zostaną cofnięci". Grecy twierdzą, że w ciągu ostatnich dni tureckie autobusy celowo podwożą uciekinierów pod grecką granicę, zachęcając ich w ten sposób do wtargnięcia na terytorium UE. Całkiem możliwe, że Grecy mówią prawdę, bo w sieci pojawiły się równolegle wieści o „białych autokarach" w Stambule, które zbierają z miasta potencjalnych chętnych na nielegalną wyprawę do Unii. Od ubiegłego weekendu na pograniczu grecko-tureckim wybuchają starcia między agresywnymi imigrantami, próbującymi przełamać zasieki graniczne, a grecką policją wystrzeliwującą w ich stronę pociski z gazem łzawiącym.

Chociaż więc w mediach można znów zobaczyć – jak w roku 2015 – tłumy wędrujące w stronę granicy Unii, atmosfera polityczna jest inna niźli niecałe pięć lat temu. Granica UE jest broniona przez Greków z nieskrywanym poparciem Brukseli (szef Rady Europejskiej Charles Michel wraz z szefową Komisji Ursulą von der Leyen udali się tam nawet na inspekcję), ale także z mniej lub bardziej milczącą akceptacją ze strony bodaj wszystkich rządów państw unijnych. Chyba z największym entuzjazmem postawę Grecji chwali publicznie rząd węgierski.

Grecy nie bez racji uważają, że krok Erdoğana to nic innego, jak weaponizing refugees, czyli używanie uchodźców jako swoistej broni. Rzecznik rządu w Atenach mówi o „aktywnym, poważnym i wyjątkowym zagrożeniu dla bezpieczeństwa kraju". I dodaje, iż: „zgromadzeni ludzie są wykorzystywani przez Turcję jak pionki do wywierania dyplomatycznej presji". Austriacki kanclerz Kurz, znany skądinąd ze swych antytureckich uprzedzeń, mówi nawet o „tureckim ataku na Unię". Sam Erdoğan zresztą nie ukrywa wcale tego, iż przepuszcza imigrantów po to, aby zmusić cały Zachód do bardziej zdecydowanych kroków na rzecz solidarności z Turcją. Fundamentalny polityczny kłopot, w obliczu którego stoją jednak zarówno Unia, jak i Ameryka, polega na tym, że Erdoğanowi trzeba zarazem okazać solidarność w jego faktycznej wojnie z Asadem i Rosją, jak i przeciwstawić się mu w obronie znów zagrożonych falą imigracyjną unijnych granic.

Amerykańska ambasador w NATO Kay Bailey Hutchison nie kryje nadziei na to, że wojna Turcji z Rosją „pomoże przekonać Turków, jaka Rosja jest naprawdę i co obecnie czyni". Dyplomatka wspomina w swym oświadczeniu z sentymentem „tak niegdyś silne partnerstwo wojskowe USA i Turcji". Waszyngton chciałby, aby obecna sytuacja otrzeźwiła Erdoğana, przekonując go, iż jego polityczny flirt z Putinem, a zwłaszcza tureckie zamówienia broni w Rosji, były błędem. Gdyż jak to widać obecnie, bez solidarności NATO Turcja okazuje się w Syrii bezsilna.

Podobnie jak Amerykanie, rozumieją to także doskonale niemieccy chadecy. Ursula von der Leyen w tonie daleko idącej wyrozumiałości dla Ankary mówi po przeprowadzeniu inspekcji unijnej granicy, że: „uznaje iż Turca jest w trudnej sytuacji, gdy idzie o uchodźców i imigrantów, choć to co widzimy nie jest przecież żadnym rozwiązaniem". I w ten sposób powtarza niemal słowo w słowo równie łagodną opinię na temat akcji Erdogana, wygłoszoną w Berlinie przez jej patronkę i przyjaciółkę kanclerz Merkel. Jednak Erdogan wyraźnie nie ufa wystarczająco ani Ameryce, ani Unii, używa zatem wrogiej presji, aby zmusić je do okazania Turcji pomocy i zacieśnienia sojuszu. Dlatego choć właśnie teraz się na tym sparzył, nadal gra przeciw Ameryce „kartą rosyjską", Europę chce zaś zdyscyplinować, używając z kolei karty imigrantów. Trudno nie odnieść wrażenia, że turecki prezydent w pojedynkę próbuje prowadzić nazbyt ostrą i nazbyt awanturniczą grę. Szkoda by było (zwłaszcza patrząc z perspektywy polskiego interesu), gdyby ta jego gra sprawiła, że miast zacieśnienia tureckich więzi z NATO i Unią przy okazji kryzysu z Rosją, więzi te miałyby ulec jeszcze dalszemu osłabieniu.

Fot. deepspace/Shutterstock.com, shutterstock

Aksamitny populizm

Wynik wyborów na Słowacji to dobra wiadomość dla Grupy Wyszehradzkiej. Spoistość V4 zostanie nie tylko utrzymana, lecz nawet wzmocniona

GRZEGORZ GÓRNY

Niedawne wybory parlamentarne na Słowacji przyniosły prawdziwe trzęsienie ziemi na tamtejszej scenie politycznej. Trzymając się tej metafory, były one dalekim echem tektonicznym wstrząsu, który nastąpił 26 lutego 2018 r., gdy policja odnalazła ciało zbyt dociekliwego dziennikarza śledczego Jána Kuciaka, zastrzelonego razem z narzeczoną. Mord ujawnił skalę powiązań świata polityki nie tylko ze światem biznesu, lecz także z półświatkiem zorganizowanej przestępczości. Gniew społeczeństwa obrócił się przeciw rządzącej klasie politycznej. Cały kraj ogarnęły masowe protesty. Do dymisji musieli podać się szef policji Tibor Gašpar, minister spraw wewnętrznych Robert Kaliňák, a nawet premier Robert Fico z socjaldemokratycznej partii SMER.

Nie uspokoiło to jednak nastrojów społecznych. Kolejne szczegóły śledztwa ujawniały patologie sięgające najwyższych urzędników w państwie. Dla wszystkich stało się jasne, że zmiany są nieuniknione. Pierwszym ich beneficjentem okazała się liberalna lewica. W marcu 2019 r. jej kandydatka Zuzana Čaputová wybrana została na prezydenta, pokonując w drugiej rundzie kandydata SMER stosunkiem głosów 58:42.

Prezentowała się jako osoba niezależna, nieuwikłana w układy polityczne, a nawet samotnie walcząca przeciw wpływowym grupom interesów. Wcześniej dała się poznać jako

eprasa.pl 33776eaff3

działaczka organizacji pozarządowych, która doprowadziła do likwidacji uciążliwego wysypiska śmieci w Pezinoku koło Bratysławy. W 2016 r. otrzymała za to Nagrodę Goldmanów, czyli „ekologicznego Nobla".

PYCHA KROCZY PRZED UPADKIEM

Na fali wyborczego sukcesu Čaputovej jej partia – Postępowa Słowacja – nabrała wiatru w żagle, wyrastając w sondażach na główną alternatywę dla rządzących. Mogła liczyć na medialne wsparcie środowisk lewicowo-liberalnych oraz organizacji związanych z George'm Sorosem.

Čaputová była tak pewna zwycięstwa swojej formacji, że w styczniu zanegowała odrzucenie przez słowacki parlament genderowej konwencji stambulskiej, której sama jest zwolenniczką. Większość posłów w Bratysławie dwukrotnie (w marcu i listopadzie 2019 r.) wypowiedziała się przeciw ratyfikacji tego dokumentu. Pani prezydent stwierdziła jednak, że była to tylko niezobowiązująca deklaracja woli parlamentarzystów, niepociągająca za sobą żadnych skutków prawnych. Zapowiedziała więc, że przekaże sprawę do ekspertyzy swoim prawnikom, którzy wydadzą wiążącą opinię.

Oponenci Čaputovej oskarżyli ją, że celowo gra na zwłokę, by przeciągnąć procedurę ratyfikacji konwencji aż do wyborów. Prezydent miała nadzieję, że w nowym parlamencie znajdzie się inna większość niż obecnie i dokument zostanie ratyfikowany. Tym samym jednak wprowadziła do debaty publicznej problem, który – ku jej zaskoczeniu – stał się tematem nr 1 na samym finiszu kampanii wyborczej.

Postępowanie Čaputovej spowodowało bowiem mobilizację jej politycznych rywali, którzy doprowadzili do tego, że parlament 25 lutego, pod koniec swojej kadencji (głosami 96 posłów w 150-osobowej izbie) definitywnie odrzucił konwencję stambulską – i to w takiej formie, do jakiej prezydent nie mogła mieć żadnych zastrzeżeń.

Čaputová wykreowała więc w kampanii nową oś sporu. Wybory przestały być tylko plebiscytem: czy jesteś za obecną władzą, czy przeciw niej? Doszło nowe pytanie: czy jesteś za konwencją stambulską, czy przeciw niej, a w domyśle: za ideologią gender czy przeciw? To spowodowało, że tuż przed wyborami notowania Postępowej Słowacji zaczęły gwałtownie spadać. Ludzi raziło zwłaszcza podważanie przez Čaputovą prawomocności decyzji parlamentu, odbierane jako lekceważenie demokracji przez liberałów. Miało się to zemścić przy urnach wyborczych.

PREMIER „ZWYCZAJNYCH LUDZI"

Wybory 29 lutego przyniosły totalną klęskę obozu władzy. Spośród trzech partii tworzących koalicję rządową dwie nie dostały się w ogóle do parlamentu. Słowacka Partia Narodowa (SNS) uzyskała 3,16 proc. głosów, ugrupowanie węgierskiej mniejszości zaś Most-Hid – 2,05 proc. Poparcie dla dotychczasowego hegemona, czyli SMER (rządzącego w latach 2006–2010 i 2012–2020) spadło natomiast z 28,3 do 18,3 proc.

O ile porażka rządzących była oczekiwana, o tyle do końca nie było wiadomo, kto okaże się największym zwycięzcą. Niespodziewanie została nim centroprawicowa partia OL'aNO (Zwyczajni Ludzie i Niezależne Osobistości), która popisała się fantastycznym finiszem na ostatniej prostej kampanii. Jej triumf to osobisty sukces 47-letniego Igora Matoviča, który dostał zadanie stworzenia nowego rządu.

Obecny premier jest postacią niezwykle barwną, słynącą z niewyparzonego języka, trudnego charakteru i częstego wchodzenia w ostre konflikty z oponentami. O ustępującym przewodniczącym parlamentu Andreju Danko powiedział: „Zachowuje się jak skunks, który przychodzi, naśmierdzi i ucieka". Posła Petra Pčolinskiego nazwał kretynem. Innemu posłowi Martinovi Poliačikovi obsikał głowę wodą ze strzykawki podczas sesji fotograficznej w parlamencie. Powodem był tekst Poliačika w dzienniku „SME", w którym napisał on, że czysta heroina jest mniej szkodliwa ode mieszanej. Matovič zażądał wysłania autora artykułu na bezpłatny urlop, aby mógł tłumaczyć dzieciom uzależnionym od narkotyków, jak nieszkodliwa jest heroina.

Obecny premier to przedsiębiorca, który rozpoczął karierę biznesową w 1997 r. Pięć lat później założył własne wydawnictwo regionPRESS, które wydaje dziś 36 lokalnych gazet w całym kraju. Kiedy w 2007 r. wszedł do polityki, wszystkie udziały w firmie przepisał na żonę.

W 2010 r. dostał się do parlamentu z list partii Swoboda i Solidarność (SaS). Po roku został z niej wykluczony za to, że w jednym z głosowań poparł propozycję SMER. Kiedy w 2012 r. doszło do przedterminowych wyborów, wystartował w nich, stając na czele OL'aNO – partii, którą sam wówczas założył. Ugrupowanie zdobyło 8,55 proc. głosów i wprowadziło do Rady Narodowej 16 posłów. Cztery lata później poprawiło swój wynik – 11,02 proc. i 19 mandatów.

Przed ostatnimi wyborami Matovič prowadził aktywną kampanię pod hasłem walki z korupcją. Przedstawiał się jako przedstawiciel zwyczajnych ludzi (tak brzmi zresztą pierwszy człon nazwy jego partii) przeciw wyalienowanym elitom. W jednym z wywiadów powiedział, że inspiruje się polityką Viktora Orbána. Jego poglądy w sprawach obyczajowych pozostają konserwatywne. Deklaruje się jako polityk pro life i pro family.

CENTROPRAWICOWA KOALICJA

Matovič nazywany bywa często populistą, ale jeśli jest to populizm, to raczej aksamitny w porównaniu z populizmem Borisa Kollára – lidera innej centroprawicowej partii Sme Rodina (Jesteśmy Rodziną), która zdobyła 8,24 proc. głosów i będzie głównym partnerem koalicyjnym OL'aNO.

55-letni Kollár jest również przedsiębiorcą. Działalność biznesową rozpoczął jeszcze pod koniec komunizmu w branży turystycznej. Stał się właścicielem sieci hoteli i wyciągów narciarskich, a także rozgłośni Fun Radio. W 2015 r. założył partię, która rok później dostała się do parlamentu, zdobywając 6,6 proc. głosów.

Fot. Kollar Peter/Shutterstock.com

eprasa.pl 33776eaff3

Nazwa Jesteśmy Rodziną zobowiązuje. Kollár głosi konieczność prowadzenia polityki prorodzinnej oraz walki z kryzysem demograficznym. W jego przypadku nie są to tylko słowa. Ma bowiem dziewięcioro dzieci z ośmioma różnymi kobietami. Jak mówi, chciałby mieć jeszcze trójkę, ale nie stać go na to, ponieważ każdej ze swych pociech daje miesięcznie 2 tys. euro.

Trzecim koalicjantem będzie liberalno-konserwatywna i lekko eurosceptyczna partia Swoboda i Solidarność (SaS) na czele z Richardem Sulíkiem, która zdobyła 6,22 proc. głosów. W europarlamencie należy ona do EKR, czyli tej samej frakcji, w której znajduje się PiS.

Na Słowacji powstanie więc centroprawicowa koalicja rządowa, która na Zachodzie ze zgrozą określana jest już jako populistyczna. W sumie to dobra wiadomość dla Grupy Wyszehradzkiej, dlatego że zwycięskie partie opowiadają się przeciw federalizacji Unii Europejskiej i centralistycznym zapędom Brukseli, a także przeciw polityce imigracyjnej UE i przymusowemu mechanizmowi kwotowego przyjmowania uchodźców. W wielu sprawach politycznych znacznie bliżej im do obecnych władz w Warszawie i Budapeszcie, niż było poprzedniej ekipie rządowej z socjaldemokratycznej partii SMER (która notabene lojalnie współpracowała w ramach V4). Spoistość Grupy Wyszehradzkiej zostanie więc utrzymana, a może nawet będzie jeszcze większa.

WIELCY PRZEGRANI

Największymi przegranymi wyborów okazali się socjaliści, liberałowie, narodowcy, chadecy i mniejszość węgierska.

Elity lewicowo-liberalne miały dwóch faworytów. Pierwszym była wspomniana już Postępowa Słowacja – główna siła prąca do rewolucji obyczajowej i najbardziej niechętna wobec prawicowych rządów w Polsce i na Węgrzech. Zawarła ona koalicję wyborczą z partią Spolu (Razem), co oznaczało, że ich blok musiał przekroczyć próg 7 proc. Otrzymał jednak... 6,96 proc. głosów i nie zdobył ani jednego mandatu.

Drugie liberalne ugrupowanie to partia Za L'udi (Dla Ludzi), założona w zeszłym roku przez ustępującego prezydenta Andreja Kiskę. Miał on wszelkie szanse, by ubiegać się o drugą kadencję, jednak zrezygnował z reelekcji, dając do zrozumienia, że jest zmęczony polityką. W rzeczywistości zmęczony był pełnieniem funkcji, która w słowackiej polityce nie daje realnej władzy, a ma znaczenie jedynie reprezentacyjne. Dlatego stworzył własną formację, która uzyskała jednak wynik poniżej jego oczekiwań (5,77 proc. głosów).

> Największymi przegranymi wyborów na Słowacji okazali się socjaliści, liberałowie, narodowcy, chadecy i mniejszość węgierska

Niezadowoleni z rezultatów elekcji są również narodowcy. Wspomniana już Słowacka Partia Narodowa (SNS) wypadła nie tylko z rządu, ale i z parlamentu. Druga siła polityczna tej opcji ideowej – Partia Ludowa Nasza Słowacja (L'SNS) – zdobyła z kolei 7,97 proc. Nie może ona liczyć na żadne sojusze, ponieważ nikt w parlamencie nie chce zawierać z nią układów. Ugrupowanie odwołuje się bowiem do dziedzictwa Pierwszej Republiki Słowackiej z lat 1939–1945, kierowanej przez ks. Jozefa Tiso i współpracującej z Trzecią Rzeszą. Swym charakterem przypomina nieco węgierski Jobbik.

Kolejnym przegranym okazała się chadecja, która w latach 1998–2004 rządziła w tym kraju (premierem był Mikuláš Dzurinda), a w latach 2010–2012 współtworzyła ówczesny rząd. Dziś jej emanacją jest Ruch Chrześcijańsko-Demokratyczny (KDH), który nie przekroczył jednak progu 5 proc., uzyskując zaledwie 4,65 proc. głosów. Jego porażka wynikała głównie z tego, że stracił on zaufanie i wiarygodność wśród świadomego elektoratu chrześcijańskiego, który wolał przerzucić swe głosy na inne ugrupowania. KDH uchylał się bowiem w czasie kampanii od aktywnego uczestnictwa we współczesnej wojnie kulturowej, szukając mitycznego złotego środka. Komentatorzy pisali, że jest jak kawa bez kofeiny, cola bez cukru czy piwo bez alkoholu, słowem: jak chadecja bez chrześcijaństwa. W efekcie KDH wypadł zupełnie z gry.

Listę przegranych kończy mniejszość węgierska, która od momentu powstania niepodległej Słowacji w 1993 r. zawsze miała swą reprezentację parlamentarną. Tym razem – podzielona między dwa zwalczające się ugrupowania (MKÖ-MKS i Most-Híd) – nie zdołała wprowadzić żadnego przedstawiciela do Rady Narodowej. Gdyby Węgrzy startowali zjednoczeni, byłoby inaczej. Smak klęski czuć musi szczególnie Béla Bugár, który jako jedyny polityk na Słowacji zasiadał nieprzerwanie w parlamencie przez ostatnie 30 lat (od 1990 do 2010 r.).

Problemem słowackich Madziarów nie są jednak tylko podziały między nimi. Rękę do ich klęski przyłożył także Viktor Orbán, który zaczął nadawać im podwójne obywatelstwo. W efekcie wielu z nich wyjechało na stałe na Węgry. Poza tym nie wypracowali oni efektywnego mechanizmu reprodukcji elit. Zdaniem publicysty Jaroslava Daniški błędem było wybudowanie węgierskiego uniwersytetu na Słowacji w małym sennym miasteczku Komárno, zamiast w Bratysławie lub w Koszycach. Nie jest to bowiem miejsce, które przyciągałoby węgierską młodzież. W efekcie albo wyjeżdża ona na studia do Budapesztu i najczęściej nie wraca już do kraju, albo wybiera którąś z uczelni w Bratysławie i wtapia się w słowacki pejzaż społeczny i kulturowy. Węgrów zabraknie więc w parlamencie, a szkoda, bo ich obecność dodawała toczonym tam debatom pikantnego smaku.

eprasa.pl 33776eaff3

„I tak nam się poszczęściło, że domu nie spalili”

Gabinet Ołeksija Honczaruka (na zdj.) jest chyba pierwszym na świecie rządem, który poległ w nierównym boju z epidemią koronawirusa oraz brakiem zaufania Ukraińców do władz państwa. Ale nie tylko

MAREK BUDZISZ

Fot. home for heroes/Shutterstock

W lutym na Ukrainie wydarzyło się coś, co nie tylko doprowadziło do upadku gabinetu Honczaruka, ale wręcz skonfrontowało kijowskie elity z bolesnym pytaniem o stan ukraińskiej państwowości.

Tatiana Silina, komentatorka tygodnika „Zerkało Tyżnia”, a przy tym zwolenniczka szybkich liberalnych reform, które nastąpiły po Rewolucji Godności, napisała, iż myślała, że wiele lat pracy w zawodzie dziennikarza uodporniło ją i pozbawiło złudzeń na temat ludzkiej

eprasa.pl 33776eaff3

natury, ale to, co się stało w jej ojczyźnie w połowie lutego, nie tylko doprowadziło ją do łez i palącego wstydu nad bezmiarem ludzkiej podłości, ale również kazało jej myśleć o tym, że z jednej strony obserwuje „narodową hańbę", a władze – najdelikatniej całą sprawę nazywając – nie zdały egzaminu w godzinie próby.

Co się stało? 10 lutego ukraińska ambasada w Pekinie poinformowała, że władze planują ewakuację swoich rodaków przebywających dotychczas w objętych epidemią koronawirusa częściach Chin. Decyzja ta uznana została i tak za znacznie spóźnioną. Inne europejskie państwa zdołały już zabrać swych rodaków do domu. Ale nawet tak spóźniona reakcja nie uchroniła ukraińskich władz od całkowitej kompromitacji, obnażenia stopnia nieprzygotowania do tej – zdawałoby się – rutynowej operacji, wadliwej komunikacji, ale przede wszystkim ujawniła wielkie pokłady nieufności, jaką obywatele Ukrainy żywią wobec swego państwa. Władze argumentowały, że ewakuacja zdrowych obywateli, a to trzeba podkreślić, bo przeszli oni już testy w Wuhan i w innych częściach Chin, była celowo opóźniana, by nie wywoływać paniki. Jednak ona i tak wybuchła, a jej skala zaskoczyła wszystkich.

Najpierw deputowany podkijowskiego Obuchowa zaalarmował, że to w tamtejszym ośrodku wypoczynkowym służby medyczne chcą zorganizować kwarantannę. Ta wieść doprowadziła do protestów zarówno ze strony miejscowych deputowanych, przedstawicieli samorządu, jak i ludzi, którzy zaczęli demonstrować po to, aby nie dopuścić w okolice swoich domostw „zadżumionych" z Wuhan. Wyjaśnienia, że ani kwarantanna nie jest tam planowana, ani nie przywozi się ludzi zarażonych wirusem, niewiele wskórały. Potem z podobnymi rewelacjami wystąpił deputowany Oleg Syniutka z obwodu lwowskiego, za czasów Poroszenki gubernator. Jego zdaniem obecnie rządząca Kijowem ekipa celowo miałaby umieszczać w kwarantannie ewakuowanych z Chin po to, by ukarać w ten sposób te regiony kraju, w których zwyciężył Poroszenko. I w tym przypadku deklaracje ministra spraw wewnętrznych Arsena Awakowa, który notabene sprawował swoją funkcję również za poprzedniego prezydenta, że spełnione zostaną zaostrzone wymagania higieniczne i dezynfekcyjne, niewiele pomogły.

PANIKA, CZYLI SUMA WSZYSTKICH STRACHÓW

Panika zaczęła rozwijać się w najlepsze. Deputowany z formacji Sługa Narodu Aleksander Dubiński bez skrępowania powiedział publicznie to, co – jak się później okazało – myśli chyba większość Ukraińców. „Musimy przyznać – oświadczył – że jeśli na Ukrainie odnotujemy choć jeden przypadek tej choroby, to zachorujemy wszyscy. Będziemy mieli epidemię w stylu hiszpanki i tysiące ofiar, bo ani pomóc, ani ochronić, ani wyleczyć nikogo tutaj nikt nie będzie w stanie".

Po wystąpieniu deputowanego Syniutki do rozgrywki włączył się kontrolowany przez oligarchę Kołomojskiego kanał telewizyjny 1 + 1, zwalczający od jakiegoś czasu ekipę Honczaruka, który podał, że pod Lwowem, w Winnikach, władze wydzieliły szpital wojskowy, który ma przyjmować ewakuowanych z Wuhan. Ta niepotwierdzona informacja wystarczyła, aby zarówno przed lotniskiem, jak i przed szpitalem zebrały się setki osób skandujące, że „nie wpuszczą zarażonych", którzy zresztą wcale chorzy nie byli. Analogiczna sytuacja powtórzyła się w obwodzie tarnopolskim, gdzie w jednym z miejscowych sanatoriów miała zostać zlokalizowana kwarantanna. I tam ludzie protestowali, wspierali ich miejscowi oficjele z merem Tarnopola, który twierdził, że „u nas nie ma warunków" na przyjęcie transportu sanitarnego z Wuhan. Na wszelki wypadek, aby nikt niepożądany nie przedarł się do szpitala, na drodze protestujący wysypali kilka pryzm tłucznia i ustawili regularne posterunki. Władze nie były w stanie nikogo przekonać, że kwarantanna, zresztą zlokalizowana w obiekcie oddalonym od domostw, nikomu nie zagraża.

KAMIENIE I BLOKADY

20 lutego, czyli 10 dni po pierwszych informacjach o planowanej ewakuacji z Wuhan, wojskowe samoloty wylądowały w Charkowie, a autobusy z obywatelami Ukrainy, którzy mieli odbyć kwarantannę, skierowały się w stronę niewielkiej miejscowości Nowe Sanżary w obwodzie połtawskim na północy Ukrainy. Tym razem władza, bogatsza o doświadczenie protestów z poprzednich dni, lepiej się przygotowała. Autobusy były chronione przez oddziały Gwardii Narodowej. Ale to samo można powiedzieć o mieszkańcach, którzy nie tylko licznie się zgromadzili, aby nie dać dostępu „zadżumionym" do budynku miejscowego szpitala, ale również ustawili z własnych samochodów blokady na drogach. I tu mieszkańcy, uskarżając się na brak elementarnej informacji, nie chcieli ustąpić i postanowili najwyraźniej za wszelką cenę blokować dostęp do miejscowego, zresztą oddalonego od zabudowy mieszkalnej, szpitala. Rozpoczęły się regularne rozruchy z użyciem kamieni, pałek, bojowych wozów piechoty, koktajli Mołotowa. Próbowano nie tylko podpalić szpital, kamieniami obrzucono autobusy z ewakuowanymi z Wuhan rodakami skierowanymi na kwarantannę.

Na to wszystko nałożyła się polityka. Zwolennicy Poroszenki widzieli w protestujących wyborców Zełenskiego, a decyzję władz o rozpoczęciu ewakuacji z Wuhan w rocznicę masakry na Majdanie uznali za celową prowokację mającą odwrócić uwagę opinii publicznej od innych spraw. Z kolei prezydent Zełenski oświadczył, że w tłumie protestujących dało się zauważyć tych samych „wirusologów w dresach", którzy uczestniczyli w protestach organizowanych przez ukraińską opozycję, która chce zablokować ustawę o uwolnieniu rynku ziemi.

Inne obrazki z tej ukraińskiej ludowej „wojny z koronawirusem" są jeszcze smutniejsze. I tak do jednej ze wsi w rejonie czernichowskim wróciła z Chin rodzina z chorymi dziećmi. Nie miało to związku z koronawirusem, ale z porażeniem mózgowym, na które dzieci cierpiały, o czym zresztą każdy we wsi wiedział, bo do końca ub.r. wszyscy jej mieszkańcy uczestniczyli w zbiórkach pieniędzy, aby rodzina mogła jechać do Chin i poddać dzieci nowatorskiej terapii akupunkturowej. Teraz wrócili, bo „Chiny stanęły" i nie

eprasa.pl 33776eaff3

Protest Ukraińców przeciwko lokalizacji w okolicach ich domostw ośrodka kwarantanny dla ewakuowanych z Chin rodaków

Fot. AP Photo/Efrem Lukatsky/East News

było sensu tam siedzieć. Jak mówi Andriej Dumanski, ojciec chorych dzieci, już przed ich przyjazdem na wiejskim zebraniu (a zgromadziło się prawie 1 tys. osób) postanowiono o umieszczeniu ich w przymusowej domowej kwarantannie, bez prawa wychodzenia nawet na własne podwórko. Nie pomogły wyjaśnienia, że rodzina przebywała w rejonie, gdzie nie odnotowano nawet jednego przypadku zarażenia, a po drodze była cztery razy badana. Gromada, mówił z goryczą Dumanski, nawet chleba nie pozwoliła kupić, ale i tak „poszczęściło się nam, bo domu nie spalili".

JAK PRZEZWYCIĘŻYĆ KRYZYS

Te wydarzenia, jak argumentują socjologowie, uzmysłowiły całej, niezależnie od politycznych afiliacji, ukraińskiej elicie, w jak wielkim kryzysie znalazło się państwo i jak silne, choć na co dzień nieujawniane są podziały „my – oni", gdzie oni to rządzący. Być może dlatego nowy gabinet, na czele którego stanie Denys Szmyhal, jest budowany na formule kompromisu. Mają wejść do niego politycy, którzy zaczynali swoje kariery za czasów Juszczenki, ministrowie z gabinetu Arsenija Jaceniuka, kiedy był on jednym z liderów Batkiwszczyny, oraz współpracownicy Petra Poroszenki. Sam Szmyhal uchodzi za „człowieka oligarchy Achmetowa".

Jest jeszcze zbyt wcześnie, aby cokolwiek powiedzieć o zmianach w polityce ukraińskiej, które zwiastują rządowe roszady. Być może gabinet jest czymś w rodzaju „rządu zgody narodowej" w obliczu trudnej sytuacji, zarówno gospodarczej, jak i społecznej oraz międzynarodowej. Ale możliwa jest też inna interpretacja – pesymistyczna, która wskazuje, że nastąpił podział stref wpływów między oligarchicznymi klanami kontrolującymi państwowość naszego sąsiada. W którą stronę wahnie się przyszłość Ukrainy? Nie wiadomo.

O sukcesy coraz trudniej

Ivan Wierstiuk, komentator tygodnika „Nowe Wriemia", napisał o partii Zełenskiego, że „ta formacja żyje oczekiwaniami szybkich i łatwych sukcesów, które osiąga się dosłownie jeśli nie dzisiaj, to najpóźniej do środy wieczorem", czyli do dnia kiedy na cotygodniowym posiedzeniu zbiera się gabinet. A o te sukcesy coraz trudniej, zwłaszcza w obliczu stygnięcia, w efekcie chińskiej epidemii, światowej gospodarki. Obóz Zełenskiego, który jeszcze w ub.r. ogłosił ambitny plan przekształcenia Ukrainy w gospodarczego tygrysa Europy, a prasa z radością obwieściła, że w grudniu średnie wynagrodzenie przekroczyło magiczny poziom 500 dol. na zatrudnionego i być może w ciągu dosłownie 3–4 lat uda się dojść do 1000 (dla porównania w Polsce wynosiło ono w styczniu 1386 dol.), dziś musi mierzyć się z zupełnie innymi problemami.

Spowolnienie gospodarki światowej Ukraina odczuła bardzo mocno. Już w grudniu wzrost PKB obniżył się do 1,5 proc. w skali roku, a pierwsze miesiące nowego roku zapowiadają jeszcze gorszą sytuację. Handel zagraniczny osłabł, co widać w dochodach ukraińskiego budżetu, który zaczął odczuwać brak pieniędzy – w styczniu niedobór wpływów wobec planu wyniósł 24,5 proc., w lutym było nieco lepiej, bo dziura zmniejszyła się do 4,7 proc. planowanych przychodów, ale i tak rząd zmuszony został do przesunięcia w czasie wypłaty niektórych świadczeń socjalnych i waloryzacji emerytur.

W środowisku ukraińskich ekspertów ekonomicznych nie brak pesymistów, którzy twierdzą, że w tym roku w ogóle trzeba zapomnieć o zwiększeniu świadczeń społecznych, a niewykluczone, że władze staną w obliczu konieczności ich zmniejszenia, bo panika na światowych rynkach finansowych szczególnie silnie dotyka takie jak Ukraina kraje, które po to, aby móc spłacać stare długi, muszą sprzedawać własne papiery skarbowe. Tylko że w styczniu i lutym inwestorzy z Zachodu zaczęli się masowo wycofywać w obawie przed światowym kryzysem.

Na to wszystko nakłada się kryzys polityczny związany z reformą obrotu ziemią rolną. Ekipa Zełenskiego, zwalczana bezpardonowo przez opozycję (która zapomniawszy o dzielących je kwestiach, w tej akurat sprawie się zjednoczyła), najprawdopodobniej pod wpływem sondaży pokazujących, że znakomita większość Ukraińców jest przeciwko liberalizacji handlu ziemią, najwyraźniej straciła wigor do szybkich zmian i poszukuje rozwiązań kompromisowych. Tylko że półśrodki w tej akurat dziedzinie mogą znacznie utrudnić kolejny etap, przewidzianych na maj, negocjacji w sprawie kredytów z Międzynarodowym Funduszem Walutowym.

eprasa.pl 33776eaff3

Z jak zabawa w Polskę

Hanna Karp

Na całym świecie szalała chińska zaraza, a Polska była wciąż od niej wolna. Nie wszystkim się to podobało, powstało wiele spiskowych teorii o tym, jak to PiS, by odebrać opozycji polityczny show, ukryło chińskiego wirusa, by nim zaatakować w dniu konwencji wyborczych. Można też było odnieść wrażenie, że opozycja wręcz czeka na jadowite zarazki, by zaatakować nimi prezydenta Andrzeja Dudę i rząd PiS.

PRZEDSZKOLNE IGRASZKI

Najbardziej groteskowe jest jednak to, że Platforma Obywatelska po swoich rządach w latach 2007–2015 uwierzyła, że kiedy utraci władzę, wmówi Polakom, iż padła ofiarą ukrytego potwora, czyli autorytarnej sotni pod wodzą PiS. Przegrana PO-PSL ujawniła zdumiewający infantylizm i niedojrzałość nie tylko premiera Donalda Tuska, lecz i większości liderów Platformy, nie mówiąc już o przedstawicielach tak zwanej lewicy i jej „światłych" elit. Obserwując kolejne odsłony kampanii wyborczej, można odnieść wrażenie, że grupa starszaków z przedszkola za ciężkie miliony z podatków obywateli bawi się beztrosko po raz kolejny w Polskę. A w tej zabawie wszystkie chwyty są dozwolone.

Te „radosne" igraszki obserwujemy już od dawna, także podczas pamiętnej nocy z 16 na 17 grudnia 2016 r., kiedy okupowali salę parlamentarną, spożywając posiłki, śpiewając piosenki, wyciągając przedmioty ze skrytek kolegów, przesyłając filmiki ze smartfonów. Wszystko przy współpracy z zaprzyjaźnionymi telewizjami, nadającymi cały występ na żywo. Brawurowa akcja miała zaalarmować światową opinię publiczną i skłonić cywilizowany świat, by zareagował na panoszącą się w kraju nad Wisłą dyktaturę. W oparach tak zatrutej atmosfery z matrixa przychodzi nam żyć i oddychać do dziś. Jesteśmy jednak już o pięć lat starsi i z coraz większym trudem i niesmakiem przychodzi nam znosić kolejne odsłony tej kabaretowej inscenizacji.

LEWITUJĄCA KANDYDATKA

Ostatnia sobota lutego, konwencja wyborcza kandydatki KO Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Trwa na scenie w ekstazie na tle wielkich tęczowych orlich skrzydeł. Można pomyśleć, że za chwilę odleci do nieba, uśmiechnięta, unosi do góry ramiona, rozdaje spojrzenia i wierzy, że głosi dobrą nowinę. Tak może wyglądać ktoś, kto ocalił świat przed zagładą. A tymczasem nieco wcześniej apelowała do rządu, żeby nie ukrywał prawdy o śmiertelnym chińskim wirusie. Dawała do zrozumienia Polakom, że mogą się znajdować w poważnym niebezpieczeństwie zagrożenia zdrowia i życia. Czy jednak sama wierzyła w to, co mówi? Gdyby tak było, jej sztab powinien odpowiednio przygotować konwencję wyborczą, która przecież była wielkim zgromadzeniem. A więc potencjalnym siedliskiem zarazy. Zebrani powinni być zabezpieczeni przynajmniej maseczkami i płynem antybakteryjnym. Czy chcieli narazić uczestników eventu na chorobę?

Tymczasem kandydatka, chłonąc powietrze warszawskiej sali Expo, po raz kolejny obwieszczała epokowe obietnice. Zapewniała, że popierać i podpisywać będzie tylko i wyłącznie

eprasa.pl 33776eaff3

ustawy dobre, a złe zablokuje. Co zdanie rozlegały się oklaski. To była chwila, gdy kandydatka mogła bezkarnie zerknąć na pulpit. Mimo to momentami ton upojnej melodeklamacji sprawiał wrażenie, jakby sama przemawiająca była zaskoczona bezkresem swoich radosnych wizji.

„Kora, niezależnie od tego, gdzie jesteś, dziękuję ci" – taką inwokacją rozpoczęła swoje wystąpienie kandydatka KO. Wcześniej salę wypełniły dźwięki refrenu pieśni zespołu Maanam. Złowrogo dźwięczał refren „Krakowskiego spleenu": „Czekam na wiatr, co rozgoni/ ciemne skłębione zasłony". Może nie tyle ciemne zasłony, ile duch Kory unosił się nad konwencją od pierwszych chwil i pozostał tam do końca. Na początek usłyszeliśmy strofy o nowych nadziejach i nowym początku dla kraju. W miarę rozkręcania się przemawiającej padały dziesiątki kolejnych obietnic i zapewnień. Usłyszeliśmy o walce o dobry dla Polski klimat, boju o normalność, szacunek, zaufanie, uczciwość. Kandydatka przyrzekła generalną zmianę dla całego kraju, że będą rozmowy, będzie podawanie ręki. A rewolucyjnym osiągnięciem będzie realizacja głównego postulatu, dotyczącego powołania Rady Bezpieczeństwa Klimatycznego. Do tego doszły jeszcze zapewnienia o zatrzymaniu dla Polski miliardów euro z dotacji Europejskiego Zielonego Ładu; będzie też ostra walka ze smogiem i zapadnie decyzja o blokadzie przywożonych do Polski zagranicznych śmieci.

Nowa prezydent będzie też nieodmiennie bronić konstytucji, trójpodziału władzy, chronić sędziów, praworządności, bezpieczeństwa zdrowotnego, wojskowego, stać na straży rozwoju nauki i kultury. I nikt, kto złamał konstytucję, nie będzie czuć się bezpiecznie. A wszystko zwieńczyło zapewnienie o tym, że w kraju zapanuje bezpieczeństwo informacyjne. Nastąpi ono w chwili, kiedy sztab prezydent Kidawy-Błońskiej powoła Radę Bezpieczeństwa Informacyjnego. „Nic, co zostało dane, nie będzie odebrane" – zapewniła w finale gwiazda spotkania. Wszystko inne zaś od złego pochodzi – chciałoby się wyszeptać, gdy polityk schodziła ze sceny.

TYGRYSY I KOMITETY BIEDRONIA

Inni kandydaci na prezydenta też, niby Ikar, szybowali w stronę słońca. „Nie dam z siebie zrobić Adriana" – grzmiał w Jasionce pod Rzeszowem Władysław Kosiniak-Kamysz. „A w sprawach polityki nie będę słuchał żadnego biskupa" – wołał w innym miejscu. Kosiniak-Tygrys-Kamysz pokazał swój pazur. Szkoda tylko, że zamiast niego nie startuje jego elokwentna i śmiała żona, dentystka Paulina. Byłaby duża szansa, że w Pałacu Prezydenckim byłoby jeszcze ciekawiej. Przy nowatorskich obietnicach innego kandydata – Roberta Biedronia – też warto się zatrzymać. W warszawskim Domu Technika NOT z ręką na sercu zapewnił zgromadzonych o rozdziale Kościoła od państwa i przyrzekł, że zagwarantuje kobietom aborcję do 12. tygodnia ciąży.

Polacy, zapewne, porażeni gradem obietnic, 10 maja będą mieli nie lada problem. Biedroń czy Kamysz? A może Kidawa? W sukurs niezdecydowanym przyszła gazeta Adama Michnika, w której można było ostatnio przeczytać w kobiecym dodatku, że: „Podpaska to wolność". A jeśli jeszcze pójdą do kina na film, rekomendowany przez gazetę, o ojcu w ciąży, czyli jak czytamy na łamach dodatku: „Historii mężczyzny trans, który zaszedł w ciążę i urodził dziecko", nie będą już mieli wątpliwości. Wobec alternatywy: normalność czy dom wariatów, odpowiedź może być tylko jedna.

POST SCRIPTUM

Lęki i wizje nadredaktora

Przywołany wcześniej naczelny nadpremier i nadredaktor III RP z ulicy Czerskiej, podczas rozmowy z Wiktorem Jerofiejewem na łamach moskiewskiej „Nowej Gaziety", zapytany przez rosyjskiego pisarza, na czym polegają problemy opozycyjnych mediów w Polsce, odpowiedział, że chodzi tu o „nasyłanie inspekcji podatkowych, wezwania do sądu, ogólnie presję ze strony władz". I dodał złowrogie ostrzeżenie, które miało obiec cywilizowane redakcje Unii Europejskiej i wschodniego wybrzeża Ameryki: „Musimy być czujni, mamy do czynienia z bokserem, który może wyciągnąć nóż". I proszę, Jarosław Kaczyński już nie jest przedstawiany światu jako safanduła, ale bokser i nożownik. Nie jest źle.

Za to w ostatniej rozmowie, bardzo rozwlekłej, dziwnej, pełnej fobii i niezdrowych wizji (w tym, Polski w piekle, z potworami nacjonalizmu i atmosferze duszności), z red. Tomaszem Lisem Adam Michnik zdradził, że po pijanemu „prezydent Andrzej Duda już przejechał ciężarną zakonnicę na pasach". Z tego, co ostatnio redaktor zaobserwował – co też zostało ujawnione światu w tym wywiadzie – zakonnicę na pasach po pijanemu przejechał także prezydent USA Donald Trump. Ups! Chyba coś mnie ominęło. Poproszę o miejsce i inne szczegóły tych tragicznych zdarzeń.

Lis już mówi

Redaktor Tomasz Lis już wyszedł ze szpitala i odzyskał głos, który na skutek zapaści zdrowotnej na długie tygodnie utracił. Obecnie mówi z bardzo dużym trudem, więc przez springerowską tubę z całej siły dmie o tym, że chciałby poddać kwarantannie prezydenta Andrzeja Dudę i prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Premierowi Mateuszowi Morawieckiemu łaskawie wolność daruje. W imieniu „moherowych beretów" dobroczyńcy – bardzo dziękuję.

Janda uderzona tasakiem

Z ostatniej chwili: Krystyna Janda pozostaje wciąż bez radości życia, spokoju, poczucia bezpieczeństwa, poczucia wolności, sprawiedliwości i prawdy. Ostatnio doszły jeszcze dwa wrażenia – czuje się ogarnięta przez tsunami i jak porąbana... tasakiem. Zapytana niedawno o to, jak się jej żyje w Polsce PiS? Odpowiedziała: „Ojej, to jest pytanie killer! Jakby mnie pani uderzyła w głowę tasakiem, od razu!". To niedobrze! Bo przecież w przywołanej wyżej rozmowie Lisa z Michnikiem ten ostatni ostrzega: „Nie wszystko można załatwić tasakiem". Szanowna pani doktor (od września ub.r. Krystyna Janda jest doktorem honoris causa krakowskiej AST), nieustająco powrotu do zdrowia!

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 33776eaff3

Wreszcie zrozumiałam

Szukamy sposobu, jak opowiedzieć młodym, co to takiego patriotyzm? I po co nam, po co im Polska? Rozstrzygnięty został ogólnopolski konkurs na recenzję filmu „Legiony" dla uczniów szkół podstawowych i średnich zorganizowany przez Fundację Promocji Kultury i Historii Polski oraz producentów filmu pod patronatem tygodnika „Sieci". Wręczenie nagród 25 marca w Belwederze. Niepotrzebny jest chyba komentarz, niech młodzi wypowiedzą się sami. Oto fragmenty nagrodzonych prac

MACIEJ PAWLICKI

„»Legiony« to pierwszy polski super-hero movie, w dodatku niesamowicie dojrzały. Z epickim rozmachem prezentuje ludzi, którzy walczą ze złem... Superbohaterów jest wielu, lecz każdy może zostać powalony kulą. Ich supermocą nie jest umiejętność latania, celność czy pancerz, ale wiara i oddanie sprawie. Czasem silniejsze niż pistolet... To symbioza wysokobudżetowego kina superbohaterskiego z reżyserską dojrzałością, głębszą refleksją nad niepodległościową naturą. Są dywagacje o wolności i niezależności, o heroizmie i wojnie, wreszcie o samych Legionach, które dają tysiącom młodych Polaków cel, zestaw wartości i karabin. W tym tak zaskakującym filmie znajduje się znacznie więcej, niż można byłoby przypuszczać – stroni od sztampy, patosu i okrucieństwa, kreując wizję pełną zaskakujących przemyśleń... Zamiast kiczu, braku wyważenia i hurrapatriotyzmu – których się obawiałem – dostałem produkt czarujący klasą. I pierwszy polski film historyczny, którego, ze względu na rozmach budżetu, nie musimy się wstydzić".

Antoni Antoszek, III LO im. Unii Lubelskiej w Lublinie
(szkoły ponadpodstawowe – I miejsce)

* * *

„Byłam przekonana, że jest to kolejna superprodukcja zachęcająca młode pokolenie do lekcji historii. Na seans więc poszłam nastawiona sceptycznie. Jednak po obejrzeniu »Legionów« mogę powiedzieć: to nie jest zwyczajny patriotyczny film wojenny ani kolejna historia miłosna. To prawdziwe widowisko historyczne na miarę najlepszych superprodukcji amerykańskich, którego bogactwo scen batalistycznych, realizm i wiarygodność postaci, wyważona forma filmowa i brak przesadzonego patosu oraz subtelnie wpleciony wątek miłosny sprawiają, że film urzeka widza od samego początku.

Jest pełen niewymuszonej symboliki. To film o wspólnocie i jedności; o młodych ludziach, którzy swój los, swoje marzenia i ambicje utożsamiali z losem swojej ojczyzny. Wymiana odznak pomiędzy Drużyniakami i Strzelcami staje się symbolem jedności w imię wspólnej walki z wrogiem. »Od dziś waszym jedynym znakiem jest orzeł biały«, puentuje Piłsudski, a jego słowa dalekie są od wzniosłego patosu; bije z nich prawda i kwintesencja ideałów tamtych lat.

»Legiony« opowiadają również o nadziei i przemianie. O tym, że wojna jest także szansą, zaś heroiczna walka o wolność staje się wartością samą w sobie. Józek bez wojny byłby nikim, dezerterem i bezimiennym analfabetą. Legiony ofiarują mu drugie życie; dają mundur, nazwisko, cześć, ideały, a przede wszystkim przyjaźń »Króla«, z którym nawiązał relację na wzór ojcowskiej miłości. Dzięki karabinowi i godłu stał się bohaterem. Braterstwo i poświęcenie dla kolegi z plutonu jest również punktem zwrotnym w miłosnym trójkącie. Tadek przestaje być rywalem w walce o serce Oli; w miłosnych szrankach wygrywają honor i ojczyzna".

Oliwia Kamińska, SP nr 71 we Wrocławiu
(szkoły podstawowe – I miejsce)

eprasa.pl 33776eaff3

* * *

„Nie byłem zachwycony pomysłem moich rodziców, by iść na ten film. Ale to zupełnie inny obraz niż ten, który przekazują nam w szkole. Wiele razy miałem ciarki – co muszę przyznać rzadko mi się zdarza. Szczególnie zapamiętałem moment, kiedy ułani na koniach przedzierają się przez szyki nieprzyjaciela. Tak wczułem się w tę sytuację, że skakałem na kinowym fotelu.

To wspaniała historia wielu odważnych, walecznych ludzi, którzy ani przez moment nie wahali się podjąć ryzyka w walce o ojczyznę – wolną, silną, niezależną Polskę. Miałem wrażenie, że ani przez chwilę nie wątpiono w słuszność poświęcenia, a każda z tych wielkich postaci nosiła w swoim sercu najsilniejszą z broni – nadzieję.

Jestem bardzo wdzięczny moim rodzicom za to, że zabrali mnie do kina na tak niesamowity film. Wiele razy w szkole zmuszano nas do okazywania patriotyzmu, nie tłumacząc właściwie, czym on jest. Dzięki tej produkcji miałem okazję zbudować moją własną definicję tej postawy. Już teraz wiem, że to nie odśpiewanie hymnu czyni mnie Polakiem, ale świadomość znaczenia jego słów, to nie wywieszanie flagi na ważne uroczystości, ale świadomość wielkości jej symboliki...".

Rafał Graban, Technikum nr 3 w Malborku

* * *

„Scenariusz odznacza się na tle pozostałych produkcji historycznych, ponieważ prezentuje losy zwyczajnych, bliskich widzowi młodych bohaterów... to produkcja wyjątkowa, wyróżniająca się oryginalnym podejściem do wielkiej historii, pozwalająca publiczności na poznanie odysei Legionów od bliskiej, ludzkiej strony. Film można uznać za hołd złożony legionistom, głównie tym zwyczajnym, nieznanym bohaterom, których było tysiące, a którzy »miazgą swych ciał, żarem swej krwi« wywalczyli dla naszego kraju niepodległość".

Anna Masłoń, VII LO im. Nałkowskiej w Krakowie

* * *

„Kino, operując językiem w pełni zrozumiałym dla współczesnego pokolenia, potrafi ukazać fakty historyczne, których skutki przyniosły niepodległy kraj. Nazywam to walką o pamięć, ponieważ sądzę, iż wraz z czasem mówienie o tych czasach stanie się trudniejsze. Będzie spotykać się z coraz mniejszym zainteresowaniem odbiorców. Dlatego właśnie stoczenie tego boju nie jest jedynie wartościową lekcją, ale dążeniem do zachowania jednostkowej kultury w dobie globalnego ujednolicenia".

Patrycja Maj, LO nr V im. Asnyka w Szczecinie

* * *

„Muzyka powoduje, że naprawdę przenosimy się w realia filmu. Pozwala się utożsamić z tymi młodymi ludźmi, niewiele starszymi ode mnie, i zrozumieć, dlaczego porzucali spokojne i dostatnie życie i wybierali walkę, a co za tym idzie śmierć, rany, kalectwo, niewolę. Film pokazuje, że są wartości nieprzemijające, takie jak Ojczyzna, honor, lojalność, przyjaźń i miłość. Warto dla nich żyć, ale jeżeli trzeba, powinno się za nie walczyć...".

Mateusz Sacha, III LO im. Mickiewicza w Tarnowie

* * *

„Twórcy filmu nie tylko zadbali o to, aby w przepiękny sposób opowiedzieć historię miłosną. Pokazali naszą wspólną historię. W końcu bez niej nie byłoby Polski, Polaków. Nie byłoby nas. To dzięki naszym przodkom dziś jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Mamy wolność.

Po mistrzowsku zostały przekazane emocje. Hart ducha i odwaga były niezbędne, by stanąć na polu bitwy. Równoczesny strach przed śmiercią, tęsknota za domem. Cel był jasny i wspólny: by odzyskać to, co zostało bezpodstawnie odebrane. Film uczy nas, czym wtedy było poświęcenie. Bohaterowie wielokrotnie narażają życie dla bliźniego. Niekoniecznie najlepszego przyjaciela. Jednak wrogiem był tylko okupant, nikt inny. Legioniści, mimo wszystko, byli braćmi, jednością.

Ten film po prostu trzeba zobaczyć. Pobudził on we mnie patriotyzm i wdzięczność. Sprawił, że ponownie doceniam to, co mam. Nie ma chyba doskonalszej nauczycielki życia niż historia. Szczególnie kiedy zostaje opowiedziana w tak niesamowity sposób".

Maja Kraskowska, II LO im. Gałczyńskiego w Olsztynie

* * *

„Bardzo piękna i poruszająca była zamiana odznak na czapkach żołnierzy, z polecenia Józefa Piłsudskiego. Ten gest pokazał, jak ważna w Legionach była równość. Piłsudski pragnął, by nie było podziałów na lepszych i gorszych. Chciał on, żeby jego żołnierze przede wszystkim pamiętali, że pomimo braku Polski na mapie są Polakami i to jest najwyższe odznaczenie, jakie kiedykolwiek będą mogli dostać.

Liczyła się wspólna chęć wyzwolenia Polski. Dziś kiedy już nie musimy walczyć o wolność, powinniśmy spojrzeć wspólnie na tych żołnierzy i nauczyć się od nich życia w zgodzie.

»Legiony« powinien obejrzeć każdy duży i mały Polak. Przedstawiają one niesamowicie silne więzi pomiędzy bohaterami, które pokazują, jak dojrzali, pomimo młodego wieku, byli wszyscy walczący. Byli mądrzy, liczyło się dla nich tylko to, że wszyscy byli Polakami. Szczególnie mnie to poruszyło, ponieważ dzisiaj, kiedy mamy wszystko, zachowujemy się jakbyśmy nie mieli nic....

Film jest dla mnie absolutnym numerem jeden na liście filmów wojennych. Pokazuje przepiękną, patriotyczną postawę Polaków, którzy marzyli o niepodległej Ojczyźnie i zawalczyli o nią, nie zważając na czyhającą śmierć. Żyli, śmiali się, bawili, kochali, wierzyli, pragnęli, przyjaźnili się i walczyli. Widząc siebie w wolnej i niepodległej Polsce".

Amelia Błażusiak, SP im. Jana Pawła II w Lipnicy Wielkiej

* * *

„Byli to wspaniali patrioci i mimo że nieraz można zobaczyć ich drugie oblicze, które niekoniecznie może nam się podobać, to cała atmosfera sfilmowana w »Legionach« pozostawia w nas szacunek i dumę z takich rodaków.

Zwykle role kobiece w filmach wojennych ukazują kobiety w tle – jako sanitariuszki czy łączniczki. Tutaj Ola i Krysia

eprasa.pl 33776eaff3

dostają pierwszoplanowe zadanie – wysadzenie mostu. Od tego zależy istnienie polskich oddziałów. To bardzo ważna scena, dzięki niej widzimy odwagę i bohaterstwo kobiet, które pomimo swej naturalnej delikatności nie bały się ryzyka i stanięcia oko w oko z bezlitosnym wrogiem.

»Legiony« są swego rodzaju lekcją, jak walczyć i kochać. Każdy bez wyjątku powinien obejrzeć ten film, by uświadomić sobie, że »Polacy mają w sobie instynkt wolności«, że dzisiejszą wolność zawdzięczamy tylu wspaniałym i bohaterskim ludziom".

Barbara Ostrowska, Zespół Szkół nr 1 w Milanówku

* * *

„»Legiony« są piękną opowieścią o męstwie, braterstwie i miłości w czasach niewoli. Technicznie została ona zrealizowana na wyjątkowo wysokim, międzynarodowym poziomie, który niczym nie odbiega od najlepszych hollywoodzkich produkcji. Film ukazuje wielu charyzmatycznych bohaterów, z którymi widz może się utożsamiać.

»Legiony« przypominają współczesnym Polakom, a zwłaszcza młodzieży, że dla dobra i wolności Polski warto poświęcić wszystko, nawet własne życie, bo nieważne, ilu jest wrogów i jakie są szanse, o Polskę trzeba walczyć i trzeba o Niej pamiętać".

Jan Samuel, LO nr X we Wrocławiu

* * *

„Właśnie czegoś takiego potrzebowali Polacy, spojrzenia na historię i na teraźniejszość oczyma nie wielkich przywódców, tylko zwykłych, młodych ludzi, którzy pełni wiary, nadziei i entuzjazmu zapragnęli wolności. Najważniejsi są ci chłopcy i te dziewczęta, którzy wywalczyli dla nas niepodległość. Dlatego mamy młodych, nieogranych jeszcze aktorów, studentów szkół teatralnych, którzy wnieśli na plan świeżość i oryginalność.

Minęło 100 lat, a pragnienie wolności wciąż trwa. Tylko, czy dzisiejsze pokolenie młodych ludzi nastawionych na spełnianie własnych potrzeb byłoby zdolne do takiego poświęcenia? Dla mnie, 14-latki, »Legiony« to była żywa lekcja historii. Przez te dwie godziny filmu przeniosłam się w czasie. Zrozumiałam tych młodych ludzi".

Anna Marosz, SP nr 2 im. Kardynała Wyszyńskiego

* * *

„Bliskość wroga była przerażająca. Twórcy włożyli wiele wysiłku dla uświadomienia widzom koszmaru działań wojennych, uczuć pojedynczego żołnierza, jak musiał się bać, jaki był samotny, a mimo to musiał przełamać swój strach i bić się do końca. W »Legionach« wiele postaci jest godnych podziwu. Dla mnie to więcej niż żołnierze. To rycerze.

Każdy z bohaterów kocha w tym filmie. Wojna nie jest dobrym czasem na miłość, ale – jak się okazuje – miłość jest mocniejsza niż wojna".

Oliver Spinek SP w Zabrzu

* * *

„Bardzo drastyczne sceny na froncie odzwierciedlają wielkość oddania ukochanej Ojczyźnie oraz odwagę walki za ludzi, których nie znają, za ludzi, którzy będą po nich Obywatelami Rzeczypospolitej. Kierują się wartościami nieznanymi dzisiaj.

Najważniejszymi sprawami każdego z nich jest Ojczyzna, za którą są gotowi zginąć, i honor, bez którego nie byliby Polakami. Udaje im się stworzyć coś wspólnie, niezależnie od tego, kim są. Traktują się z szacunkiem, bo wszyscy walczą w imię kraju, który jest dla nich domem.

Osobą, której postawa poruszyła mnie do głębi, jest »Król«. Sytuacja, w której odmawia ratunku od śmierci jest dla większości z nas niezrozumiała. Jak można stawiać honor i Ojczyznę ponad życie? Jaką odwagę trzeba mieć, żeby zrobić coś tak nierealnego? Jak można oddać życie za ludzi, których się nie zna, za Kraj, który nie istnieje? To jest po prostu miłość.

Każdy powinien obejrzeć ten film. Przez to, że zobaczyłam »Legiony«, wreszcie zrozumiałam historię, zrozumiałam, co tak naprawdę dostałam od Obywateli, którzy wtedy oddali za mnie swoje życie".

Zofia Midor, SP nr 3 im. Mickiewicza w Żywcu

Fot. materiały prasowe x2

Hit tygodnia

Sony Xperia 1 II

Sony zaprezentowało smartfon Xperia 1 II – nowy flagowy model stworzony z myślą o szybkości, zgodny z technologią 5G i umożliwiający zdjęcia seryjne z szybkością do 20 kl./s i śledzeniem AF/AE. Czym może się pochwalić Xperia 1 II? Aparat ma trzy obiektywy (ogniskowe: 16 mm, 24 mm i 70 mm) wyposażone w najlepszą na rynku technologię Sony oraz optykę Zeiss skalibrowaną specjalnie do aparatów Xperia, 6,5-calowy wyświetlacz OLED 4K HDR o proporcjach obrazu 21:9. Smartfon zasilany jest z baterii o dużej pojemności 4000 mAh. Jej ładowanie do poziomu 50 proc. trwa zaledwie 30 min. Z kolei funkcja szybkiego ładowania bezprzewodowego Qi pozwala uzupełnić zapas energii w ruchu. Smartfon jest wodoodporny i chroniony przed pyłem, można go więc używać na deszczu i myć pod bieżącą wodą – należy jednak pamiętać o dokładnym zamknięciu wszystkich gniazd i dostarczonych osłon. Urządzenia nie wolno natomiast całkowicie zanurzać w wodzie, narażać na kontakt z napojami bądź na działanie wody słonej lub chlorowanej. Xperia 1 II trafi do sprzedaży w wersjach czarnej i fioletowej z zainstalowanym systemem Android 10. Sprzedaż rozpocznie się późną wiosną 2020 r.

premiera

Plusy i minusy

+ obsługa sieci 5G, obiektywy i najnowsze technologie Sony
– jako że to flagowiec, to – sądząc po plotkach – cena, ale to flagowiec

Nikon Coolpix P950

Aparat Coolpix P950 to kompakt typu brigde, z potężnym 83-krotnym zoomem optycznym, jest następcą modelu Coolpix P900. Zakres ogniskowych to 24–2000 mm (w przeliczeniu na tzw. pełną klatkę), a 166-krotne cyfrowe powiększenie uzyskane dzięki funkcji Dynamic Fine Zoom zwiększa maksymalną ogniskową do 4000 mm. Maksymalny otwór względny obiektywu to f/2,8, soczewka ze szkła Super ED redukuje dystorsję przy długiej ogniskowej. Aparat nagrywa filmy z dźwiękiem stereofonicznym, w rozdzielczości 4K/UHD z szybkością 30p lub w rozdzielczości Full HD (1080p) z maksymalną szybkością 60p. Coolpix P950 wyposażony jest w matrycę CMOS w technologii BSI o rozdzielczości 16 mln pikseli, ma także możliwość zapisu plików w formacie RAW (NRW). Jasny wyświetlacz LCD o przekątnej 8,1 cm (3,2 cala) i rozdzielczości 921 000 punktów można przechylać oraz obracać w niemal każdym kierunku. **Cena: ok. 4 tys. zł**

Razer Viper Mini

Firma Razer zaprezentowała kompaktowy model myszki gamingowej Viper, skierowany do osób o mniejszych dłoniach. Nowa myszka jest jak dotąd najlżejszym „gryzoniem" Razera o wadze wynoszącej zaledwie 61 g, prawie o połowę mniejszym od przeciętnego urządzenia tego typu. Myszka ma konstrukcją zarówno dla prawo-, jak i leworęcznych graczy. W nowe urządzenie wbudowano przełączniki optyczne Razer oraz sześć programowalnych przycisków. Za responsywną i precyzyjną rozgrywkę odpowiada sensor o czułości 8500 DPI i śledzeniu 300 IPS. Ma podświetlenie Chroma RGB typu underglow oraz możliwość zapisywania profili w pamięci urządzenia. Sugerowana cena detaliczna: 49,99 euro.

premiera

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 33776eaff3

Podatek cukrowy. Kogo ratuje, a komu szkodzi

Burzę, jaką wywołuje tzw. opłata cukrowa, która ma być w Polsce odprowadzana od napojów słodzonych, w tym nektarów i napojów owocowych oraz warzywnych, zawierających co najmniej 20 proc. naturalnego soku z owoców i/lub warzyw, trudno pominąć i zlekceważyć. Niezwykle emocjonalna dyskusja trafiła na początek kampanii prezydenckiej, choć posłowie tzw. ustawę cukrową przegłosowali przed jej rozpoczęciem. Eksperci i branża producentów napojów alarmują, że nowy podatek podniesie ceny i tym samym uderzy w konsumentów. Nie przyczyni się natomiast, w ich opinii, do wzrostu postaw prozdrowotnych Polaków, a taki jest właśnie postulowany główny cel dokonywanych zmian prawnych

W debacie poświęconej proponowanym przepisom, zorganizowanej w redakcji „Gazety Bankowej”, udział wzięli: Janusz Cieszyński, wiceminister zdrowia – resortu, który jest autorem „cukrowego podatku”, Katarzyna Średnicka, naczelnik Wydziału Produktów Roślinnych w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi, a także reprezentujący branżę producentów Julian Pawlak, prezes Stowarzyszenia Krajowa Unia Producentów Soków, oraz eksperci: dr Dawid Piekarz, wiceprezes Instytutu Staszica, i Kamil Orzeł, członek zarządu Fundacji Republikańskiej.

Sejm uchwalił 14 lutego ustawę wprowadzającą opłaty od alkoholu sprzedawanego w opakowaniach o objętości do 300 ml, tzw. małpek, oraz opłaty od słodzonych napojów. Zgodnie z regulacją wprowadzenie opłat od napojów słodzonych i energetycznych ma część stałą i zmienną. Opłata stała to 50 gr za litr napoju z dodatkiem cukru lub substancji słodzącej, dodatek 10 gr za litr napoju z dodatkiem substancji aktywnej (kofeina lub tauryna). Opłata zmienna to 5 gr za każdy gram cukru powyżej 5 g na 100 ml w przeliczeniu na litr napoju. Z opłaty stałej zwolnione są m.in. napoje zawierające co najmniej 20 proc. soku owocowego, warzywnego lub owocowo-warzywnego. Nowe przepisy trafiły do Senatu, tymczasem eksperci, uczestnicy rynku, producenci i publicyści ekonomiczni wciąż pytają: czy w przypadku opodatkowania słodzonych napojów nie wylewamy dziecka z kąpielą? Na pytanie, które brzmi: czy podatek cukrowy naprawdę wzmocni zdrowie Polaków – a taki ma być według wnioskodawcy ustawy jego główny cel – branża znajduje mocne i logiczne argumenty przeciw. Ministerstwo Zdrowia wyjaśnia, odnosząc się do tych argumentów, i przekonuje, jak ważne jest, byśmy zdecydowanie zareagowali na problemy ze zdrowiem Polaków.

TO NIE JEST NOWY POMYSŁ

– Trzeba jasno powiedzieć, że proponowane przez nas rozwiązania nie są eksperymentem, to nie jest jakiś nowy pomysł. To wdrożenie skutecznego, sprawdzonego w wielu innych państwach rozwiązania, zakładającego jednocześnie specyfikę polskiego rynku. Rozmawialiśmy na ten temat z przedsiębiorcami, z producentami – mamy za sobą konstruktywne dyskusje, ale konsultacje nie są przecież po to, by wprowadzić do przepisów zmiany wymagane przez jedną ze stron. Zależało nam na tym, by przepisy sformułować tak, by cel zdrowotny, który nam przyświeca, zrealizować właśnie bez wylewania dziecka z kąpielą – wyjaśniał minister Cieszyński. – Właśnie po tych konsultacjach do przepisów trafiły zmiany premiujące tzw. reformulację napojów, tak by zawierały coraz mniej cukru, na korzyść soku z owoców. Premiujemy też produkty zawierające dodatkowe walory zdrowotne i odżywcze, wobec napojów składających się z wody, cukru i substancji smakowej czy aromatu.

Minister przywołał też wyniki badań, które znalazły się w raportach WHO (Światowej Organizacji Zdrowia), a z których wynika, że osoby pijące więcej porcji słodzonych napojów dziennie są o 26 proc. bardziej narażone na zachorowanie na cukrzycę typu 2. To nic nowego, tymczasem polskie dzieci tyją najszybciej w Europie, a spożycie cukru przetworzonego w ciągu ostatniej dekady wzrosło w Polsce o 12 kg na głowę mieszkańca. Mamy zatem problem.

– Rolą Ministerstwa Zdrowia jest, by ten problem rozwiązać za pomocą

Zdjęcia Andrzej Wiktor

eprasa.pl 33776eaff3

uznanych i znanych narzędzi, tak by w jak najmniejszym stopniu wpłynąć równocześnie na swobodę prowadzenia działalności gospodarczej w Polsce – mówił wiceminister zdrowia. – Światowa Organizacja Zdrowia, od której uzyskaliśmy pozytywne recenzje, nie tylko wskazała, że idziemy w dobrym kierunku, ale też wykazała, że tą drogą skutecznie poszły inne kraje na świecie.

W trwającej od tygodni dyskusji nikt nie kwestionuje jednak, że mamy problem z nadwagą i otyłością i należy coś z tym zrobić. Branża zwraca jednak uwagę, że kilkadziesiąt tysięcy ton owoców krajowych nie zostanie zagospodarowanych. Podatek cukrowy może się okazać szczególnie dotkliwy zarówno dla sadowników, jak i producentów polskich jabłek i owoców miękkich, takich jak czarna porzeczka, aronia czy wiśnia. Minister Cieszyński wyjaśniał, że opłaty premiują stuprocentowe soki, które nie są objęte podatkiem, i napoje zawierające naturalne soki, a opłata jest trzykrotnie wyższa dla napojów bez soku z owoców i/lub warzyw.

ZMIENIA SIĘ KONSUMENT

– Sektor producentów owoców zgłaszał uwagi do projektu. Co roku produkujemy w Polsce 4–5 mln ton owoców, z czego ok. 3 mln ton to jabłka. Zagospodarowujemy nadwyżki produkcyjne eksportem głównie owoców przetworzonych. Zdajemy sobie sprawę z tego, że podatek cukrowy może mieć wpływ na branżę owocowo-warzywną, a także na inne branże. Konsumenci będą podejmować inne, nowe decyzje zakupowe, choć dokładna analiza skutków jest dziś bardzo trudna. Liczymy na to, że produkty owocowo-warzywne będą się stawały coraz bardziej popularne, że będą tańsze wobec produktów wysoko słodzonych – mówiła Katarzyna Średnicka, naczelnik Wydziału Produktów Roślinnych w Ministerstwie Rolnictwa. – To oznaczałoby wyższą sprzedaż soków owocowo-warzywnych z dużą zawartością naturalnego soku. Branża będzie się dostosowywała do potrzeb rynku – tak jak to robi od lat. Dziś konsument stał się bardziej wymagający, uważnie czyta etykiety, zwraca uwagę na skład napoju, na zawartość cukru. Ci producenci, którzy na to zareagowali, dziś dobrze sobie radzą.

Katarzyna Średnicka zwracała też uwagę na prowadzony w szkołach „Program dla szkół", w ramach którego uczniom udostępniane są owoce i warzywa, a także mleko i produkty mleczne, oraz realizowane akcje edukacyjne, by od najmłodszych lat kształtować dobre nawyki żywieniowe młodzieży. Branża reaguje też na te zmiany i potrzeby, odpowiednio modyfikując produkty, a także wspierając programy edukacyjne.

DLACZEGO NIE BATONIKI I PIWA SMAKOWE?

Skoro walczymy z cukrem i słodyczami, pojawiło się też pytanie o opodatkowanie wszystkich produktów zawierających cukier. Skoro mamy płacić za słodkie napoje, to dlaczego nie za słodkie batoniki? „Nowa danina ma charakter niezwykle wybiórczy, tzn. nie »karze« cukru jako takiego, lecz nakłada karę wyłącznie na słodzone napoje. Ta kategoria zużywa tylko 19 proc. cukru

eprasa.pl 33776eaff3

Janusz Cieszyński, wiceminister zdrowia

Kamil Orzeł, członek zarządu Fundacji Republikańskiej

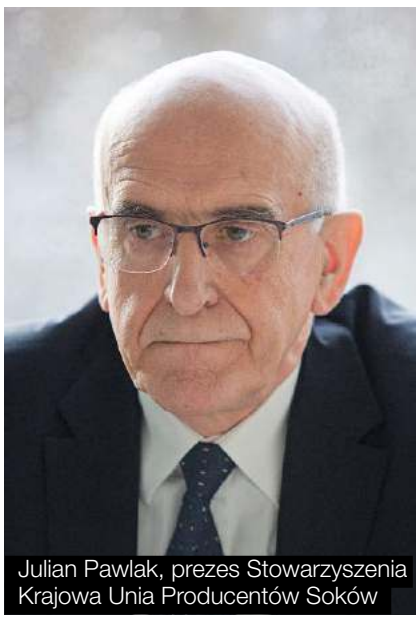
Julian Pawlak, prezes Stowarzyszenia Krajowa Unia Producentów Soków

spożywanego w Polsce. Z niezrozumiałych względów nie uwzględnia słodyczy i innych produktów słodzonych. Tymczasem głównym źródłem cukru w diecie Polaków są słodkie przekąski (typu czekolada, wyroby czekoladowe, cukierki, wyroby ciastkarskie, lody), a nie napoje. [...] Pół biedy, kiedy dotyczy to np. wyrobów cukierniczych czy lodów. Gorzej, kiedy nawet nie tyle nie dyskryminuje, co fiskalnie wspiera niektóre napoje alkoholowe, zwłaszcza piwa smakowe i typu radler, względem napojów bezalkoholowych” – czytamy w raporcie Instytutu Staszica.

– Krytykowaliśmy sposób wprowadzania tych przepisów i istotne braki systemowe tego projektu – mówił podczas debaty „Gazety Bankowej” dr Dawid Piekarz, wiceprezes Instytutu Staszica. – Czy to będzie skuteczne, czy nie – nie rozstrzygniemy dziś, rozumiem, że jest wola polityczna, by taki podatek wprowadzić. To, na co zwracamy uwagę, to fakt, że projekt zatyka jedną dziurę i tworzy równocześnie kilka nowych. To trochę tak jak z alkoholem. Z polskich przepisów można wysnuć wrażenie, że alkohol w wódce jest zły, a ten w piwie już nie tak bardzo. Jeśli ustawa ma promować prozdrowotne wybory Polaków, to Ministerstwo Zdrowia, budując politykę związaną z obniżeniem spożycia cukru, demoluje zarazem politykę antyalkoholową. Skoro piwo radler będzie niżej opodatkowane niż większość napojów, trudno znaleźć w tym logikę działań prozdrowotnych.

> WHO wymienia słodzone napoje w gronie głównych winowajców wzrastającej otyłości społeczeństw

Czy logika działań wszystkich resortów i twórców przepisów mogłaby wynikać z narodowej strategii prozdrowotnej, której wciąż się nie doczekaliśmy? Mamy kilka polityk w różnych obszarach, które nieraz się wykluczają lub sobie przeszkadzają.

PIWO I SPORT

Minister Cieszyński, wyjaśniając intencje twórców przepisów, wracał do raportów WHO, które właśnie słodzone napoje wymieniają w gronie głównych winowajców wzrastającej otyłości społeczeństw, a interwencje państwowe w tym segmencie uznały za najskuteczniejsze.

– Warto pamiętać, że ustawa o wychowaniu w trzeźwości sygnalizuje w przepisach, że jeśli ktoś już spożywa alkohol, to lepiej, żeby były to napoje niskoprocentowe – mówił na marginesie minister Cieszyński. – Można z tym dyskutować, ale to jest obowiązujący w Polsce stan prawny. Strategia jest – choćby onkologiczna, zakładająca właśnie finansowanie działań edukacyjnych, sportowych, prewencyjnych. Ustawa o opłacie cukrowej też przeznacza pozyskane środki na działania prozdrowotne – choćby wsparcie zajęć SKS w szkołach. To są konkretne pieniądze na bardzo jasno sprecyzowane cele prozdrowotne. Wierzę też, że głównym beneficjentem zmian będą w stu procentach naturalne soki. To jest argument dla sadowników.

Branża sadowników podnosiła jednak wątek vacatio legis nowych przepisów, zbyt krótki, ich zdaniem, by odpowiednio zareagować na opłaty.

– Ostatecznie udało się wprowadzić poprawkę zakładającą wejście nowych przepisów od lipca 2020 r., a nie od kwietnia, jak było w pierwotnym projekcie – wyjaśniał Julian Pawlak, prezes Stowarzyszenia Krajowa Unia Producentów Soków. – To jednak nadal jest za krótki czas na reakcję, choćby na wspomnianą już reformulację. W Wielkiej Brytanii analogiczne przepisy wprowadzano dwa lata.

eprasa.pl 33776eaff3

Katarzyna Średnicka, naczelnik Wydziału Produktów Roślinnych w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi

dr Dawid Piekarz, wiceprezes Instytutu Staszica

WIĘCEJ OWOCÓW I WARZYW

Prezes Pawlak zwracał też uwagę na brak skoordynowanych działań wynikających z ogólnej strategii, której najwyraźniej brakuje – choćby akcji edukacyjnych, których celem będzie promowanie zdrowych wyborów pod kątem produktów, ale też nakłanianie do aktywności fizycznej. Bez takich działań żadne zakazy czy nakazy nie przyniosą efektów.

Podkreślał, że branża cały czas pracuje nad reformulacją i podejmuje konkretne działania – podnosimy zawartość warzyw i owoców w produktach. Na rynku pojawiły się już kilka lat temu napoje z udziałem naturalnych soków, które nie są w ogóle dosładzane cukrem i zawierają do 60 proc. naturalnego składnika owocowego i/lub warzywnego. Natomiast nie każdy produkt, czego przykładem jest np. nektar z czarnej porzeczki czy wiśni, da się tak przeformułować – mówił prezes Pawlak.

– Obawiamy się, że będzie podobnie jak w Danii, która jako pierwszy kraj wprowadziła opłatę od napojów, i ostatecznie się z niej wycofała. Duńczycy zaczęli się zaopatrywać w napoje za granicą. Zwracam także uwagę na to, że ani Czesi, ani Słowacy, ani pozostali sąsiedzi Polski takich opłat nie wprowadzili, co w konsekwencji doprowadzi do wzmocnienia ich gospodarek, a osłabienia naszej.

> Dania jako pierwszy kraj wprowadziła opłatę od napojów i ostatecznie się z niej wycofała. Duńczycy zaczęli się zaopatrywać w napoje za granicą

Eksperymentowanie na żywym organizmie może doprowadzić do nieodwracalnych strat. W świetle deklarowanego przez nasz rząd wspierania polskich produktów programami typu „Polska smakuje", „Produkt polski", mamy uzasadnione obawy o dyskryminacyjny charakter ustawy, szczególnie dla polskiego ogrodnictwa i przetwórstwa owoców i warzyw. Polska już w latach 70. opracowała unikalne receptury napojów oraz nektarów z wysoką zwartością soków i przecierów z owoców i warzyw – i tę technologię stosuje do dziś. To nasza narodowa duma. Wprowadzenie podatku cukrowego doprowadzi do częściowej likwidacji tej ważnej grupy napojów, a także do likwidacji kilku tysięcy miejsc pracy. Wiele firm, szczególnie małych i średnich, będzie zagrożona upadłością. Dlatego stanowczo wnosimy o wprowadzenie dalszych zmian, czyli całkowitego wyłączenia spod opłaty napojów z zawartością soku owocowego co najmniej 20 proc.

Przykładowo Węgrzy, wprowadzając opłatę cukrową, postąpili rozsądnie, zwalniając z niej wszystkie napoje z wysokim udziałem owoców i warzyw. A jest to kraj z silnym sektorem owocowo-warzywnym, konkurującym z nami na rynkach światowych.

Wagę prewencyjnego charakteru działań prozdrowotnych podkreślał Kamil Orzeł, członek zarządu Fundacji Republikańskiej.

– Zakładane na tym etapie wpływy do budżetu z tytułu wprowadzenia opłat cukrowych to ok. 3,2 mld zł. W Wielkiej Brytanii wpływy były jednak na poziomie 50 proc. założeń, a procent spożycia cukru przetworzonego wzrósł, bo konsumenci przerzucili się na inne słodkie produkty, kompensując wyższe ceny słodkich napojów. Mówiliśmy o Danii, która wycofała się z tych przepisów. Znam raporty, które nisko oceniają skuteczność wyższych podatków w działaniach prozdrowotnych. Zatem trudno dziś cokolwiek planować – mówił Kamil Orzeł. – Czy jest ryzyko zastępowania napojów owocowych piwem radler? Jest, bo z badań wynika, że wielu konsumentów nie traktuje smakowych piw jako alkoholu.

– Proces legislacyjny się toczy i mimo że jest już poza bezpośrednim wpływem rządu, a nawet trochę poza politycznym wpływem partii rządzącej – w Senacie, zaprosiliśmy stronę społeczną, branże zainteresowane projektem, by jeszcze raz przedyskutować możliwe potrzebne poprawki w przepisach, choć na razie nie udało się niczego uzgodnić – wyjaśnił minister Cieszyński. – Jeśli mniej podatków wpłynie z tytułu sprzedaży słodzonych napojów, to będzie oznaczało, że odnieśliśmy sukces – bo mniej ich kupiono. Pamiętajmy – mówił wiceminister zdrowia – co jest celem wprowadzenia tych przepisów – efekt ekonomiczny, fiskalny czy zdrowotny?

(mac)

eprasa.pl 33776eaff3

Na LOTOSIE benzyna, diesel, prąd i... wodór

Z Pawłem Janem Majewskim, prezesem zarządu Grupy LOTOS SA, o potencjale gdańskiej rafinerii przed fuzją z Orlenem, strategii na przyszłość i produkcji oczyszczonego wodoru dla transportu, rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")

Rafineria LOTOSU to z pewnością jeden z najnowocześniejszych obecnie zakładów tego typu na świecie. Sprawiły to programy inwestycyjne zrealizowane w ostatnich latach. W tym samym czasie rafinerie europejskie szukają nowych technologii i optymalizują produkcję, stawiając na rozwój alternatywnych produktów. Czy LOTOS ma także swój pomysł na rozwój?

Paweł Jan Majewski: Uruchomiono już wszystkie instalacje Projektu EFRA. Dzięki nim nasz zakład stał się jeszcze bardziej efektywny oraz zwiększył swoją elastyczność w zakresie optymalizowania produkcji. To z kolei przekłada się na naszą konkurencyjność, również w przypadku zmian cen na rynku surowców i produktów naftowych. Finalizacja tego projektu nie oznacza jednak, że nie myślimy już o kolejnych inwestycjach. Przede wszystkim chcemy się rozwijać w obu segmentach, czyli zarówno w obszarze produkcji i handlu, jak i poszukiwawczo-wydobywczym. Takie podejście przekłada się na stabilizację finansową naszego koncernu.

Od wielu miesięcy zespoły składające się z naszych najlepszych specjalistów analizują poszczególne projekty inwestycyjne. Tym, na którym najbardziej nam zależy, jest budowa Hydrokrakingowego Bloku Olejowego. Umożliwi on m.in. produkcję wysokiej jakości bazowych olejów smarowych. Nadal poważnie rozważamy też pro-

eprasa.pl 33776eaff3

jekt budowy elektrociepłowni. Dzięki tej inwestycji zwiększylibyśmy nie tylko bezpieczeństwo energetyczne naszego zakładu, lecz również nasze portfolio produktowe. Jednocześnie pracujemy nad systematycznym zwiększeniem wydobycia ropy i gazu wszędzie tam, gdzie prowadzimy naszą działalność.

Produkcja wodoru i paliw alternatywnych – w kontekście zmniejszającego się potencjału diesla i benzyny – staje się jedyną drogą rozwoju przemysłu rafineryjnego? A może jednak pogłoski o śmierci paliw tradycyjnych są mocno przesadzone?

Badania oraz prognozy pokazują, że pozycja paliw tradycyjnych pozostanie niezagrożona jeszcze przez wiele lat. Natomiast nie zmienia to faktu, że LOTOS konsekwentnie angażuje się w wiele projektów pozwalających na szersze zastosowanie paliw alternatywnych w transporcie – zarówno energii elektrycznej, jak i wodoru czy gazu ziemnego w postaci sprężonej lub skroplonej.

Pracujemy nad rozszerzeniem o nowe lokalizacje naszego Niebieskiego Szlaku, dzięki któremu obecnie kierowcy samochodów elektrycznych i hybrydowych mogą się swobodnie poruszać autostradami A1 i A2 między Warszawą a Trójmiastem. Kolejne punkty pojawią się jeszcze w tym roku. Natomiast docelowo zakładamy, że do 2022 r. będzie ich łącznie 130.

Aktywnie działamy też w kwestii wodorowej. Grupa LOTOS jako pierwsza w Polsce będzie producentem oczyszczonego wodoru, który można zastosować w transporcie opartym na ogniwach paliwowych. To dzięki projektowi Pure H2 współfinansowanemu ze środków unijnych. Wreszcie to pod szyldem LOTOSU na dwóch stacjach – w Gdańsku i Warszawie – będzie można po raz pierwszy zatankować na stacji wodór.

„Polska mogłaby wykorzystać wodór najskuteczniej w dwóch dziedzinach – energetyki oraz transportu. Ta pierwsza mogłaby oznaczać wprowadzenie nowych rozwiązań do naszego miksu energetycznego, w efekcie czego istniałaby szansa na wykorzystanie nowych, bezemisyjnych technologii, które zasilałyby nasze domy, przedsiębiorstwa czy instytucje. Druga z kolei, dotycząca transportu, pozwoliłaby przestawić się z dotychczasowych paliw na wodorowe innowacyjne napędy" – mówią eksperci. Czy analizujecie w LOTOSIE potencjał tego paliwa?

Dodam jeszcze, że wspomniany przeze mnie oczyszczony wodór może być wykorzystywany także w przemyśle informatycznym, medycynie czy przemyśle spożywczym. Na razie tak czysty wodór musi być importowany, dlatego jego powszechne użycie jest dość ograniczone. Stąd nasza inwestycja w projekt Pure H2.

Oczywiście cały czas analizujemy potencjał wodoru. Uważamy, że technologie wodorowe w transporcie będą się rozwijały w pierwszej kolejności w oparciu o transport publiczny. Dlatego koncern podpisał list intencyjny z władzami Gdyni, który zakłada realizację dostaw wodoru do napędu autobusów z ogniwami paliwowymi. Podobny list podpisano też z gminą Wejherowo.

Koncern nie ogranicza się do transportu drogowego. Spółki LOTOS Lab i LOTOS Kolej realizują projekt budowy dwóch prototypowych lokomotyw manewrowych o napędach hybrydowych. Oznacza to, że obie modernizowane lokomotywy będą miały napęd elektryczny z baterii litowo-jonowej, natomiast napęd alternatywny będzie w jednej z lokomotyw spalinowy, a w drugiej wodorowy.

LOTOS dysponuje największą i najlepiej zorganizowaną siecią logistyczną – głównie kolejową. To stanowi też o sile i wartości grupy. Czy w tej dziedzinie planują państwo inwestycje i rozwój? Pytam także w kontekście taboru kolejowego, którego modernizacja w Polsce odbywa się wreszcie na ogromną skalę.

W ubiegłym roku spółka LOTOS Kolej otworzyła nowy ośrodek szkolenia maszynistów z pełnozakresowym symulatorem nowoczesnej lokomotywy elektrycznej Dragon 2. Funkcjonujemy już na rynku niemieckim, a w tym roku rozszerzamy działalność na Czechy. Poza tym realizujemy projekt intermodalny, na który pozyskaliśmy dofinansowanie z Unii Europejskiej, zakładający pozyskanie 326 jednostek taboru. To wszystko ze względu na rosnące zapotrzebowanie na przewóz kontenerów.

Dążymy do dalszego unowocześniania taboru, co jeszcze bardziej poprawi ofertę dla naszych klientów. Zamierzamy też unowocześnić nasze systemy informatyczne, które już w tej chwili pozwalają m.in. na monitorowanie online położenia naszych pociągów oraz wagonów, co ma duże znaczenie zarówno dla klienta, jak i dla LOTOS Kolej ze względów bezpieczeństwa i optymalizacji logistyki przewozów.

Zagadnieniem obowiązkowym w rozmowach o polskich rafineriach stało się już pytanie o fuzję PKN Orlen z Grupą LOTOS. Proces trwa, toczą się rozmowy w Komisji Europejskiej. W ubiegłym tygodniu została zatrzymana procedura „stop the clock". Jak ocenia pan proces przejęcia kapitałowego Grupy LOTOS?

Bacznie przyglądam się temu procesowi i temu, jak cała transakcja zostanie ostatecznie ukształtowana. Musimy natomiast pamiętać, że zarówno LOTOS, jak i ORLEN mają tego samego właściciela. Dlatego naturalne jest, że analizuje on różne, nowe modele organizacji energetyki. Wielkim wyzwaniem jest też samo bycie częścią tego procesu konsolidacyjnego, którego celem jest stworzenie podmiotu o potencjale umożliwiającym większą ekspansję również poza granicami naszego kraju. Podmiotu, który wzmocni pozycję gospodarczą Polski na arenie europejskiej.

Razem jesteśmy w stanie efektywniej planować kolejne inicjatywy inwestycyjno-rozwojowe, a co za tym idzie, lepiej konkurować na europejskim rynku. Nie bez znaczenia dla takiego połączonego podmiotu pozostaje też nadmorskie położenie LOTOSU. Dzięki niemu będzie można bardziej optymalnie zarządzać wspólną logistyką.

eprasa.pl 33776eaff3

Rok rekordów komercyjnych, rozwoju technologicznego i odpowiedzialnego zarządzania

Bank Pekao SA w 2019 r.: bankowość detaliczna, MŚP i korporacyjna z dwucyfrową, najwyższą od dekady dynamiką wzrostu dochodów komercyjnych

Wzrost powtarzalnego zysku netto o 10 proc., wzrost dochodów komercyjnych o 12 proc., najlepsza w sektorze poprawa wskaźnika kosztów do dochodów, ponad 200 mld zł aktywów i rekordowa akwizycja nowych klientów, przy jednoczesnym usprawnianiu procesów biznesowych. Jak podał zarząd Pekao, miniony rok pokazał konsekwencję i skuteczność w realizacji strategii banku i jego odporność na ryzyka systemowe. Opierając się na trzech filarach – wzrost i efektywność, innowacyjność i troska o klienta oraz odpowiedzialny biznes – Bank Pekao osiągnął największą sumę bilansową w historii, przekraczając 200 mld zł. Dochodowość rosła dwucyfrowo we wszystkich segmentach działalności biznesowej dzięki największej dotąd akwizycji nowych klientów. Dzięki transformacji cyfrowej bank osiągnął najlepszą w sektorze poprawę efektywności operacyjnej, utrzymując czołową pozycję w zakresie zarządzania ryzykiem.

– Rok 2019 był czasem rekordów komercyjnych, wzrostów efektywności i odpowiedzialnego zarządzania. To był rok, który pokazał skuteczność w zarządzaniu. Możemy się pochwalić najlepszą sumą bilansową w historii. Jestem dumny, że zostaliśmy niedawno uznani za najlepszy bank inwestycyjny w Europie Środkowo-Wschodniej – powiedział Marek Lusztyn, prezes Banku Pekao SA. – Jesteśmy bankiem najbardziej odpornym na ryzyka systemowe, a jednocześnie liderem finansowania transformacji energetycznej w Polsce. Zajęliśmy trzecie miejsce w Europie w stress testach Europejskiego Urzędu Nadzoru Bankowego – dodał.

Skonsolidowany zysk netto Banku Pekao w 2019 r. wzrósł o 10 proc. r/r (w ujęciu porównywalnym) i nominalnie wyniósł 2,165 mld zł. Miniony rok przyniósł bardzo dobre rezultaty działalności komercyjnej. Bankowość detaliczna, MŚP i korporacyjna odnotowały dwucyfrową, najwyższą od dekady dynamikę wzrostu dochodów komercyjnych o 12 proc.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 1/0320/F

eprasa.pl 33776eaff3

Aktywa Grupy osiągnęły rekordowy poziom 200 mld zł i były wsparte wzrostem portfela kredytów o 8 proc. Pekao utrzymał pozycję lidera w zakresie efektywności kosztowej w 2019 r. Bank obniżył powtarzalny wskaźnik kosztów do dochodów do poziomu 41 proc. na koniec roku, będąc na dobrej drodze do osiągnięcia celu strategicznego 40 proc. w 2020 r.

– Rezultaty banku za 2019 r. oddają strategię zrównoważonego wzrostu i odpowiedzialnego podejścia do bankowości, w którym klient i jego dobro są dla nas najważniejsze – powiedział Marek Lusztyn, prezes Pekao. Otwieramy nową dekadę w historii banku z aktywami po raz pierwszy przekraczającymi 200 mld zł, a wyniki stawiają nas w gronie najszybciej rosnących banków w Polsce. Jesteśmy liderem efektywności kosztowej i utrzymaliśmy wiodącą pozycję w zarządzaniu ryzykiem.

Bank utrzymuje czołową pozycję w sektorze w zakresie kosztów zarządzania ryzykiem – wskaźnik ten na koniec 2019 r. osiągnął poziom 43 pb.

– Byliśmy zawsze jednym z najbezpieczniejszych banków w sektorze i to się nie zmieniło. Pozostajemy pod tym względem w czołówce nawet w Europie – skomentował wyniki finansowe Tomasz Kubiak, wiceprezes Banku Pekao SA, nadzorujący działalność Pionu Finansowego. – To dlatego, że dla nas bezpieczeństwo zawsze było i jest bardzo ważne. Nigdy nie sprzedawaliśmy produktów, które mogą być szkodliwe dla klienta albo narażać go na kłopoty – dodał.

Dynamika kosztów operacyjnych nieprzerwanie pozostaje poniżej poziomu inflacji mimo bieżących inwestycji w transformację operacyjną i cyfryzację.

Zeszły rok był rekordowy pod względem liczby nowo otwartych kont dla klientów indywidualnych. W całym Bank Pekao otworzył ich aż 455 tys., czyli 12 proc. więcej niż rok wcześniej, i 65 proc. więcej niż w 2017 r. W tym roku celem dla Pekao jest otwarcie 0,5 mln nowych rachunków.

Bank umacnia wiodącą pozycję wśród banków zorientowanych na pozyskanie młodych klientów. W 2019 r. liczba pozyskanych nowych klientów w wieku 13–17 lat była o 60 proc. wyższa w porównaniu z 2018 r., a wzrost liczby pozyskanych klientów do 26. roku życia wyniósł 26 proc. r/r.

INNOWACYJNOŚĆ PRZEDE WSZYSTKIM

Pekao jako pierwszy w Polsce wprowadził możliwość zakładania konta na selfie. Liczba użytkowników bankowości mobilnej nieustannie rośnie. Na koniec 2019 r. bank miał ich 1,7 mln, czyli o 33 proc. więcej niż rok wcześniej i dwa razy więcej niż w 2017 r. Bank odnotował rekordową sprzedaż kont osobistych na poziomie 455 tys., czyli 12 proc. wyższą niż rok wcześniej.

Otwarcie banku na młodych i mobilnych klientów przekłada się na stały wzrost liczby aktywnych użytkowników bankowości mobilnej. Na koniec ub.r. było ich prawie 1,7 mln – o jedną trzecią więcej niż rok wcześniej i dwa razy więcej niż w 2017 r. Przynosi również efekty widoczne w sprzedaży produktów banku. Nawet 20 proc. nowych kont zakładanych jest z wykorzystaniem kanałów zdalnych, a 40 proc. pożyczek gotówkowych jest sprzedawane online lub przez aplikację mobilną PeoPay.

W minionym roku bank zaproponował klientom wiele ciekawych rozwiązań. Wdrożył nowy serwis transakcyjny Pekao24 oparty na rozwiązaniach omnichannel, a także dodatkowe funkcje w aplikacji PeoPay (m.in. przelewy na telefon BLIK, Google Asystent, Garmin Pay, Fitbit Pay i autoryzację mobilną).

EKOLOGICZNIE Z PEKAO

Jak deklarują przedstawiciele zarządu, Pekao jest bankiem odpowiedzialnym społecznie, przywiązującym wysoką wagę do zrównoważonego rozwoju i inicjatyw przyjaznych środowisku naturalnemu.

Bank wspiera transformację energetyczną. W 2019 r. przeznaczył ponad 1,2 mld zł na finansowanie efektywności energetycznej i odnawialnych źródeł energii. Finansował m.in. budowę największej lądowej farmy wiatrowej w Polsce – Potęgowo na Pomorzu, a niedawno rozpoczął akcję „Zadbaj o dobry klimat", czyli nową ofertę Pożyczki Ekspresowej na cele ekologiczne, a dla klientów z obszaru MŚP wprowadził do oferty kredyt PrzEKOrzystny na zakup paneli fotowoltaicznych.

Wewnątrz organizacji Pekao systematycznie termomodernizuje swoje budynki i zakłada na nich instalacje fotowoltaiczne. Upraszcza także procedury wewnętrzne, co pozwala na znaczne oszczędności w zakresie materiałów, oraz rozwija ekologiczny wolontariat – sadzenie drzew oraz czyszczenie lasów i parków. Dba również o równouprawnienie i brak dyskryminacji w środowisku pracy. Za te działania został wyróżniony włączeniem do globalnego indeksu Bloomberg Gender-Equality jako jedyna firma w Polsce i jedna z nielicznych w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej.

eprasa.pl 33776eaff3

MAGDALENA WSZELAKI PISARKA

Wsłuchując się w swoje ciało

Kiedy była dzieckiem, wyjechała z rodzicami za granicę. Dziś mieszka w Kolorado. Jest farmaceutką, dietetyczką i ekspertką ds. hormonów i żywienia. Założyła serwis HormonesBalance.com.

Po latach pracy z pacjentkami borykającymi się z różnymi schorzeniami (m.in. PCOS, Hashimoto, endometrioza), mającymi problemy z utrzymaniem wagi, wahaniami nastroju i zmęczeniem (nie tylko związanymi z menopauzą), opracowała autorski plan pomagający odzyskać równowagę hormonalną.

„Nie istnieją żadne magiczne pokarmy ani zioła, które niezwłocznie zniwelują problemy hormonalne" – napisała we wstępie do książki, która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Znak. „Jednakże, jako strażniczka swego ciała, możesz stworzyć środowisko sprzyjające wytwarzaniu, metabolizowaniu i wydzielaniu hormonów w taki sposób, aby uzyskać pożądaną równowagę (...). Troska o tego typu balans wymaga dobrego trawienia, prawidłowego stężenia cukru (glikemii) we krwi oraz sprawnie funkcjonującej wątroby. Postrzegam trzy wymienione czynniki jako podstawowe w tym zakresie. Każdy z nich stanowi jedną z nóg trójnożnego stołka. Wszystkie trzy nogi muszą być stabilne, abyś mogła wygodnie na nim siedzieć. Przywrócenie dobrego funkcjonowania jelitom i wątrobie oraz zapewnienie prawidłowego stężenia cukru nie tylko wpłynie korzystnie na gospodarkę hormonalną, lecz również zniweluje wiele pozornie niepowiązanych dolegliwości, które być może dokuczają ci od lat, takich jak alergie sezonowe, pokrzywka, przewlekły ból, przybieranie na wadze, depresja czy niepokój (...).

Mam zaszczyt przewodzić dużym internetowym społecznościom kobiet, które korzystają z mojej diety (...). Gdy przeprowadziłam wśród nich ankietę (...) okazało się, że największą korzyścią opisywaną przez respondentki było zdobycie umiejętności »wsłuchiwania się« we własne ciało".

W książce „Hormony. Jak odzyskać równowagę w 14 dni" znaleźć można m.in. test sprawdzający, z jakimi problemami hormonalnymi mamy do czynienia, niezbędne informacje o hormonach i ich funkcjonowaniu, opisy czynników, które mają wpływ na równowagę hormonalną, oraz 11 dwutygodniowych planów żywieniowych z ponad 120 przepisami. Choćby na sałatkę z buraka i marchewki, która oczyszcza wątrobę, sprzyja równowadze estrogenów, wspiera wydzielanie progesteronu.

„Poniższy przepis powstał (...), gdy usłyszałam przyjaciółkę, doktor Jolene Brighten, naturopatkę, która podobnie jak ja pomaga kobietom dbać o ich równowagę hormonalną. Jolene mówiła, że poleca pacjentkom cierpiącym z powodu zespołu napięcia przedmiesiączkowego spożywanie marchewki i buraków na pięć dni przed początkiem miesiączki. Jest to logiczne. Buraki wspierają szlak metylacji wątroby, pomagając oczyścić ją z nadmiaru estrogenu, dopaminy, histaminy i metali ciężkich. Marchewki pomagają w wytwarzaniu większej ilości progesteronu oraz wiążą zbędne produkty przemiany materii antagonistycznego estrogenu. Sałatka zawiera sporo naturalnych cukrów, dlatego zadbaj o to, by zjeść ją wraz z porcją białka, na przykład w postaci kurczaka, ryby bądź jagnięciny".

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Shutterstock

Sałatka z buraka i marchewki

Składniki: 2 filiżanki startych na grubej tarce obranych buraków, 2 filiżanki startych na grubej tarce nieobranych marchewek, 1 filiżanka posiekanych orzechów włoskich, 1/4 filiżanki posiekanej dymki, 1/4 filiżanki posiekanej natki pietruszki.

Dressing: 1/2 filiżanki oliwy z oliwek extra virgin, świeżo starta skórka z pomarańczy, 1/4 filiżanki świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, 2 łyżki winnego octu jabłkowego, łyżeczka mielonego kuminu, łyżeczka soli.

Wykonanie: Połącz wszystkie składniki w dużej misce. Aby przygotować dressing, umieść wszystkie jego składniki w słoiku. Zakręć pokrywkę i potrząsaj, aby dobrze się wymieszały. Polej sałatkę i wymieszaj. Podawaj w temperaturze pokojowej bądź schłodzoną. Można przechowywać w lodówce do czterech dni.

eprasa.pl 33776eaff3

SŁODKO-SŁONY

Naturalne sposoby

ANNA MONICKA

Kiedy się okazało, że w żadnej znanej mi drogerii nie ma mydła antybakteryjnego ani żelu, a z M1 wymiotło mąkę (dziennikarze napisali, że to Marki, ale przecież zaopatruje się w tym centrum handlowym połowa prawobrzeżnej Warszawy i mnóstwo cudzoziemców zmierzających przez Białystok na wschód, więc nie tylko mieszkańcy Marek oszaleli), zrozumiałam, że mnóstwo osób wręcz oczekuje takiej paniki, bo nic tak nie łączy ludzi w stado jak wspólny strach. A bać się można wszystko jedno czego, można i wirusa.

Pofatygowałam się więc do sklepu i – zanim inni nie wykupią – nabyłam mąkę, makaron i mieszankę do pieczenia chleba. Oraz krople z pestek grejpfruta, które działają jak naturalny antybiotyk, wybijają także wirusy i grzyby. Dodaję kilka kropli sobie i córce do porannego napoju, bo dzień zaczynamy od lemoniady z odrobiną kurkumy i pieprzu kajeńskiego, a nie od herbaty.

Podobne działanie ma wiele ziół i przypraw, jedne są mocniejsze, inne słabsze, ale budują naszą odporność i chronią organizm przed różnymi infekcjami, na które przecież na przednówku jest – jak co roku – sezon.

Co nas trzyma w zdrowiu? Sosy czosnkowe do sałatek, miód z malinami (jesienią zrobiłam zapas, słodzę nim napary z lipy – kwiaty dostałam od mamy, zebrała w czystym i pięknym miejscu).

Używam dużo tymianku, majeranku i oregano. To ostatnie uchodzi za bardzo silny roślinny lek, a kapsułkowany olejek można jeść przy infekcjach – na mnie to działa.

Kąpiele traktuję jednocześnie jak inhalacje, dodaję do nich zawsze olejki: eukaliptusowy, z drzewa herbacianego, pichty, cedru. Lepiej się po nich oddycha, a opary działają dezynfekująco na zatoki.

Zamiast kawy piję napary z imbiru, skórek cytrusów i cynamonu – rozgrzewają, poprawiają nastrój i przyspieszają trawienie, orzeźwiają. Żuję goździki – dezynfekują, chronią przed zakażeniami wirusowymi. Ostatnio kupiłam olejek z bergamotki – wlewam parę kropli do kominka i robię zapach w całym domu. Bergamotka oczyszcza powietrze, dobry olejek jest silniejszy nawet niż ten z drzewka herbacianego czy dzikiego oregano.

Piszę o tym nie z okazji koronawirusa. Robię tak co roku. Udaje nam się uniknąć wizyt w przychodniach, a jeśli już ktoś coś złapie, organizm jest na tyle silny, że sam sobie dość szybko radzi. Naturalne sposoby naprawdę działają.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

4 tys. odmian ziemniaka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Bulwy, które znamy jako ziemniaki, w swojej amerykańskiej ojczyźnie występują w prawie 4 tys. jadalnych odmian. Wywodzą się one od około 150 gatunków dzikich przodków, nadal występujących w naturze.

Centrum różnorodności ziemniaków jest Boliwia i przede wszystkim Peru. Oszałamiającą liczbę 4 tys. odmian ziemniaka zawdzięcza się genetycznemu zróżnicowaniu gatunków wyjściowych, a także pracy pokoleń indiańskich rolników uprawiających je od kilku tysięcy lat i wielkiemu zróżnicowaniu warunków w tym andyjskim kraju, które wyzwoliło najprzeróżniejsze przystosowania tych roślin.

Peruwiańskie odmiany ziemniaków rosną wszędzie – od miejsc wilgotnych, przez suche pustynie, górskie doliny, duże wysokości (nawet na wysokości 4,2 tys. m n.p.m.), na których muszą poradzić sobie nie tylko z krótkim okresem wegetacyjnym, lecz także związaną z wysokością ekspozycję na dużą dawkę promieniowania UV. Istnieją ziemniaki odporne na temperatury wysokie i bardzo niskie, opady intensywne i niezwykle skąpe – słowem na wszystko, co może się zdarzyć od poziomu morza po andyjskie szczyty.

W Peru istnieją banki genów ziemniaków, specjalne ziemniaczane parki i powierzchnie doświadczalne, nadal też funkcjonują tradycyjne indiańskie uprawy, które zabezpieczają całe to niezwykłe bogactwo. Działają również organizacje mające za zadanie zachować pełną różnorodność ziemniaczanego rezerwuaru i badać możliwość wykorzystania ziemniaków w różnych miejscach na świecie, w których ludzie cierpią z powodu głodu. Potencjał ziemniaków i niezliczone przystosowania ich mnogich odmian mogą być także odpowiedzią na niekorzystne zmiany klimatu i pogorszenie warunków prowadzenia gospodarki rolnej: na upały, ale i na mrozy, na wysuszające wichry, na pogarszającą się żyzność gleby, szkodniki itp. Do tego wszystkiego ziemniaki są pożywne i niezwykle zdrowe (przede wszystkim spożywane tak jak tradycyjnie w Polsce, czyli gotowane z wody, bez dodatków tłuszczów).

Obecnie ziemniaki są jednym z najważniejszych, po kukurydzy, pszenicy i ryżu, roślin żywiących ludzkość (roczne światowe zbiory ziemniaków zbliżają się do 400 tys. ton). Dzięki bardzo dużej wydajności z hektara i niezwykłego, naturalnego, zachowanego w Peru zróżnicowania genetycznego znaczenie ziemniaków w wyżywieniu ludzkości będzie rosnąć.

eprasa.pl 33776eaff3

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

O, niezależne sądy idą!

www.wojciechreszczynski.pl

Jak dotąd nie ma bardziej demaskatorskiego filmu ukazującego pełną symbiozę totalnej opozycji z przedstawicielami trzeciej władzy

Reporter ma szczęście, gdy jest świadkiem ważnego wydarzenia, z którego zrobi dobry użytek w mediach. O tym, kiedy mamy do czynienia z „ważnym wydarzeniem", decydują różne okoliczności. Także słowo reporter to kwestia umowna. Dziś może nim być każdy, kto np. własną kamerą uchwyci coś, co zostanie uznane za ważne wydarzenie. Popularność prywatnych nagrań emitowanych w oficjalnych mediach jest niekwestionowana, ale niesie za sobą oczywiste implikacje, o których na koniec.

Oto, co przydarzyło się panu Stanisławowi Kornaszewskiemu z Warszawy, który dzięki swojemu zamiłowaniu do „kamerowania" nakręcił krótki, ale za to jeden z najsławniejszych filmów w kategorii telewizyjnego dziennikarstwa informacyjnego. Pan Stanisław miał to właśnie szczęście, o którym marzy zawodowy reporter – znalazł się z kamerą w odpowiednim miejscu i czasie i dobrze wiedział, co filmuje. Swoją drogą pan Stanisław znalazł się nieprzypadkowo w pobliżu Sejmu RP, na ul. Wiejskiej 12 A, na wprost siedziby władz Platformy Obywatelskiej. Lubi tam przebywać i obserwować ten krótki odcinek chodnika prowadzącego ul. Wiejską do Sejmu. Kogo tam można nie zobaczyć? Ale ten dzień, 17 lipca 2017 r., był szczególny, o czym pan Stanisław przekonał się dopiero wtedy, gdy z lokalu Platformy Obywatelskiej zaczęli wychodzić zaproszeni tam goście w towarzystwie gospodarzy. Natychmiast uruchomił kamerkę. Pewnie jeszcze nie wiedział, że tego lipcowego dnia batalia o sądy weszła w decydującą fazę. Sejm przygotowywał się do tzw. wysłuchania publicznego.

Przenieśmy się teraz do programu „Wiadomości" w TVP, bardzo mi bliskiego, gdyż 18 listopada 1989 r. (31 lat temu) zainaugurowałem jako dziennikarz i prezenter pierwsze wydanie „Wiadomości" w miejsce znienawidzonego „DTV", czyli „Dziennika Telewizyjnego". I cóż widzimy w „Wiadomościach" z 5 grudnia 2017 r.? Najlepiej oddaje to krótki, nagrany z offu komentarz pana Stanisława: „O, cała śmietanka idzie, niezależne sądy idą". Widok rzeczywiście sensacyjny.

Z Biura Krajowego Platformy Obywatelskiej wychodzą wspólnie, w komitywie, politycy partii opozycyjnej, która nazwała siebie bardzo pokojowo „totalną opozycją", z funkcyjnymi przedstawicielami judykatury, adwokatury, prokuratury i prawniczych organizacji zawodowo-korporacyjnych. Jednym słowem, cała śmietanka, tzw. trzecia władza, czyli wymiar sprawiedliwości po naradzie z kierownictwem Platformy Obywatelskiej w drodze do Sejmu. Przypomnijmy nazwiska. Ze strony Platformy: przewodniczący PO Grzegorz Schetyna, Małgorzata Kidawa-Błońska, Krzysztof Brejza, Borys Budka, Marcin Kierwiński, wicemarszałek Senatu RP Bogdan Borusewicz, Rafał Grupiński, Mariusz Witczak, Sławomir Neumann oraz... przedstawiciele SLD: Jerzy Wenderlich i Włodzimierz Czarzasty.

Trzecią władzę reprezentowali: I prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzata Gersdorf, były prezes Trybunału Konstytucyjnego prof. Andrzej Rzepliński, przewodniczący Krajowej Rady Sądownictwa, były prezes Izby Cywilnej Sądu Najwyższego sędzia Dariusz Zawistowski, rzecznik Krajowej Rady Sądownictwa Waldemar Żurek, były I prezes SN prof. Adam Strzembosz, prezes Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia Krystian Markiewicz, prezes Krajowej Rady Radców Prawnych Maciej Bobrowicz.

W odpowiedzi na wyemitowany w „Wiadomościach" TVP film Platforma Obywatelska oskarżyła redakcję o fake newsa i dezinformację, gdyż jej zdaniem nie było żadnej tajnej narady, tylko wysłuchanie publiczne w Sejmie. Owszem, tego dnia było wysłuchanie, ale pokazani na filmie uczestnicy debaty sejmowej szli na „wysłuchanie" chodnikiem z siedziby Platformy Obywatelskiej, gdzie spotkali się wcześniej, do Sejmu, a nie odwrotnie.

Jak dotąd nie ma bardziej demaskatorskiego filmu ukazującego pełną symbiozę totalnej opozycji z przedstawicielami najważniejszych instytucji trzeciej władzy oraz środowiskami prawniczymi w Polsce. Ta manifestacyjna symbioza, sprzeczne z prawem porozumienie świata polityki i wymiaru sprawiedliwości, trwa do dziś i nic dziwnego, że film Stanisława Kornaszewskiego często jest przypominany w publicznej telewizji.

Dlatego dziwię się kierownictwu „Wiadomości", że dotąd nie jest w stanie zapłacić panu Stanisławowi, „reporterowi" z najniższą emeryturą, zgodnie z prawem autorskim odpowiedniego honorarium. Czy dyrekcja „Wiadomości" nie rozumie, że autor tego filmu nie chce, więcej – nie może (po słynnym gdańskim wyroku skazującym Natalię Nitek-Płażyńską za nagranie nazisty) iść ze swoim powództwem do sądu?!

eprasa.pl 33776eaff3

PRZEZ ŚWIETLIK

Im się należy

Lubię Witolda Waszczykowskiego, a zawsze niezgadzanie się z kimś, kogo się lubi, zabija felieton, bo jest nie dość złośliwe. Z góry proszę o wybaczenie.

Natomiast co do niezgadzania się, to nie zgadzam się z naszym byłym oberdyplomatą w jednej sprawie, za to w całej rozciągłości. Uważam, że 10 kwietnia, w 10. rocznicę katastrofy smoleńskiej i 80. rocznicę kwietniowych i majowych mordów w lesie katyńskim, powinny być tam polskie władze.

Waszczykowski – i nie tylko on zresztą – przekonuje, że jadąc do Katynia, premier z prezydentem narażają się na putinowskie prowokacje, a będzie to tuż przed wyborami. Mateusz Morawiecki ustami swojego ministra Michała Dworczyka przekonuje, że chce jechać. Entuzjazmu zdaje się co do tego wyjazdu nie ma. To oczywiste, bo wszyscy mamy traumę i słusznie nie ufamy Rosjanom.

Tak, Waszczykowski ma w jednej sprawie rację. Wyjazd polskich polityków związany jest z pewnym fizycznym niebezpieczeństwem. Podobnie jak związany był z tym wylot Lecha Kaczyńskiego, jak jego słynny lot do Gruzji i pozostałe wizyty w tym kraju. Niestety, uważam, że jest to ryzyko, które niekiedy należy ponieść.

Ale nie oszukujmy się, to nie jest niebezpieczeństwo wielkie. Mam nadzieję, że niedawny tekst Marka Pyzy o tym, że przygotowania – co tu gadać – idą na razie jak po grudzie, kilka osób otrzeźwił. Mimo wszystko Polską nie współrządzi Platforma Obywatelska, ministrem obrony nie jest Bogdan Klich, premierem nie jest Donald Tusk, nie ma rozmaitych Grasiów ani Arabskich. Nawet jeśli, a tak jest, różne warszawskie pałace, kancelarie i ministerstwa ze sobą konkurują, to myślę, że finalnie możemy mieć pewność co do przygotowania lotu, poziomu ochrony naszych najważniejszych przez specsłużby, a to właśnie one przygotowują wizytę.

Istotniejsza jest inna sprawa. Przeciwnicy obchodzenia rocznicy w lesie katyńskim przede wszystkim przekonują, że obawiają się rosyjskich prowokacji. Tyle że każda próba zablokowania wizyty, zakłócenia jej obróci się przeciwko stronie rosyjskiej. Ostatnie ataki na nas chyba coraz bardziej stetryczałego cara Putina przyczyniły się do rozpopularyzowania prawdy o 17 września 1939 r. na świecie. Niech również teraz car poskacze i potupie nóżką. Mogą oczywiście Rosjanie wizytę zablokować. No ale efekt będzie dokładnie taki. Światowy rozgłos.

Pomijając wszystko inne – polskiej elicie, która tam leży, to się po prostu należy. Strach nie jest dobrym doradcą. Struś, który „ze strachu ciągle głowę chowa w piachu", wedle Księgi Hioba jest ze wszystkich zwierząt najbardziej pozbawionym przez Boga mądrości i rozsądku. Dlatego uważam, że 10 kwietnia – jeśli będzie to możliwe – miejsce polskich polityków, w tym premiera i prezydenta, jest w Katyniu.

Wiktor Świetlik

REKLAMA

66/0220/F

eprasa.pl 33776eaff3

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Kidawa festiwal!

Aleksander Nalaskowski

Świat i Europa żyją koronawirusem. W chwili gdy piszę ten felieton, wiadomo o jednym przypadku zachorowania w Polsce. Nie tyle jednak o zachorowaniu, ile o przybyciu z Niemiec do Polski osoby chorej, która niemal natychmiast po przyjeździe zgłosiła się do odpowiednich służb, czym uruchomiła stosowne i wcześniej ustalone procedury.

Niestety wirusowe paskudztwo stało się elementem gry wyborczej, co w moich oczach zupełnie dyskwalifikuje niektórych polityków. Głupio gadał Grabiec, Budka (cóż to za kuriozum!) i najgłupiej kandydatka na prezydenta RP Kidawa-Błońska. Zarzut zatajania przez rząd prawdy o wirusie rzucony publicznie nie daje się wytłumaczyć temperaturą wyborczą, lecz zwykłym chamstwem. W ustach polityka (ale też i niektórych tzw. samorządowców) takie i podobne brednie powinny być uznane za świadomą dezinformację i zwyczajnie karane. Urzędnik państwowy, samorządowy czy parlamentarzysta nie ma prawa w jakikolwiek sposób wykorzystywać swojego statusu (także medialnego) do rozsiewania plotek, insynuacji i siania paniki.

Skądinąd Kidawa-Błońska trudnymi już do zliczenia wpadkami i próbkami „politycznych" wypowiedzi goni rekordzistów w tej konkurencji: Petru i Scheuring-Wielgus. Ta, zdałoby się, stateczna dama, przedstawiana jako okaz kultury politycznej, z chwilą wydobycia jej na plan pierwszy dokonuje żałosnego striptizu swojego potencjału, lokując się w politycznej kategorii muszej albo co najwyżej koguciej. I gdyby nie wiek, to ulokowałbym ją w juniorach młodszych. Nie mam pojęcia, jak ograniczony musiałby być człowiek, a ściślej wyborca, który widziałby tę niewiastę jako zwierzchnika sił zbrojnych, partnera w rozmowach międzynarodowych z możnymi tego świata czy projektodawcę wielkich strategii państwa. Pompowanie tej kandydatury to zdawanie się in spe na jej przyszłych doradców, co już czyni sytuację dla Polski groźną. Ignorantka ich nie odróżni, a zapewne Donek dobierze jej skład zauszników.

A stoimy przed ogromnymi wyzwaniami, bo stabilna i naprawdę dobra sytuacja Polski nie musi trwać wiecznie. Trzeba na nią ogromnie chuchać i dmuchać, bez przerwy baczyć i chronić. Tu potrzebny jest własny mózg, a nie doradcy. W jednym mogłaby Kidawa-Błońska mieć przewagę nad Andrzejem Dudą, i w tę przewagę nie wątpię. Opozycja i jej akolici w stylu rozmaitych Sadurskich czy Biedroniów może by na nią nie donosili, gdzie się da i komu się da. Może chociaż „na tem odcinku" mielibyśmy przerwę w produkcji pogardy, hejtu i nienawiści. No i przy okazji mielibyśmy zabawniej.

Jednym z najważniejszych wyzwań jest problem imigrantów, groźba kolejnej wielkiej fali, która się do nas zbliża. I czas politpoprawności w tym zakresie musimy mieć już za sobą. Czas spojrzeć na to niebezpieczne dla Europy zjawisko trzeźwo i pragmatycznie, a nie przez pryzmat politycznych zysków czy przepychanek. Nielegalna imigracja to zjawisko groźne. Jeśli doskonale wiemy, że przytłaczająca większość przybyszów z Afryki to osoby bez ustalonej tożsamości, bez legalnych dokumentów, bez możliwej do rozpoznania historii, to dlaczego o tym tak rzadko i miałko mówimy? Jeśli równie dobrze wiemy, że w śladowych ilościach są to polityczni uciekinierzy i nade wszystko amatorzy europejskiego socjalu oraz komfortu, do których powstania ani na jotę się nie przyczynili, to po co te brednie o prześladowanych? Jeżeli mając obecne doświadczenia z nielegalną imigracją, nadal chcemy przyjmować wszystkich, jak leci, to musimy się stuknąć w głowę i zapytać, po co nam tysiące pasożytów, którym normy, wartości i obyczaje europejskie są nie tylko obce, ale i najgłębiej obojętne. Wypadki w Calais, Dover, afrykańska kolonizacja sporej części Grecji, Norwegii, Anglii, Francji czy Niemiec i – last but not least – zamachy, naprawdę nas niczego nie nauczyły? Nadal „Herzlich willkommen"? Naprawdę? Czy w ramach kolejnych prób naszej wasalizacji mamy teraz naprawiać błędy lewicowców z Zachodu?

Mówienie odzwierciedla myślenie. Jeśli ta kandydatka tak myśli, jak mówi, to bój się Polsko, ciesz się Afryko, raduj się koronawirusie

Jakie pojęcie ma o tym pani Kidawa-Błońska, znana jako rekordzistka w ściskaniu swoich fanów (rekord padł – jak wiemy – w Pucku)? Nie ma o problemie zielonego pojęcia, a jej dotychczasowe wypowiedzi na ten temat skrajnie się wykluczają. Kogo udaje, aby osiągnąć wyborcze zwycięstwo? Żonę stanu? (Tutaj nawiązuję do posłanki Dziemianowicz-Bąk z Razem, która mówiła, że zamiast męża potrzebna nam „żona stanu". Idiotyczne, ale prawdziwe). Przecież to dyletantka, kolejny Dyzma w naszej polityce. Już raz to przerabialiśmy z Bronisławem Komorowskim, który po wyborze wiedzę o Radzie Bezpieczeństwa Narodowego czerpał z Wikipedii, co pokazały wszystkie telewizje. Za mało? Chcemy więcej? Więcej przemówień o bigosie, lewatywie czy szogunie?

Mówienie odzwierciedla myślenie. Jeśli ta kandydatka tak myśli, jak mówi, to bój się Polsko, ciesz się Afryko, raduj się koronawirusie.

eprasa.pl 33776eaff3

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Polowanie na wolność

Witold Gadowski

Jeżeli nie wiesz, o co naprawdę chodzi, spróbuj znaleźć odpowiednią odległość wobec zdarzeń i jeszcze raz wszystko dokładnie obejrzyj.

Bój – ten bardziej przeczuwany niż określony – toczy się o wolność. Stoisz przed dylematem: albo będzie ci wygodnie, ciepło i bezpiecznie, albo też postawisz na własne myślenie i swoją drogę. W tym drugim wypadku nie będzie ci łatwo. Wszystkie szuje świata rzucą ci kłody pod nogi. Dlaczego globalna hydra tak nie znosi katolików i naszego Kościoła?

Tylko w naszej religii panuje bezwzględny nakaz bycia wolnym – nie jest to prawo, przywilej, ale właśnie najważniejszy obwiązek. Niewolnicy po prostu nie będą zbawieni. Bóg obdarzył nas wolnością i musimy jej w sobie pilnować jak źrenicy bytu. Ludzie wolni są kłopotliwi, zadają niewygodne pytania, kierują się własną oceną zdarzeń. Czasem są bezwzględni i brutalnie jednoznaczni w swojej szczerości.

Oczywiście już widzę teraz te pogardliwe uśmieszki „warsiawskiej elity", słyszę docinki o „nawiedzeniu" i „odlocie". Niewiele to jednak zmienia. Wolność jest najważniejsza. Rodzi rozliczne problemy, przysparza więcej kłopotów niż profitów. Wolności nie znoszą wszelkiej maści globaliści, ludzie w korporacjach, większość polityków, nie znoszą jej media ani „ośrodki naukowe". Wolność jest nieustanną walką i gonitwą. Każde podejmowane przez nią dzieło napotyka na piętrzące się trudności. Urągają jej tchórze, życiowe złamasy i oportuniści. Wszyscy oni starają się ją unieważnić. Powstają całe szkoły argumentacji i one usilnie pracują nad tworzeniem rozumowań, które pokazują wolność w krzywym zwierciadle. Ludzie wolni stanowią zagrożenie dla propagandystów i manipulatorów, a więc dla pozornej elity dzisiejszego świata.

Wolność niesie w sobie wiele upokorzeń i rozczarowań. Nie zjednuje przyjaciół i zwolenników, nie zyskuje przychylnych recenzji. Nikt za nią nie przyzna medali, raczej doczekasz się w rewanżu kłamstwa i pomówienia, którym będą cię chcieli unieważnić i ośmieszyć.

Dziś jednak wolni ludzie stanowią jedyną tamę przed rozpadem świata na miliony egoistycznych planet, na których rozkosz i bezpieczeństwo ważniejsze są od godności. Być może – jak wierzą religijni Żydzi – cały świat podtrzymywany jest jedynie na barkach dziewięciu sprawiedliwych. Najciekawsze w tym jest jednak to, że oni sami nie zdają sobie sprawy ze swojej wyjątkowości. Wolni ludzie oddychają pełną piersią, nawet gdy nie mają czego włożyć do garnka.

Żołnierze Wyklęci... i wciąż wyklinani

Lech Makowiecki

1 marca – Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych – to nie tylko czerwona kartka w kalendarzu, w tym roku dzień wolny od pracy. To oficjalne polskie święto państwowe upamiętniające żołnierzy antykomunistycznego niepodległościowego podziemia. I jako takie powinno być prawnie (z urzędu!) chronione przed hejtem postkomuny i jej sympatyków. Powtarzające się zarzuty, formułowane przez kolejne pokolenia komunistycznych zbrodniarzy (i bezmyślnie powielane przez lemingi) o „bandytach reakcyjnego podziemia" zakłócających błogostan rodzącej się pod butem Stalina „ludowej ojczyzny" porażają pielęgnowaną od pokoleń zdradą.

Zmasowaną i krwawą likwidację oddziałów Armii Krajowej zapoczątkowały już w styczniu 1944r. oddziały NKWD, sowiecka partyzantka i regularna Armia Czerwona. Z czasem stworzono słynące z okrucieństwa rodzime urzędy bezpieczeństwa. I to ich potomkowie podejmują dziś haniebne próby wybielania czerwonych oprawców koniecznością walki „ludowej władzy" z przestępczością „leśnych". Jeśli nawet znikomy procent zaszczutych represjami partyzantów uległ demoralizacji – nie usprawiedliwia to w żaden sposób hekatomby WSZYSTKICH polskich patriotów i bohaterów, konsekwentnie realizowany przez sowieckich morderców w mundurach i togach.

Gdyby Polska odzyskała w 1945r. prawdziwą niepodległość, demokratycznie wybrany rząd – przy wsparciu ludności cywilnej – z łatwością poradziłby sobie z ewentualną powojenną przestępczością. A tysiące najbardziej wartościowych Polaków (choćby „Inka", Pilecki, Fieldorf i in.) przeżyłoby zagładę i wzięło udział w odbudowie kraju. Setki tysięcy ich dzieci i wnuków ubogaciłoby genetyczną pulę narodu. Tak się jednak nie stało. Negatywna selekcja komunistyczna przysporzyła nam pokaźne grono obywateli gorszego sortu. Ci zadymiarze zakłócają dziś uroczystości państwowe i kościelne, obrzucają farbą pomniki bohaterów, profanują obiekty kultu. I prą do likwidacji własnego kraju!

eprasa.pl 33776eaff3

Media narodowe

Alina Czerniakowska

Dziś w wolnej Polsce przed mediami narodowymi stoją wielkie wyzwania i oczekiwania społeczne, sprowadzające się przede wszystkim do przywracania prawdy historycznej jako podstawy rozumienia wszystkich procesów zachodzących w Polsce i na świecie. Za rządów poprzedników (PO-PSL) „państwo polskie istniało tylko teoretycznie", jak wyznał szczerze w rozmowach restauracyjnych jeden z ważnych ministrów Donalda Tuska, Bartłomiej Sienkiewicz, dzisiaj znowu uaktywniony. Warto sobie przypomnieć, co i jak mówili rządzący wówczas Polską, zajrzeć do zachowanych nagrań z restauracji Sowa & Przyjaciele, dzisiaj na ogół europosłowie występujący ostro przeciwko naprawie Polski realizowanej przez rząd PiS.

Ta prawda nareszcie dociera do społeczeństwa przez media narodowe – Telewizję Polską (TVP) i Polskie Radio. Obecna TVP, kierowana przez prezesa Jacka Kurskiego, jest pluralistyczna jak nigdy dotąd, począwszy od przemian w 1989 r. Niech każdy, kto bezmyślnie powtarza „reżimowa telewizja", odpowie sobie szczerze na jedno zasadnicze pytanie – czy za rządów PO-PSL, Tuska i Komorowskiego, byli zapraszani do studia w TVP ludzie prawicy, Prawa i Sprawiedliwości? I to jeszcze na żywo, jak jest teraz, bez żadnego montażu? W publicznej telewizji przedstawiciele tzw. totalnej opozycji (SLD, Razem, PO, PSL itd.) mówią obecnie, co chcą, kłamią, opluwają rząd, często w sposób tak prymitywny, że nawet ich zwolennicy czują się zażenowani. Wiem z doświadczenia autorki kilkudziesięciu filmów dokumentalnych, że za poprzednich rządów nawet udokumentowana prawda historyczna, ale niewygodna dla ich opcji, nie miała szans na emisję, a jak już czasami coś przez niedopatrzenie znalazło się na antenie, autor musiał się spodziewać najgorszego.

Tak było z moim filmem „Musieli zwyciężyć" (o walkach z bolszewikami w latach 1919–1920). Zaraz po emisji zostałam zwolniona przez komunistycznego prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego „po interwencji ówczesnego premiera Leszka Millera" – jak napisała wtedy „Rzeczpospolita". Artykuł ten zachowałam jako dowód postępowania tamtej władzy. Nic nie pomogły różne listy, dobre recenzje, opinie prof. Pawła Wieczorkiewicza, dr. hab. Zbigniewa Wolaka i innych profesjonalistów, znawców tematu przedstawionego w filmie. Na kilka lat miałam zabronioną jakąkolwiek współpracę z TVP, a przecież była tylko jedyna telewizja, właśnie TVP, która miała misję, statutowy obowiązek przedstawiania prawdy o naszych dziejach.

Dzisiaj w TVP pracują ludzie o różnych poglądach, łączonych z różnymi partiami, dużo zostało tych powiązanych z poprzednią władzą, więc o jakim reżimie mówią przeciwnicy rządu? TVP ma obecnie różnorodną ofertę programową, każdy może znaleźć coś dla siebie – poważne filmy dokumentalne i fabularne, Teatr Telewizji, ale też seriale, konkursy, programy rozrywkowe, disco polo i muzykę poważną, rozmowy na aktualne tematy, transmisje z uroczystości patriotycznych, narodowych i kościelnych, bo przecież Polska swoje istnienie opiera na korzeniach chrześcijańskich, na silnej wierze w Boga. Tradycje, kultura i bieżące informacje, dokładnie sprawdzane, bo wrogowie tylko czekają, by z najmniejszego potknięcia dziennikarskiego zrobić aferę. Miłośnicy sportu mają prawdziwy raj, bo nareszcie mogą wszystko zobaczyć w TVP, która zarządzana w ten sposób odnosi sukcesy największej oglądalności.

Opozycja, nie mając żadnych osiągnięć (poza szkalowaniem w UE własnego kraju) ani konkretnych mądrych programów ekonomicznych na przyszłość, sięga po żenujące chwyty – „pieniądze na media narodowe czy na leczenie raka" – wszystko po to, by otumanić ludzi i zdobyć władzę, ale naród nie jest głupi, pamięta, co pokazali przez lata swoich rządów. Wyprzedawali majątek narodowy (stocznie, kopalnie, drogi, pocztę, banki itd.), mafie vatowskie i wszelkie inne robiły, co chciały, okradali państwo polskie na miliardy, a teraz próbują wzruszać ludzi hasłami nieadekwatnymi do tego, kim są i co robili, będąc u władzy.

Wiadomo, że w kraju dobrze zarządzanym muszą być pieniądze na wszystkie ważne dziedziny życia i tak pracuje obecny rząd Mateusza Morawieckiego we współpracy z prezydentem Andrzejem Dudą. Słuchając ich, każdy rozumie, o co chodzi, padają konkretne dane, nie ma słów na wiatr, bez pokrycia. Można by sobie życzyć więcej, szybciej, ale trudno naprawić w krótkim czasie to, co tyle lat było niszczone. Natomiast miałkość ludzi, którzy teraz wystartowali do roli prezydenta Polski, ich wypowiedzi, powtarzane hasła o wolności, sprawiedliwości, w istocie tak bardzo im obce, budzą zażenowanie i śmieszą, a przecież to nie kabaret, tu o Polskę chodzi, o nas wszystkich, i trudno to zbywać uśmiechem.

Często wracam do moich rozmów w BBC, kiedy w Londynie na początku lat 90. mogłam popatrzeć i posłuchać, jak pracują tam dokumentaliści. Wówczas jeden z szefów powiedział znamienne słowa: „Polska ma świetną historię, dlaczego o tym nie mówicie światu, nie potraficie być dumni z waszych ludzi, bohaterów. To powinna być wasza broń przetargowa na arenie międzynarodowej". Dlatego tak ważne są media narodowe i ich misja.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 33776eaff3

O sędzim, który się kulom pisowskim nie kłaniał

To nie są żarty. Białoruś, Turcja to kraje wolności w porównaniu z tym, jak w Polsce obecna władza traktuje sędziów. A zwłaszcza jednego, którego nienawidzi od kilkunastu lat już. Sędziego Igora Tuleyę. Herosa walczącego o prawdę i niezawisłość sędziowską. O sprawiedliwą i wolną od PiS Polskę. Okrutna, nieznająca miłosierdzia władza podstępnie zdecydowała się użyć wyrafinowanego narzędzia terroru wobec sędziego Tuleyi, jakim jest pozbawienie go immunitetu. Prawnego pancerza chroniącego go przed Zbigniewem Ziobrą, sadystycznym ministrem sprawiedliwości, oraz Mariuszem Kamińskim, pałającym żądzą krwawej zemsty szefem specsłużb.

Na szczęście są w Polsce wolne media. Jedno z nich, OKO Press, rozsławiło imię Igora Tuleyi, nawiązując do innego wielkiego bohatera – gen. Świerczewskiego „Waltera". Najbardziej znanego dzięki szkolnej lekturze kilku pokoleń w czasach PRL jako „Człowieka, który się kulom nie kłaniał". Tę ciągłość ideową utrzymuje dziś wspomniane medium, dając w swoim penegiryku śródtytuł: „Tuleya, co CBA i Ziobrze się nie kłania". Jak kiedyś „Waltera", tak dziś Igora Tuleyę opiewać będą poeci i dziennikarze współpracujący z OKO Press. Na zachętę przypomnę sparafrazowane tylko nieco strofy jednego z mistrzów.

Nie poemat, a opowieść się rodzi,
Nie wykrzesał jej żaden cud,
On urodził się w samej Łodzi
Syn uczciwej ubeczki z Bałut
Od małego Igorek zachwycał,
Żywotnością i radością ducha,
Stłukł kolano, jak inni nie ryczał,
Raczej śmiał się od ucha do ucha.
Latem biegał na bosaka po Kaczej,
Kiedy roczek minął mu piąty,
Był już zwinnym, sprytnym chłopaczkiem,
który właził we wszystkie kąty.
Po Antycznej, po Ceglanej latał,
Puszczał latawce, w piłkę grał,
Późno z pracy powracała mama
Bardzo późno tata zasypiał.
Tata dobry był, mama była czuła,
Dawała cukierki, brała na kolana,
wyjmowała z torby Mały kodeks karny
Czytała, tłumaczyła nieraz aż do rana.
Wszak opowieść ta jest sędziowska
I zakończy się w owych latach,
Gdy świstała nahajka pisowska
Po ulicach i w kazamatach.

Jerzy Jachowicz

CO MNIE ZADZIWIA

Środki higieny

Konstanty Ildefons Gałczyński w swojej satyrycznej przedwojennej poezji zachęcał rodaków strofami: „Moczmy nogi! Moczmy nogi!". Dzisiaj politycy nawołują nas gromkim głosem: „Myjcie ręce, myjcie ręce!". Cóż, pozostawiono nam wybór. Mycie rąk czy umycie rąk różnie nam się kojarzy. Powiedzenie funkcjonujące w polskim języku „umyć ręce" nie oznacza tylko mydlenia i spłukania, ale również stwierdzenie, że nie wchodzę w tę sprawę, to mnie nie dotyczy, nie uczestniczę w tym. Bardzo często w dzisiejszej polityce ludzie umywają ręce. Nie myją, ale umywają – i trzeba odróżnić te dwa pojęcia, oba zresztą higieniczne. Satyryk z PRL, który wygłaszał nam wykłady, był nazywany profesorem Stanisławskim. Głosił o wyższości świąt Bożego Narodzenia nad Wielkanocą albo odwrotnie. Oba były niezwykle interesujące. Dzisiaj możemy posłuchać w świecie najwyższej polityki o wyższości łokcia nad kciukiem.

Katarzyna Łaniewska

Można ukuć zawołanie: „Moczmy nogi, myjmy ręce. Kciuk łokciowi nie dorówna". Ale zostawmy żarty na bok – epidemia koronawirusa jest rzeczą poważną i może nie należy z niej drwić. Wszystkie środki ostrożności w Polsce zostały zachowane. Ludzie odpowiedzialni za nasze zdrowie – rząd, prezydent i ministrowie – informują i działają. Do momentu kiedy piszę ten felieton, w Polsce nie ma osoby zarażonej koronawirusem. W tej sytuacji dziwnie zachowuje się opozycja, która zawsze była przeciw temu, co się robi, także teraz jest przeciw temu, że rząd zapobiega, że Ministerstwo Zdrowia i wojewodowie działają, że wszystko jest przygotowane. Jakby dziwiło ją i smuciło, że w Polsce nie ma bezpośrednio zarazy koronawirusa.

Kończę ten felieton z należnym państwu wyjaśnieniem: kciuk łokciowi nie dorówna, ponieważ na kciuku znajduje się więcej zarazków, jak twierdzą kompetentni ludzie związani z higieną.

eprasa.pl 33776eaff3

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Co to się porobiło

Nawet koguty piać nie mogą

Ryszard Makowski

Sąd orzekł: „Frasyniuk mógł kopnąć policjanta, bo było to usprawiedliwione okolicznościami". Przydałaby się jeszcze wykładnia sądowa, czy osoby takie jak polityczny celebryta z tzw. salonu mogą targać policjanta za ucho albo wsadzić mu palec w oko.

W Tarnowie sąd uznał skargi sąsiadów na mężczyznę trzymającego w bloku trzy kury i dwa koguty. Koguty piały. A co miały robić? I nie pomogły tłumaczenia właściciela drobiu, że jest ze swoimi podopiecznymi w świetnej komitywie, oglądają razem telewizję. Uznanie, że kury i koguty to zwierzęta wyłącznie gospodarskie, trochę dziwi. Przecież mówi się „kura domowa". Rozwój technologiczny powinien być zakazany.

Kiedyś jakby poseł spotkał w pociągu redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej", toby opowiedział o tym znajomym i tyle. A teraz wyciąga komórkę z zamontowaną kamerą, nagrywa i wrzuca do sieci. I mamy awanturę jak ta lala. Pod adresem guru fejków padły słowa: „Pan pozdrowi brata!". Oburzające. Chodzi o brata, który skrył się w Szwecji, a w latach 50. wydawał wyroki śmierci na polskich patriotów. Niedługo pewnie sąd zakaże zwrotu: „Pan pozdrowi brata".

Należy zaznaczyć, że redaktor „GW" zachował się z pełną kulturą. W tych „usprawiedliwionych okolicznościach" mógł kopnąć posła, a tego nie zrobił. W jakim zaścianku żyjemy, uświadomił nam amerykański raper Pi'erre Bourne. Wracając z występu w Hybrydach, wpisał na portalu: „Nigdy więcej nie wrócę do Polski. Wasze lotnisko sprawiło, że czuję się brudny! Jesteśmy jedynymi czarnymi ludźmi na lotnisku".

eprasa.pl 33776eaff3

Michał Korsun prezentuje:* *Jaka partia, taki tygrys

Wycinki z przeszłości

Już za mniej niż sto dni, 7 czerwca 2020 r., na placu Piłsudskiego w Warszawie odbędzie się beatyfikacja Prymasa Tysiąclecia, kardynała Stefana Wyszyńskiego. Warto pomyśleć o zamówieniu wejściówek na to religijne i patriotyczne wydarzenie. Najlepiej zapytać w swojej parafii, a jeśli to niemożliwe, to skorzystać z informacji zawartych na oficjalnej stronie beatyfikacji: prymaswyszynski.pl.

Organizatorzy zachęcają także, by przygotowując się do udziału w beatyfikacji, zadać sobie pytanie o znajomość nauki Prymasa: „Skorzystajmy z czasu przed beatyfikacją, by dowiedzieć się czegoś więcej o kardynale Wyszyńskim, by poznać lub zgłębić jego naukę. By przekonać się, jak ważną był postacią dla Kościoła, ale także dla każdego z nas".

Pamiętajmy szczególnie o tej części nauczania Prymasa, w której podkreślał, jak ważna jest wiara katolicka w życiu narodu. Uważał, że gdyby usunąć chrześcijaństwo z kultury narodowej, niewiele by z niej zostało.

Prezentowany obok znaczek wydała w podziemiu Solidarność Walcząca w roku 1983.

(mk)

Przypomnienie

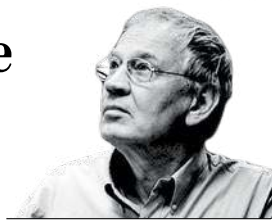

W ramach ćwiczeń przedwiosennych.

Leszek Długosz

WIOSNA
– Bolesław Leśmian 1877–1937

Takiej wiosny rzetelnej, jaką w swym powiecie
Widział Jędrek Wysmółek – nikt nie widział w świecie!

Poprzez okno karczemne łeb w bezmiar wyraził
I o mało się w durną mgłę nie przeobraził!

Lecz umocnił się w karku i nieco przybladłszy,
Łbem pochwiał dla otuchy i splunął, i patrzy...

Jego własna chałupa wraz z babą i sadem
Odwróciła się nagle nieproszonym zadem.
Wieprz-znajomek, nie większy na pozór od snopa,
Biegnie w skradzionych portkach Magdzinego chłopa.

Ryj mu Lilią zakwita! Czar bije od przodu!
I z wołaniem: „Gdzie Magda?" – pcha się do ogrodu! [...]

Wywróconą na opak do rowu ulicą
Mknie Kachna i płonącą powiewa spódnicą.
Wichrzy się i pokłębia i upałem bucha,
Cała w ogniu i szumie! Pożar – nie dziewucha!

Skry miota wedle woli – nie szuka powodu,
I z szeptem: „Moja wina!" – dymi się od spodu!

A Maciej – ten z przeciwka, co to brak mu klepki,
Konno dybie w niebiosy wesoły i krzepki!

Cały w różach i malwach, coraz nieznajomszy
Pyskiem w niebie wydziwia, jakby służył do mszy.
Tuż obok, jak to bywa między błękitami,
Przelatuje siedząco Pan Bóg z aniołami.
A ten wrzeszczy od rzeczy i na koniu pstroku
To skoczy, to zje malwę, to ginie w obłoku...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 33776eaff3

OD A DO ZYBERTOWICZA

Dogmatyzm Zachodu

Inteligencka uległość wypływa z frustracji środowisk, które sądzą, że lepiej pojmują mechanizmy świata, ale mimo całej swej „mądrości" nie są w stanie światem bezpośrednio rządzić

Tydzień temu w felietonie zatytułowanym „Współudział Zachodu" podzieliłem się wrażeniami z lektury wielkiego dzieła wybitnego rosyjskiego dysydenta antykomunisty Władimira Bukowskiego. Lektury spóźnionej, gdyż w 22 lata po polskim wydaniu.

Jego książka „Moskiewski proces: Dysydent w archiwach Kremla" to już klasyka. Książka pełna dokumentów i analiz obrazujących wewnętrzną mechanikę funkcjonowania systemu sowieckiego, który już (w zasadzie) odszedł w przeszłość, pozwala głębiej rozumieć nie tylko to, co dzieje się w Rosji obecnie, lecz – co ważniejsze – także ścieżki dzisiejszego myślenia elit Zachodu.

ULEGŁOŚĆ

Informacje i wywody Bukowskiego ukazują źródła i mechanizmy pozbawiające elity Zachodu intelektualnej suwerenności. Mechanizmy powodujące, że miejsce odważnych dociekań zajęły lewicowe, tzw. progresywne, złudzenia środowisk akademickich, dziennikarskich, biznesowych, politycznych i artystycznych.

Kiedyś efektem tego intelektualnego uwikłania w „postęp" było wybielanie zbrodniczej natury systemów komunistycznych, później bezkrytyczne uleganie gorbaczowowskiej propagandzie pieriestrojki, a następnie kłopoty z odczytaniem faktycznej natury ładu postkomunistycznego.

Stało się tak częściowo w wyniku penetracji agenturalnej, częściowo poprzez quasi-biznesowe skorumpowanie, a także z powodu interesującego przez Bukowskiego sportretowanego psychologicznego podłoża inteligenckiej uległości. Uległości wypływającej z frustracji środowisk, które sądzą, że lepiej pojmują mechanizmy świata, ale przecież – mimo całej swej „mądrości" – nie są w stanie światem bezpośrednio rządzić.

Tym, którzy jeżą się na taką diagnozę Bukowskiego, proponuję lekturę powieści Michela Houellebecqa „Uległość" – oświecony Zachód staje się pacynką w grze islamskiej, ale model jest ten sam.

ZADZIWIAJĄCA ZBIEŻNOŚĆ

Tak oto myślę: istnieje wspólna przyczyna tego, że owi mędrcy Zachodu przez całe dekady nie chcieli uwierzyć w zbrodniczą naturę systemu sowieckiego. Nie chcieli przyjąć do wiadomości prawdy nie tylko o autorytarnej, lecz i agenturalno-mafijnej naturze władzy prezydenta Władimira Putina, a obecnie raz, dwa iście bezkrytycznie „kupują" narrację o rzekomo autokratycznej Polsce, o likwidacji demokracji, o panoszących się wszędzie faszystach.

Czy jest możliwe, aby trzy różne rzeczy, trzy różne błędne, występujące w innych okresach i dotyczące odmiennych historycznie sytuacji, wyobrażenia miały takie samo wspólne uwarunkowanie, to samo, trudno dostrzegalne na pierwszy rzut oka, źródło?

Te trzy błędne wyobrażenia to: (1) wiara w ludzką twarz systemu komunistycznego, (2) w cywilizowane oblicze władzy Putina oraz (3) w prawdziwie antydemokratyczny, nieludzki, na pograniczu faszyzmu kształt władzy dobrej zmiany w Polsce.

LEWACKOŚĆ I ANTYNARODOWA FOBIA

Rozpowszechnione jest wśród elit Zachodu pragnienie lewicowej (czy nawet lewackiej), z ducha postoświeceniowej głębokiej postępowej przebudowy świata. Trwa wyczekiwanie antykapitalistycznej nadziei, która może przyjdzie ze Wschodu; wyczekiwanie, które jest powiązane z silnie wdrukowanymi, bodaj czy nie od czasu rewolucji francuskiej, urazami do wspólnot i ideologii narodowych. To często omal histeryczne drżenie na dźwięk słów „patriotyzm", „naród", „nacjonalizm". To fobia wyłączająca zdolność do rzeczowego, analitycznego namysłu u wielu skądinąd dobrze wykształconych osób leży, moim zdaniem, u źródeł tej głębokiej poznawczej deformacji, tego skrzywienia diagnozy rzeczywistości.

Błędne są wizje upatrujące źródeł kryzysu demokracji liberalnej głównie w populizmie, ideologiach kolektywistycznych, skrywanych pokładach antysemityzmu, w podatnościach na nacjonalizm, faszyzm, fanatyzm, fundamentalizm.

Przypuszczam, że Zachód nie potrafi poradzić dziś sobie ze swoim własnym kryzysem z powodu tej właśnie ułomności intelektualnej, z powodu dogmatycznego zaślepienia niemal obsesyjną „postępowością".

Dla nas, Polaków, obywateli Unii Europejskiej, wcale nie jest to dobra wiadomość.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 49/0220/F

eprasa.pl 33776eaff3

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII

100 książek w prezencie

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70
prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę **Sekretny Dziennik Lasu** otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 33776eaff3

DRAPIEŻNIKU,

POCZUJ DRESZCZYK NOWOŚCI!

LOTTO

DRAPIEŻNICY KOCHAJĄ Zdrapki

eprasa.pl 33776eaff3